

Nick Spalding

Mikość...

Z obu stron



*W poszukiwaniu miłości
czasem najtrudniejsze okazuje
się zachowanie powagi.*

Nick Spalding

Miłość...
z obu stron

Tytuł oryginału: *Love... From Both Sides*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej:

Robert Fritzkowski

Korekta: *Dorota Jakubowska*

Zdjęcie na okładce

© Mayer George/Shutterstock

© 2011, 2012 by Nick Spalding

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Jerzy Wołk-Łaniewski

ISBN 978-83-7758-543-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I

Od Autora

– Powinieneś napisać coś o randkowaniu – powiedziała moja narzeczona, gdy pewnego wieczoru kończyłem pracę nad książką pod tytułem *Life... On A High*.

– Nie mogę – odparłem. – Wszystkie znane mi zabawne anegdotki wykorzystałem już w tej książce.

– Spalding, nie tobie jednemu na randkach zdarzały się katastrofy – zauważyła. – Sama mam na koncie parę takich historii, które mógłbyś opisać. I jestem pewna, że jak popytasz znajomych, zbierze się ich całkiem sporo.

Okazuje się, że miała rację. Po kilku podlewanych winem rozmowach z bandą degeneratów, nazywanych przeze mnie moimi przyjaciółmi, zgromadziłem tyle materiału, że wystarczyło na nową książkę. A w rzeczywistości nawet na więcej.

Najwyraźniej jeśli chcemy znaleźć miłość naszego życia, czeka na nas więcej problemów, pułapek i potrzasków, niż mi się na początku wydawało. Wnosząc po opowieściach, których wysłuchałem przez ostatnich parę miesięcy, zakrawa na cud, że w ogóle komukolwiek udaje się stworzyć jakiś związek.

Jamie i Laura są postaciami fikcyjnymi, lecz trudności i tarapaty, w które się pakują na stronach tej opowieści, zostały wzięte z życia.

Książkę tę dedykuję wszystkim, którzy przeszli piekło randek, starając się przy tym zachować uśmiech na twarzy, a także dziewczynie, dzięki której w moim przypadku cała ta gra okazała się jak najbardziej warta świeczki.

Moja śliczna, kocham cię z całego serca.

Nick

BLOG JAMIEGO

NIEDZIELA, DZIEWIĄTY STYCZNIA

Boże, wali jej z gęby jak z piekielnych czeluści...

Taka była pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, gdy w czwartkowy wieczór spotkałem się z Isobel pod miejscowym pubem z sieci Wetherspoon's. Drugą myśl poświęciłem Jackie, poprzysięgając zamordować ją zaraz po przyjsciu do biura w poniedziałek rano.

– Powinieneś się umówić z moją znajomą Isobel – przed kilkoma tygodniami zasugerowała mi przy automacie do kawy ta zła i kłamliwa wiedźma. – To urocza dziewczyna. Moim zdaniem powinno między wami raz-dwa zaiskrzyć!

A ja, jak ten idiota, uwierzyłem.

Jackie znana jest z niestrawnego wręcz optymizmu i entuzjazmu wobec niemalże wszystkiego, toteż powinienem był przewidzieć, że jej ocena charakteru Isobel okaże się grubo przesadzona. Jackie zapewne umiałaby się dogadać i z Hitlerem, o ile tylko w rozmowie nie skupiałby się zbyt na temacie Żydów, a mówił na przykład o trójkątach miłosnych między celebrytami.

Postanowiłem jednak zignorować ostrzeżenia głosu wewnętrznego. Już od dwóch lat jestem singlem, a w takich okolicznościach desperacja zawsze potrafi zagłuszyć przebłycki zdrowego rozsądku.

Od dwóch lat...

Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy tak długo nie byłem sam. Liczba pochłoniętych przeze mnie w tym czasie gotowych dań z supermarketu szła pewnie w tysiące. Zarazem trzeba przyznać, że po związku z Carlą na dobre odeszła mi ochota na randki. Po przejściach, jakie zafundowała mi moja demoniczna była, doszedłem do wniosku, że skoro uwolniłem się wreszcie od jej czarciego uroku, przez najbliższych kilka miesięcy najlepiej będzie w nic nowego się nie wikłać.

Lecz po pewnym czasie mężczyzna zaczyna łaknąć pociechy w postaci zacnej kobiety u swego boku.

Rzecz jasna, gdy piszę o „zacnej kobiecie”, chodzi mi o to, by miała temperament, a nie miała chorób skóry, zaś przez „u swego boku”

rozumiem „dosiadającej go nago”. Wstrząs po paskudnym rozstaniu z Carłą zraził mnie do randek w ujęciu emocjonalnym tudzież intelektualnym, ale nie wiem, jak mam to wyjaśnić mojemu durnemu członkowi.

Szczerze rzecz ujmując, nawet gdyby Jackie powiedziała, że Isobel w miejscu waginy ma sidła na niedźwiedzie, pewnie i tak rozważyłbym pójście z nią na randkę w ciemno.

I mimo że z jamy ustnej Isobel zionie rychłą apokalipsą, postanawiam dać jej szansę – o ile tylko uda mi się usiąść na zawietrznej.

Jej przerażający dech czuć na pół metra, toteż powitalny całus w policzek okazuje się złym pomysłem, muszę się bowiem w tym celu zbliżyć do bram Hadesu. Wstrzymuję oddech i udaje mi się jakoś to przeżyć.

Isobel nie jest zupełnie nieatrakcyjna, aczkolwiek swe mysiego koloru włosy zebrała w kucyk tak ciasny, że podziałął on jak chałupniczy lifting. Na samą myśl o tym oczy zaczynają mi łzawić. Jej cycki, które wyglądają ze stanika Wonderbra za małego o co najmniej jeden rozmiar, przedstawiają się całkiem sympatycznie. Wybrana na ten wieczór czarna bluzka jest nader frywolna, zaś w brązowej spódnicy do kolan jej kanciasty tyłek nie prezentuje się zbyt korzystnie, ale do wyboru mam spędzenie godziny w pubie w jej towarzystwie lub powrót do siebie na kolejną sesję masturbacji w samotności i konsumpcji opakowania pringlesów o smaku barbecue.

Z westchnieniem rezygnacji otwieram drzwi do pubu i przepuszczam ją przodem.

– Fielkie cięki. Ale z ciebie dżentelmen – zauważa Isobel. Siła jej nieświeżego oddechu jest najwidoczniej tak wielka, że uniemożliwia jej wymowę niektórych głosek.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam, siląc się na uśmiech.

Kiedy idzie przede mną w stronę baru, wbrew logice spoglądam na jej kanciasty tyłek z poczuciem przygnębienia. Uświadamiam sobie, że jego pudełkowaty kształt w pewnym sensie symbolizuje moją całkowitą i dojmującą niezdolność stworzenia ostatnimi czasy dobrze funkcjonującego związku z kobietą.

– Czego się napijesz? – pytam, gdy podchodzimy do na oko dość zatłuszczonej lady, z nadzieją, że zamówi pół litra płynu do płukania ust.

– Dawaj pan podwójną wódkę z red bullem.

Chryste Panie.

Mija pięć minut i oto Jamie Newman i jego urocza randka w ciemno sadowią się w jednej z obskurnych łóż rozmieszczonych wzdłuż tylnej ściany lokalu. Stół, przy którym siedzimy, jest nawet mało poplamiony, za to na jednym z jego rogów ktoś wyrył misternie napis „Peter wali konia”. Jakość wykonania inskrypcji sugeruje, że jej sporządzenie zajęło autorowi dobrą godzinę.

Niektórzy twierdzą, że weekend zaczyna się w czwartek, ale żaden z nich nie stawił się tego wieczoru w pubie. Atmosfera jak na stypie. Wraz z zionącym bazyliuszkiem jesteśmy jedynymi klientami, jeśli nie liczyć wysuszonego staruszka w zielonej wiatrówce, sączącego małe piwo przy barze, oraz dwóch grubych gości w nieokreślonym wieku, którzy stoją przy jednoręki bandycie i moneta po monecie skarmiają maszynę swoimi zasiłkami dla bezrobotnych z zacięciem odzwierciedlającym prawdziwy tryumf bezrozumnego optymizmu nad trzeźwą i beznamiętną rzeczywistością.

– Jacks mówiła, że podobno dziennikarzysz – zauważyła Isobel, popijając drinka i przy każdym łyku nieudolnie powstrzymując się przed beknięciem.

– Yyy... tak. Można tak powiedzieć.

W istocie jestem niezależnym doradcą od public relations i copywriterem, obecnie pomagającym miejscowej gazecie w zmianie wizerunku, lecz aby wyjaśnić to Isobel, potrzebowałbym tablicy konferencyjnej tudzież niewyczerpanych pokładów cierpliwości, więc nie rozwijam tematu.

– Lubisz to?

– No... tak. Tak sędzę. Uwielbiam pisać, a w tej robocie mam po temu mnóstwo okazji, więc w sumie mogłoby być gorzej.

– Serio? – Isobel uśmiecha się szyderczo. – Ja tam nie znoszę pisaniny.

Jakby mnie to dziwiło.

– Musisz uważać na tę całą gramaturę, co nie?

W rzeczy samej.

Kiedy ślęcę nad wyjątkowo trudnym kawałkiem tekstu reklamowego, cały czas muszę się pilnować, by nie przekroczyć dopuszczalnej gramatury znaków przestankowych.

– Wiem od Jackie, że jesteś fryzjerką – mówię, usiłując zmienić temat.

– No tak. Mam własny salon. Nieźle, co?

Założę się, że się nazywa Daj Się Pociąć.

– Nazywa się W Ząbek Czesany!

Niech to szlag.

– Idzie mi naprawdę świetnie. Mam teraz całą masę klientów. W przyszłym miesiącu robię sobie tydzień wolnego i wyskoczę na Minorkę.

Zabijcie mnie. Proszę, zabijcie mnie.

– Aa... to wspaniale – stwierdzam, biorąc duży łyk ciepłego stella artois.

– A ty gdzieś jedziesz na wakacje, Jake?

– Jamie – poprawiam. – Być może. Mam znajomych w Kanadzie i jeśli trafi się okazja, może odwiedzę ich jakoś w tym roku.

– Mnie tam Kanad jakoś nigdy nie interesował – przyznaje Isobel, radośnie masakrując nazwę drugiego największego państwa świata. – Wiem tyle, że mówią tam po francusku. – Milknie na chwilę i przekrzywia głowę na bok. – Czyli ten Kanad to gdzieś niedaleko Francji?

Oj, to już pewne. Ukatrupię Jackie, nie ma co do tego wątpliwości...

À propos wątpliwości, otwarcie przyznam, że pójście tej nocy z Isobel do łóżka było zapewne nierozważne.

Zarazem jednak wspomniany powyżej spory łyk ciepłego piwa był pierwszym z wielu tego wieczoru, czym broniłem się przed pogrążeniem w druzgoczącej depresji. A wszyscy wiemy, że gdy się przesadzi z alkoholem, sytuacja całkiem niedobra w mgnieniu oka może przeistoczyć się w zupełnie koszmarną.

Kiedy Isobel opowiada mi ze szczegółami, jak to jej brat właśnie wyszedł z więzienia, gdzie odsiedział sześciomiesięczny wyrok za włamanie, w które „wrobili go ci cholerni gliniarze”, jestem już w połowie piwa numer pięć, a tyłek Isobel nie wydaje się tak znowu bardzo kanciasty.

Przy piwie numer siedem moja ręka ląduje na jej udzie, ona zaś masuje mi pod stołem genitalia. Masuje... choć należałoby raczej powiedzieć *ugniata*. Jeśli któregoś dnia Isobel postanowi przekształcić salon fryzjerski w piekarnię, to ruchy i technikę wyrabiania ciasta ma już perfekcyjnie opanowane.

A mimo to dostaję erekcji – co tylko dowodzi, że gdy od dwóch lat nie uprawiasz seksu, fakt, że ktoś miętosi ci zawartość gaci niczym ciasto na wypieki, niekoniecznie uniemożliwi ci osiągnięcie podniecenia.

– Włóż mi rękę pod spódnicę – szepcze mi do ucha.

Z pijackim posłuszeństwem spełniam polecenie, ładując rękę między nogi Isobel z gracją i delikatnością, jakiej należy się spodziewać po kimś o takim stężeniu etanolu we krwi. Czuję się jak rzeźnik, który przygotowuje się do nadziewania świątecznego indyka.

Mój mały palec niechcący zahacza o jej podwiązkę, przez co boleśnie się wygina, a kciuk w tym samym momencie dźga ją między wargi sromu. Lecz wygląda na to, że Isobel nie ma nic przeciwko temu. Łypie na mnie pożądliwie niczym przestępca seksualny i nachyla się do pocałunku. Jedną dłonią miażdży mi jądra w morderczym uścisku, drugą zaś rękę owija wokół mojego przedramienia, przytrzymując moją dokładnie tam, gdzie chce – to jest tuż nad jej futrzakiem.

Z wielką dumą przyznam, że zdołałem się nie zrzygać.

I to nawet w chwili, gdy moje nozdrza znów atakuje przerażający fetor dobywający się z jej ust – na tym etapie cudownie wymieszany z wonią siedmiu podwójnych wódek z red bullem. Jej język nurkuje w moim gardle, jak gdyby postawiła sobie za cel polizać mnie po nerkach. Czuję się jak John Hurt w *Obcym*.

Po trzydziestu sekundach, które trwały ze dwie godziny, Isobel daje mi złapać oddech, ja zaś usiłuję nie puścić pawia. Zdaje się, że mam do czynienia z jedną z najgorszych sytuacji w moim życiu, lecz gdy spoglądam w dół, odkrywam, że mój pokiereszowany penis jest zgoła innego zdania i doprasza się o jeszcze.

Isobel ponownie wsysa się we mnie, jednocześnie rozpinając mi rozporek w imponującym akcie podzielności uwagi, pewnikiem wyćwiczonej dzięki latom praktyki. Długie paznokcie zagłębiają się w mych spodniach i chwytają zdobycz. To, co następuje potem, w pełni zrozumieć mogą jedynie dojne krowy.

Zarazem jednak dzięki tej zmianie chwytu jestem w stanie wycofać rękę z wilgotnego sekskociołka, jaki bulgocze pod jej spódnicą.

Wyrywam się z wywracającego bebechy pocałunku, łapię kufel z końcówką siódmego piwa i dopijam drania jednym łykiem, starając się powstrzymać łzy upokorzenia.

– Chcę cię przerznąć – gulgocze mi do ucha Isobel.

Istotnie? Sam bym się nie domyślił... co prawda... praktycznie walisz mi konia w miejscu publicznym, a spódnicę masz tak podciągniętą, że widzę twoje stringi ze sklepu osiedlowego...

– No dobra – bąkam, przerażony, że za chwilę wytrysnę jej na rękę, tym samym niwecząc jej odrażające zamiary co do mojej osoby; bez wątpienia chce je wprowadzić w czyn w czeluściach pieczary, którą zowie domem.

Po krótkiej, acz traumatycznej przejażdżce taksówką z zaskoczeniem stwierdzam, że pieczara okazuje się całkiem ładną połówką bliźniaka z trzema sypialniami, położoną w dzielnicy, gdzie dilerzy narkotyków mają na tyle przyzwoitości, że nie wychodzą z towarem na ulicę.

– Chałupa mojej mamci – wyjaśnia Isobel. – Mieszkam tu tylko do końca swojego rozvodu.

Naprawdę zamorduję Jackie.

Mamci Isobel dzięki Bogu nie ma w domu. Jeśli choć po części przypomina swoją córkę, skończyłoby się to trójkątem, który wpędziłby mnie przedwcześnie do grobu. Ledwie zdążyły się domknąć drzwi wejściowe, a Isobel już łąduje na kolanach i ponownie rozpina mi spodnie. Wyciąga mój zmaltretowany członek, który na tym etapie zaczyna wyglądać jak maczuga jaskiniowca.

Kolejny punkt programu akuratnie może sobie odtworzyć każdy czytający to dżentelmen. Paniom pozostaje zdać się na własną wyobraźnię. Należy po prostu zlokalizować najbliższy odkurzacz, włączyć go i wsadzić swój interes w rurę ssącą. Jeśli w okolicy zdołacie znaleźć jaka usiłującego wykrztusić nader pokaźny kłęb sierści, zapewni to również odpowiednie wrażenia akustyczne.

Nie żebym się skarżył. A przynajmniej nie w głos. Po raz pierwszy od dwóch lat ktoś mi zrobił lodzika – od dwóch lat, to jest odkąd Carla uznała, że jej szef stanowi pewniejszą gwarancję doczekania się zdrowych dzieci oraz zbilansowanego stanu konta, i czym prędzej mnie zostawiła. Wtedy byłem tą decyzją zaskoczony, ale z perspektywy czasu powinienem był się tego spodziewać. Zwłaszcza biorąc pod uwagę nasze życie erotyczne. Z codziennych seksmaratonów na początku znajomości po czterech latach pozostał jeden w miesiącu wieczorny seans, który mało satysfakcjonujący punkt kulminacyjny osiągał zazwyczaj przed napisami końcowymi.

Należy zaznaczyć, że Carla nigdy nie była w stanie pomieścić w ustach obydwu moich jąder. Isobel to pod tym względem dziewczę zdecydowanie bardziej utalentowane. W pewnym momencie przestaje udawać fokę na cyrkowym występie i wstaje z klęczek ze zwierzęco agresywnym spojrzeniem, a ja zaczynam żałować, że nie powiedziałem moim bliskim, dokąd się tego wieczoru wybieram.

– Na górę, chłoptasiu – rozkazuje. – Zaraz się we mnie wgryziesz.

Domyślam się, że chce przez to powiedzieć, że ma ochotę na *cunnilingus*, nie zaś na poddanie się kanibalizmowi. Stuprocentowej pewności jednak nie mam.

Isobel wciąga mnie za pasek po schodach na górę i prowadzi do swej sypialni, podczas gdy mój członek fajta się radośnie na wolności. Na drzwiach pokoju figuruje dziecięca plakietka z imieniem „Isobel” wypisanym na różowo w odcieniu właściwym gumie do żucia. Po obu stronach imienia przysiadły ubrane w baletowe spódniczki wróżki o głupawych uśmiezkach na cherubinowych liczkach. Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem o krok od odbycia stosunku z agresywną seksualnie rozwódką w jej pokoiku z dzieciństwa.

Kiedy jesteśmy już w środku, Isobel w mgnieniu oka ściąga spódniczkę, pozwalając mi nacieszyć oko (powiedzmy) widokiem jej kanciastego tyłka. Następna leci bluzka, a spod niej wyłaniają się owe atrakcyjne piersi, o których już wspominałem.

Skup się na cyckach, Jamie, powtarzam sobie. Skup się na cyckach i potem już pójdzie.

Isobel kładzie się na łóżku, ściąga swoje tanie stringi i rozkłada nogi.

– Bierz się do roboty – brzmi rozkaz.

Na tym etapie już nawet mój członek zaczyna mieć pewne wątpliwości co do tego nieszczęsnego przedsięwzięcia i traci swój dotychczas radosny nastrój. Skoro już jednak zabrnąłem tak daleko, istotnie muszę „wziąć się do roboty” najlepiej, jak tylko potrafię.

Na całe szczęście trapiące Isobel problemy z higieną ograniczają się jedynie do jamy ustnej, w innym bowiem wypadku wypite przeze mnie siedem piw zapewne w tym właśnie momencie powróciłoby na scenę z tryumfalnym bisem.

Isobel łapie mnie za uszy i wciska moją głowę w swoje łono tak mocno, że przypomina to puszczaną od tyłu scenę porodu. Ja chłopcę językiem jak porażony artretyzmem pies, starając się jak najlepiej zaspokoić jej żądze, cały czas boleśnie świadom, że w najbliższej przyszłości nadejdzie moment, gdy będę musiał wsunąć w Isobel mój, obecnie sflaczały, członek.

Cała scena z obiektywnego punktu widzenia przedstawia się teraz tak żałośnie, że dorosłego mężczyznę mogłaby doprowadzić do płaczu. Oto bowiem kucam na podłodze obok jednoosobowego łóżka Isobel, po pijaku

zaspokajając ją oralnie, a zarazem młóć bezmyślnie penisa w rozpaczliwej próbie osiągnięcia erekcji na tyle silnej, by móc tę żarłoczną seksualnie fryzjerkę spenetrować. Isobel natomiast ściska mnie nogami za szyję, swą głowę odrzucając do tyłu w orgiastycznym geście cielesnej rozkoszy.

– Zerznij mnie wreszcie! – skrzeczy niczym nabuzowany sierżant na placu apelowym.

– Robi się! – krzyczę służalczo i wstaję, wciąż szarpiąc wacka jak opętany. Na szczęście stoi mi akurat na tyle, bym mógł go wsunąć w jej mroczną domenę.

Jakbym cisnął parówką do czteropasmowego tunelu.

Nie dane mi było poznać już niebawem byłego męża Isobel, lecz w jego kodzie genetycznym pewnikiem można znaleźć DNA rumaka.

Choć sam obwodem nie imponuję, a do tego borykam się z awarią ciał jamistych, Isobel najwyraźniej bawi się doskonale i wyrzuca z siebie wiązanki takich bezceństw, że aż żałuję, że nie wziąłem ze sobą krucyfiks.

– Oo, taaak... rznij tę rozgrzaną cipkę, napalony draniu!

Robi się, proszę pani! Tylko proszę mnie nie krzywdzić!

– Jesteś taki duży!

Jestem całkiem pewien, że jest inaczej, ale dzięki za wotum zaufania.

– Zaoraj mnie, skurwielu. Zaoraj mnie!

I jeszcze może palik prosto w serce i trochę wody święconej? Czemu nie?

– Spuść mi się na twarz! Chcę to poczuć w ustach!

Czyli być może właśnie poznaliście przyczynę tak potwornego oddechu.

W tym momencie chcę już tylko dojść... i wyjść. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż wyrwanie się z tej piekielnej sekskapady i odwrót ku ciszy i spokojowi mojego jednoosobowego domu. Przez trzydzieści jeden lat życia na tej ziemi nigdy nie czułem się aż tak bezradny.

Isobel niespodziewanie przestaje się ciskać niczym flądra wyrzucona na ląd i spogląda mi prosto w oczy.

– Skończyłam. Wyciągnij go i spuść się na mnie.

Pewnego razu przeczytałem, że Wszechświat jest miejscem zupełnych przeciwieństw: dobra i zła, światła i ciemności, miłości i nienawiści – i tym podobnych zestawień. Jeśli istnieje na świecie miejsce symbolizujące miłość, romantyzm i namiętność... to sypialnia tej kobiety w ową czwartkową

styczniową noc stanowi bez wątpienia jego całkowite przeciwieństwo.

Isobel rozwiera paszczę tak szeroko, że czuję się, jakbym miał wytrysnąć do kubła na śmieci.

Z ponurym stęknieniem spuszcza się na moją randkę w ciemno, trafiając ją między innymi w oko. Sperma bryzga też na jej piersi i twarz, gdzie wraz z nasieniem lądują resztki mojej godności. Wiem, że choć nie zostałem właśnie zgwałcony, bez wątpienia było to doświadczenie pokrewne.

Upycham małego z powrotem w gacie i spoglądam na Isobel. Wraz z plemnikami pozbyłem się też resztek pozorów.

– Mogę już iść? – pytam markotnie.

Wyraz seksualnego zaspokojenia na twarzy Isobel ustępuje miejsca odrazie.

– Aleś ty uroczy! Ja ci robię dobrze, a ty od razu chcesz się zmyć?

Zaczynam mówić, że jedyną osobą w tym pokoju, której było dobrze, jest ona, lecz nie jestem w stanie zmobilizować się do obrony, więc tylko z rezygnacją kiwam głową.

Isobel zrywa się na równe nogi.

– No to spieprzaj! – krzyczy i wskazuje palcem w stronę drzwi.

Na dłoni wciąż ma nieco mojego „produktu”, który w tym momencie gwałtownie odrywa się od palca, przelatuje przez pokój i rozbryzguje się na kiepsko namalowanym obrazku Jezusa, zawieszonym powyżej toaletki. Jeśli ktoś by mi powiedział, że na koniec wieczoru moje nasienie spłynie po policzku Pana Naszego Jedynego, zapewne zostałbym w domu i pograł w *Gran Turismo*.

Może i Isobel jest spragnioną mężczyzn wariatką o apetycie seksualnym porównywalnym z paliwożernym bolidem Formuły 1, ale okazuje się też świrem religijnym.

Wydaje z siebie pełen bóleści ryk, podbiega do obrazka i zaczyna przecierać go bluzką. To obraz akrylowy, toteż gorączkowe próby usunięcia mojej męskiej marynaty prowadzą jedynie do rozmazania policzka Pana. Isobel wybuchła szlochem.

– Przepraszam! – mówię płaczliwie, jak gdybym to rzeczywiście ja sam podszedł i umyślnie spuścił się na święte oblicze.

– Po prostu spieprzaj! – rozkazuje Isobel, a ja tym razem z rozkoszą

stosuję się do jej polecenia.

– No to... na razie! – rzucam, macham niepewnie na pożegnanie i czym prędzej się ulatniam.

Przeskakując po dwa stopnie, docieram na parter w trzy sekundy – akurat w porę, by zobaczyć wchodzącą do domu matkę Isobel. „Dobry wieczór pani, dopiero co spenetrowałem pani córkę i umailem spermą oblicze Pana” nie wydaje się najlepszą formułką powitalną, więc raz jeszcze macham niepewnie dłonią, dokładając do tego iście obłąkańczy uśmiech.

Uznaję, że najlepiej będzie nie czekać na reakcję, toteż ile sił w moich krótkich nóżkach biegnę frontową ścieżką, żywiąc nadzieję, że mama Izzy nie napatrzyła się na mnie wystarczająco dobrze, by móc dokładnie opisać mnie policji.

Trudno w to uwierzyć, ale następnego dnia dostaję od Isobel wiadomość:

To była dziwna noc. Ale fajny jesteś. Masz ochotę na powtórkę? Jak chcesz, możesz mnie wziąć od tyłu. Buziaki.

Jak na razie powstrzymałem się od odpowiedzi.

PAMIĘTNIK LAURY

2 II, ŚRODA

Droga Mamo!

Twoja córka to zakała rodzaju ludzkiego. Wszelką możliwość odkupienia swych win bezpowrotnie zaprzepaściłam minionej nocy aktem tak obmierzłym, że prawdopodobnie nigdy już się po nim nie pozbieram. Na swoje wytłumaczenie mogę jedynie powiedzieć, że zrobiłam to, ponieważ, tak czy inaczej, muszę „wrócić do gry” – a zaspokojenie Briana dłonią na naszej pierwszej randce z jakiegoś powodu wydało mi się odpowiednim ku temu sposobem.

Konkretny powód, dla którego uznałam walenie konia dwudziestodziewięcioletniemu zezowatemu agentowi nieruchomości za najbardziej adekwatną metodę powrotu do randkowania, wciąż wymyka się mojej percepcji.

Był to uczynek zupełnie do mnie niepodobny.

Koniec końców nie na taką dziewczynkę mnie wychowałaś. Dotychczas nie zdarzyło mi się nawet pocałować gościa przed trzecią randką. Ale oto siedziałam na fotelu pasażera w vectrze z 2002 roku i bawiłam się w dojarzkę, wyglądając przy tym przez okno i zachodząc w głowę, jak też znalazłam się w tym punkcie życia.

Wiesz, że kiepsko ze mną było po rozstaniu z Mikiem – ale chyba dopiero wpatrując się w penis Briana, podczas gdy jego właściciel zezował i zaczął się ślinić, sama zdałam sobie sprawę, jak potężny był to cios dla mojej samooceny.

Wcale nie chciałam iść na tę randkę. To Tim mnie namówił.

– Dalej, Loz, będzie dobrze – przekonywał nad swym cappuccino z nutką migdałów. – Dan twierdzi, że Brian to bardzo fajny chłopak. Chodzą razem na siłownię. Podobno nie jest jakoś wyjątkowo hojnie wyposażony, ale poza tym ciało ma wspaniałe.

– No nie wiem, Tim. Jakoś nigdy nie układało mi się z facetami poznanymi na randkach w ciemno. Chyba pamiętasz jeszcze tego gościa od gatek? Ja jak najbardziej pamiętam. Wciąż jeszcze pojawia się w moich koszmarach.

– Nie możesz już dłużej czekać beczynnie na pojawienie się księcia z bajki, moja mała. Wiesz, że na horyzoncie majaczy już ta upiorna trzydziestka!

– Tak, tak. Wiem.

I wiem to aż za dobrze. Obawiam się, że lata oglądania niewłaściwych filmów i czytania niewłaściwych czasopism przekonały mnie (podobnie jak milion innych kobiet), że jeśli w chwili osiągnięcia trzydziestki nie żyje się w udanym związku, to jest się w sytuacji gorszej niż zakażenie trądem. Gdybym zawczasu wiedziała, że mnie to spotka, to unikałabym wszelkich filmów z Jennifer Aniston, a zamiast tego czytałabym magazyn „Mój Camper”.

Na twarzy Tima pojawia się uśmiezek, który ani trochę mi się nie podoba.

– Dan pokazał Brianowi twoje zdjęcie na Facebooku – mówi z błyskiem w oku. – Podobno naprawdę mu się spodobałaś.

– Jasna cholera, Tim! Mogłeś mnie uprzedzić. W dalszym ciągu jako zdjęcie profilowe mam to w kostiumie narzeczonej Frankensteina z zeszłorocznej imprezy halloweenowej.

– Nie martw się, Dan na pewno nie skupił się akurat na twoim stroju. Jestem pewien, że przeszedł od razu do sesji w bikini na plażach Goa.

– Wcale nie jestem przekonana, że tamte zdjęcia są dużo lepsze.

– Daj spokój! Z opalonymi cyckami wyglądasz fantastycznie.

– Cudownie. Dziewczę z klasą, nie ma co.

– Loz, w randkach nie chodzi przecież o klasę. Heteroseksualny facet zawsze poleci na cycki. Brian naprawdę ma ochotę się z tobą spotkać.

Wyjrzałam przez okno Starbucksa mniej więcej w taki sam sposób, w jaki parę dni później miałam wyglądać przez okno samochodu Briana.

– No dobra. Jakoś to będzie.

– Świetnie. Powiem Danowi, żeby dał mu twój numer. Czekał na telefon!

I tak oto, Mamusiu, umówiłam się na randkę. Zawsze mówiłaś, że Tim wywiera na mnie negatywny wpływ i że przez niego wpakuję się w tarapaty.

Wiem, to koszmarny stereotyp, że samotna dziewczyna ma przyjaciela geja, ale Tim zawsze w przeszłości udzielał mi słusznych rad – jak choćby wtedy, gdy w ostatniej klasie wyperswadował mi wytatuowanie sobie na

tyłku portretu Robbiego Williamsa, czy kiedy kazał rzucić tego świra Mitchella Niuchacza – zaledwie trzy tygodnie później policja aresztowała go za obnażanie się w miejscu publicznym. Nigdy nie podzielałam Twoich obaw co do konsekwencji mojej znajomości z Timem, toteż z tą randką w ciemno również musiałam mu zaufać – bezwarunkowo.

Pięć dni po wspomnianej pogawędce z Timem stoję przed lustrem i zastanawiam się, co, u diabła, włożyć, by zrobić wrażenie na agencji nieruchomości, co prawda niezbyt hojnie wyposażonym, ale mającym cudowne ciało.

Podjęcie decyzji nie jest łatwe. Mam wrażenie, że ktoś najwyraźniej włamał się do mojego mieszkania i okradł mnie z wszelkich wieczorowych kreacji, w których nie wyglądam jak prostytutka bądź jak babcia z rodziny amiszów. Moja garderoba pęka w szwach, lecz wszystko, co w niej mam, jest w równym stopniu okropne. Za każdym razem, gdy wybieram się na ciuchy, ogarnia mnie dziwaczna schizofrenia: jakaś zupełnie obca kobieta wciela się we mnie i dokonuje zakupu mnóstwa szajsu, którego nikt przy zdrowych zmysłach nigdy by na siebie nie włożył.

Przypominam sobie, jak wybierałam w H&M ten łososiowy kombinezon, uznając, że będzie ładnie współgrał z moją karnacją. Pamiętam wręcz, jak podchodziłam do kasy i za niego płaciłam, zadowolona, że trafiła mi się wspaniała okazja. Teraz jednak, gdy wpatruję się w ten kostium, widzę coś, w co na wieczór mogłaby się ubrać jedynie niepełnosprawna umysłowo daltonistka. Po trzydziestu sekundach spędzonych przed lustrem zaczynają mnie brać mdłości. Już sam kolor kreacji upodabnia mnie do oferty stoiska rybnego.

Nie takie skojarzenie chciałabym wywołać na pierwszej randce z Brianem.

Mój kontakt z posiadaczem Poza Tym Cudownego Ciała ograniczył się jak na razie do jednej rozmowy przez telefon, z mojej strony prowadzonej w alejce z owocami w Tesco. Kiedy ściszałam mango, starając się znaleźć owoc, który nie byłby nazbyt dojrzały, odezwał się dzwonek komórki. Odebrałam i usłyszałam głos Briana – brzmiał, jakby jego właściciel był cholernie spięty. Po paru zwyczajowych uprzejmościach zaprosił mnie do baru w śródmieściu pod nazwą Fluid. To jeden z lokali uczęszczanych przez mężczyzn w podrabianych garniturach Armaniego, jeżdżących porsche boxerami – w towarzystwie panien, którym widok jednego i drugiego automatycznie rozluźnia gumkę w majtkach. To, że Brian wybrał Fluid na

naszą pierwszą randkę, nie wróżyło zbyt dobrze. Osobiście wolałabym spokojniejsze miejsce z wystrojem niebazującym na kilku tonach chromu i aluminium na wysoki połysk.

Zarazem jednak, jak raczył mi przypomnieć Tim, trzydziestka zbliża się wielkimi krokami, ja zaś dojrzewam szybciej niż mango z supermarketu. Umówiłam się z Brianem we Fluidzie nazajutrz o dwudziestą i zakończyłam rozmowę. Rzeczonego „nazajutrz” serdecznie pożałowałam podjętej decyzji, wpatrując się w zawartość szafy z absolutną pewnością, że nie mam co na siebie włożyć.

Jedynym strojem, który choćby sprawiał wrażenie modnego, była czarna sukienka koktajlowa. Miałam ją na sobie jeden raz z okazji przyjęcia urodzinowego w zeszłym roku. Od tamtej pory nie wkładałam jej, jest bowiem zbyt krótka i odsłania moje kostropate kolana. Aby zamaskować ich koszmarny, zdeformowany kształt, byłam zmuszona wspomóc się rajstopami. Kiedy przed paroma miesiącami leniwie przeglądałam jakiś album w poczekalni, z przerażeniem zauważyłam, że powierzchnia Księżycy widoczna na zdjęciu bardziej niż trochę przypominała właśnie moje kolana.

Niestety, jedyną sukienką nadającą się na randkę była czerwona kupiona z myślą o Mike’u na naszą trzecią rocznicę. Jest niesamowicie obcisła i prezentuje moje piersi niczym towar na ladzie w sklepie mięsny. Bardziej bezpośredniego przekazu nie zapewniłaby mi nawet koszulka z nadrukiem „wagina do wynajęcia”.

A więc albo czarna sukienka koktajlowa, albo dzwonię do Briana i mówię, że dopadł mnie wirus „niechcemisiozy” i nie dam rady.

Za każdym razem, gdy otwierałam klapkę mojej stareńkiej nokii, w myślach pojawiał mi się pełen dezaprobaty wyraz twarzy Tima, toteż włożyłam rajstopy i wciągnęłam sukienkę przez głowę, przyjemnie usatysfakcjonowana, gdy tkanina bez trudu prześlizgnęła się po moich biodrach. Tym samym dowiodłam, że czekoladowa wyżerka sprzed paru tygodni nie miała większego wpływu na moją sylwetkę. Jeśli chodzi o bieliznę, zdecydowałam się na zwykłe czarne majtki biodrówki z pasującym do nich biustonoszem. Nie było sensu wkładać czegokolwiek seksownego, bo rajstopy i tak zupełnie rujnowały efekt estetyczny. Przedstawiały się mniej więcej tak zmysłowo, jak kurzajki w miejscach intymnych.

A zresztą nawet jeśli Brian miał naprawdę cudowne ciało, w żadnym razie nie planowałam wpuszczania go tej nocy w moje krzaczki, więc nad czym tu się zastanawiać?

Włosy związałam w koński ogon, jako że nie starczyło mi czasu, by je umyć. Postanowiłam też przyszczędzić na makijażu. Z mojego wyglądu bił wręcz komunikat „Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł”, co mi w sumie nie przeszkadzało. Jeśli Brian okazałby się pobudzający w każdym tego słowa znaczeniu, koronkowe stringi, farbę do włosów oraz karminową szminkę mogłam wyciągnąć przy okazji naszej kolejnej randki. Na takie rzadkie okazje trzymam wszystko przygotowane na dnie szafy w szufladzie, podpisanej „dziwkapitalne”.

Wsunąwszy na stopy koturny, za które zdecydowanie przepłaciłam na wyprzedazy w House of Fraser, wyszłam chwiejnym krokiem z sypialni, gotowa do boju...

Godzinę później rozważam już możliwość odwrotu na z góry upatrzoną pozycję. Nie żeby Brian od razu okazał się zły – po prostu zbyt łatwo można by go uznać za najnowszy towar w dziale tapet sklepu wnętrzarskiego.

Gdyby był kolorem, byłby beżem. Gdyby był krajem, byłby Szwajcarią. Gdyby był członkiem Take That, byłby Howardem. Jestem pewna, że świetnie pasowałby do podobnej mu kobiety, tyle tylko, że ja szukam kogoś jasnoniebieskiego, przypominającego Brazylię i Robbiego, toteż randka nie idzie nam za dobrze. Jakby tego było mało, rajstopy sprawiają, że poca mi się uda.

Pamiętasz, Mamo, jak zawsze wpajałaś mi, że powinnam być uprzejma? Po raz pierwszy Twoja rada okazała się chybiona. Gdybym nie była taka uprzejma, zapewne w chwili, gdy Brian zaczął opowiadać trzecią anegdotkę dotyczącą drużyny krykietowej, powiedziałabym, że wychodzę, nim z nudów dostanę wylewu krwi do mózgu.

Tymczasem jednak grzecznie popijałam swoje pinot grigio, starając się przywołać na twarz uprzejmy uśmiech za każdym razem, kiedy Brian puszczał żarcik na temat jakiejś niespodziewanej zagrywki albo ustawienia najbliższego łapacza. Podczas gdy on tłumaczył mi co subtelniejsze zagadnienia rozgrywek krajowych, ja odpływałam myślami i rozglądałam się po barze w poszukiwaniu osób, które mogły się czuć jeszcze gorzej ode mnie. To zresztą coś zupełnie naturalnego. Nieszczęścia chodzą parami, jak zwykli najczęściej mawiać ludzie nieszczęśliwi, szukający jakiegoś wsparcia.

Tego wieczoru klub w większości wypełniają zadowoleni z siebie dziani idioci, jednak dostrzegam jedną kobietę, siedzącą obok grubasa w podrabianym garniturze Armaniego i wyglądającą, jakby chciała zabić najpierw jego, a potem samą siebie. Nasze spojrzenia przecinają salę i przez

chwile porozumiewawczo na siebie zerkamy, wyczuwając wzajemnie swój ból.

Jestem na randce w ciemno z kimś, kto uważa, że tłumaczenie reguł krykieta to świetny temat do rozmowy, zdaje się mówić mój wyraz twarzy.

Naprawdę? No to prawdziwy miesiąc miodowy, złotko, odpowiada, choć między nami nie pada ani słowo. Ja jestem żoną tego kretyna od dwunastu lat i ośmiu dziurek w pasku. Właśnie opowiada mi, jak to portfel akcyjny zapewni nam dostatnią starość, błogo nieświadomy, że w przyszłym tygodniu rozwiodę się z nim, bo wiem, że mnie zdradza, i puszcze go w skarpetkach.

Nie do końca rozumiem, jak z przewrócenia oczami i przelotnego grymasu udaje mi się to wszystko odczytać, lecz jestem pewna, że to właśnie sobie myśli.

Wzdycham i zwracam się z powrotem ku Brianowi, który właśnie opowiada, jak należy wkładać ochraniacze do krykieta. Może Cię, Mamo, zastanawiać, jak z takiego stanu rzeczy przeszedłam do zaspokajania Briana na siedzeniu jego vectry. A czy może pamiętasz, jak miałam osiemnaście lat i wróciłam do domu o trzeciej nad ranem, a Ty dałaś mi szlaban, bo byłam dokumentnie ubzdryngolona? Pamiętasz, jak zawołałaś z dołu schodów „Takie są konsekwencje przeholowania z alkoholem!”, podczas gdy ja wypluwałam z siebie wnętrzności?

Grzeczne łyżki pinot grigio przeradzają się w łapczywe łyki, gdy Brian opowiada, jak to w zeszłym tygodniu urwał mu się kolektor spalin, kiedy jechał vectrą na comiesięczne spotkanie swego klubu gier planszowych. Nawet hausty wina nie pomagają, gdy zdradza, jak fascynująco przedstawia się obecnie sytuacja na rynku kapitałowym – a kiedy opisuje wspaniałą retro tapetę w stylu lat siedemdziesiątych, jaką w zeszłym tygodniu matka pozwoliła mu wykleić jego sypialnię, żałuję, że wino nie wpływa mi bezpośrednio do krwiobiegu. Moja towarzyszka niedoli zdążyła już wyjść ze swym tłustym małżonkiem, toteż nawet z jej strony nie mogę liczyć na niemą pociechę. Nie, teraz sama muszę stawić czoła Brianowi i jego anegdotkom. Nudziarz z niego, lecz niestety pinot podpowiada mi, że jest przy tym całkiem przystojny.

Lecz wino kłamie. Wino to zdradziecka, podstępna substancja, gotowa zawieść młode dziewczę ciemnymi i krętymi ścieżkami w miejsca, dokąd nie powinno się udawać.

Brian spogląda na zegarek.

– Laura, robi się całkiem późno. Czy mam cię podwieźć do domu?

Cóż, Brian, pomyślmy... Albo ty mnie podwieziesz, albo będę musiała wybulić dwadzieścia funtów na taksówkę.

Jestem już całkiem wcięta, a do tego mam na sobie rajstopy, przez co nogi pocą mi się jak cholera, więc zaryzykuję śmierć mózgową od twojej kolejnej anegdoty, o ile tylko dzięki temu zyskam darmową podwózkę i czym prędzej wrócę do domu.

– Chętnie, bardzo miło z twojej strony – odpowiadam i dopijam resztki piątego już sporego kieliszka wina.

Jakimś cudem, nie łamiąc nóg na dziesięciocentymetrowych koturnach, docieram do siedzenia pasażera w jego vेत्रze zaparkowanej na opustoszałym placu na tyłach klubu.

On siada za kierownicą i spogląda na mnie. Spogląda *tym* spojrzeniem. Spojrzeniem, które mówi: *Tego wieczoru wydałem na ciebie co najmniej trzydzieści funtów, więc mam nadzieję, że coś z tego będę miał.*

Mogłabym wszak po prostu się uśmiechnąć i powiedzieć mu, by ruszał. Nie sprawia wrażenia typka, który gotów jest rzucić się z łapami na kobietę, jeśli nie dostanie tego, czego oczekiwał. Lecz krążące w żyłach wino podpowiada mi co innego. Mówi, bym siedziała spokojnie i czekała na rozwój wydarzeń.

Brian nachyla się w moją stronę.

– Naprawdę dobrze się dziś bawiłem – mówi. – Łatwo się z tobą rozmawia.

Szczerze jestem tym zaskoczona, nigdy bowiem nie grałam w krykieta, nie rozpoznałabym figurki czarodzieja orków, nawet gdyby takowy ugryzł mnie w zadek, a do tego wprost nie znoszę lat siedemdziesiątych.

– Dzięki.

Nachyla się nieco bliżej.

Jak wiesz, Mamusiu, od pięciu lat nie całowałam się z nikim poza Mikiem. Może to i prawda, że nasz związek koniec końców rozpadł się na ostre i boleśnie raniące kawałki, ale wciąż pamiętam, jaki prąd przechodził mnie po czubki palców za każdym razem, gdy drań dotykał moich ust swoimi ustami. W owym czasie nie przeszło mi nawet przez myśl, że kiedykolwiek pozwolę się pocałować innemu facetowi, toteż w tej dziedzinie jestem podrdzewiała niczym blaszany kogucik na dachu.

Gdybym była trzeźwa, nie pozwoliłabym, by wypadki wymknęły mi się spod kontroli, lecz do głosu dochodzi wypite pinot i uznaje, że może należałoby pozwolić Brianowi na pocałunek, ot tak, dla przypomnienia. Technika Briana polega na wydeciu ust, jak zwykła to czynić moja babcia, żegnając się po świątecznym obiedzie, a następnie na dziobnięciu głową w przód niczym wygłodniały kurczak.

Przerywam pocałunek, nim zdoła rozbić mi głowę o okno pasażera. *I co teraz?*

– Cóż – odzywa się pinot – nie chcemy przecież całować go raz jeszcze, prawda?

Nie, za cholere. Nie trzeba mi siniaków na ustach czy pękniętej czaszki.

– A więc lepiej zrobmy coś innego, by go zadowolić.

Co zatem sugerujesz, o dziecię winnic Italii?

– Przelecieć go to krok odrobinę za duży.

Tak... nie da się ukryć.

– O lodziku nie chcę nawet myśleć, wystarczy nam ból szyi od dziwnego ułożenia na poduszce zeszłej nocy.

Fakt.

– Cóż, Lauro... mogłabyś mu zatem po prostu potrząpać. Od wieków nie miałaś w dłoni penisa, a powinnaś się upewnić, że wciąż potrafisz się nim posługiwać, nim zjawi się facet, z którym rzeczywiście chciałybyś zacząć się spotykać.

Logika wyvodu jest nie do obalenia. Sięgam lewą ręką w dół ku niechybnemu wybrzuszeniu między nogami Briana i je ściskam. Gdy to czynię, Brian wydaje z siebie dziwny odgłos, coś jakby bulgot. Nie wzdycha, nie stęka, nie wciąga nagle powietrza, a po prostu bulgotuje. Dziwne. Rozpinam rozporek i wyciągam członek, rzeczywiście bardzo przeciętny, lecz poza tym bez zarzutu.

– Och, Laura – szepcze bezgłośnie.

O Chryste, myślę sobie – i zaczynam rytmicznie pompować ręką w górę i w dół. Na własne nieszczęście najwyraźniej trafiłam na jedyne na świecie miłośnika gier RPG, który nie osiąga orgazmu w chwili, gdy tylko jakaś kobieta dotknie jego genitaliów.

Mija pięć długich minut pompowania i nic nie wskazuje, by Brian zbliżał się do happy endu. Teraz zaczynam układać w myślach listę zakupów, które

zrobię w Tesco. Prawdę mówiąc, nie wiem, co będę chciała kupić, jestem natomiast najzupełniej pewna, że odpuszczę sobie mango.

Następnie skupiam się na tematach zawodowych. Ostatnimi czasy to dyżurny temat do przemyśleń. Kiedy śniłam na jawie o założeniu własnego luksusowego sklepiku z czekoladkami, nigdy nie podejrzewałam, że to przedsięwzięcie okaże się tak stresujące. W myślach szykowałam się na pogawędki z zadowolonymi klientami i tworzenie w kuchni nowych kombinacji smakowych, które dawałabym im do degustacji, ani przez chwilę nie zastanawiałam się natomiast nad realiami w postaci księgowania zysków i strat w arkuszu kalkulacyjnym Excela czy też nad wypełnianiem rozlicznych formularzy bankowych w celu otrzymania kolejnej pożyczki, umożliwiającej mi utrzymanie się na rynku.

Podczas gdy w dalszym ciągu rytmicznie pompuję ręką, przede wszystkim myślę o tym, że przed końcem miesiąca będę musiała zamówić kolejną dostawę popularnych pralinek z pomadą oraz że z pewnością niebawem znowu zadzwonią ludzie z wytwórni ekologicznej czekolady, by się dowiedzieć, czy zamierzam w tym roku zamówić ich letnią kolekcję. Samodzielne prowadzenie sklepu przypomina żonglowanie piłkami w stanie nieważkości. Nie polecałabym tego nikomu z kiepskimi zdolnościami organizacyjnymi.

Przypominam sobie o tym, co robię, i spoglądam na Briana, który tymczasem dostał zęza. Po brodzie spływa mu cienka strużka śliny. Cała sytuacja zaczyna robić się absurdalna. W takim tempie, zanim wytryśnie, zdążę wytrzeźwieć. Czas na parę sprośności.

– Chcę, żebyś dla mnie trysnął, Brian, i to już – szepczę mu namiętnie do lewego ucha. I jestem przy tym szczerą. Mam w domu nagrane dwa odcinki *Domu nie do poznania*, które chciałabym zobaczyć przed snem.

Namiętny szept najwyraźniej się sprawdza (jak chyba zawsze?) i wstrząsany dreszczem Brian obryzguje moją dłoń i swoją kierownicę, ponownie wydając z siebie dziwaczny bulgot. Następnie zaś woła:

– Huucziimamma!

Nie wiem, co znaczy „huucziimamma”, ani też wiedzieć tego nie chcę.

Mam świadomość, że mężczyźni w chwili orgazmu mówią dziwne rzeczy (mój drugi facet za każdym razem krzyczał „A oto i magia!”), ale ten akurat nonsens stanowi klasę sam dla siebie. Brian wypowiada to głosem tak głębokim i gardłowym, że mam wrażenie, jakby jakiś afrykański szaman

rzucił na mnie urok. Aż strach pomyśleć, co też Brian może wykrzykiwać podczas orgazmu przy pełnowymiarowym stosunku. Jakkolwiek musi to brzmieć, jestem pewna, że na ludzi z sąsiedniej wioski potrafi w ten sposób zesłać plagę opryszczki.

Napędce wycieram się chusteczkami z paczki, którą (co lekko mnie niepokoi) Brian trzyma w schowku na rękawiczki, po czym wreszcie ruszamy w drogę do mojego domu.

Dowiodłam, że nadal jestem w stanie całkiem nieźle walić facetowi konia – i że oto powracam na scenę randkową.

Hurra!

Wytaczam się z vectry Briana, nim zdoła pocałować mnie na do widzenia.

– Możemy się spotkać ponownie? – woła przez okno, podczas gdy ja obchodzę samochód, szukając w torebce kluczy od domu. Spoglądam na pełną nadziei twarz Briana.

– Napiszę – kłamię.

Przemawiające przeze mnie wino ma na tyle przyzwoitości, bym poczuła się lekko zawstydzona, gdy Brian – zadowolony i zaspokojony seksualnie agent nieruchomości – posyła mi radosny uśmiech i odjeżdża w noc.

Czuję się dość koszmarnie. Otwieram drzwi od domu... i wreszcie wywalam się na wysokich koturnach, lądując na dywanie, przy czym jednym z moich nieforemnych kolan boleśnie uderzam się o schody.

Tak, nie da się ukryć, Mamo – Laura McIntyre wróciła na scenę randkową, i to z hukiem!

Kocham Cię i tęsknię za Tobą jak zawsze,

Twoja bezwstydną i zawstydzającą córką Laura

xx

PS Od czasu naszego spotkania otrzymałam *siedem* wiadomości od Briana, w których coraz natarczywiej dopytuje się o termin drugiej randki. Wciąż nie wymyśliłam, jak by tu go spławić, by jednocześnie nie wyjść na ostatnią sukę. Być może poproszę Tima i Dana, by powiedzieli mu, że dopadła mnie opryszczka. To go powinno przystopować.

BLOG JAMIEGO

SOBOTA, DWUDZIESTY SZÓSTY LUTEGO

Zawsze zdarzają się w życiu takie momenty, kiedy chciałoby się być kimś innym. Zeszłej nocy, gdy po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy wybrałem się na randkę w ciemno, chciałem być kimś o przynajmniej siedemdziesiąt trzy procent bardziej atrakcyjnym, z ilorazem inteligencji wyższym o dziesięć do dwudziestu punktów. Może wówczas nie czułbym, że startuję tak bardzo powyżej moich możliwości, i nie dopadłyby mnie objawy choroby wysokościowej.

Annika to bogini. Blondwłosa, o złotej cerze, idealna istota rodem z mitologii (czy też ze Szwecji, jak najwyraźniej określa się ów panteon).

Pracuje z moim kuzynem Seanem i jest od niedawna w mieście, toteż miała ochotę poznać nowych ludzi. Sean uznał, że ja byłbym w tym celu kandydatem idealnym, wiedział, że jestem dojmująco sam i z pewnością nie mam planów na wieczór.

– Brachu, ona jest zniewalająca – powiedział mi przez telefon.

– Hm... Naprawdę zniewalająca? Czy po prostu na tyle zniewalająca, by umówić z nią żalosnego kuzyna?

– Szczerze... tak cudowna, że ścina z nóg. Lepiej zabierz się do niej, zanim w try miga zrobi to ktoś inny. Chuj tam, sam bym do niej wystartował, gdyby nie kotwica w postaci trójki dzieci... no i gdyby nie to, że Denise tak wspaniale obciąża.

– No dobra. Ale jeśli ja tam pójde, a ona będzie wyglądać jak brzydsza siostra Susan Boyle, to cię zamorduję.

Bynajmniej nie wyglądała jak brzydsza siostra Susan Boyle. Ujmę to tak: jeśli ktoś przypominający mniej urodziwe rodzeństwo tej trylującej szkockiej wariatki znajdował się na jednym krańcu skali atrakcyjności, to Annika plasowała się na krańcu przeciwnym.

Była tak oszałamiająca, że zapierało krew w jajcach.

Ponieważ nie do końca dowierzałem Seanowi – uznałem, że albo on mnie wrabia, albo też po prostu ona ma bardzo niskie wymagania – nie przyłożyłem się nazbyt do przygotowań. Poza tym wspomnienie po nienazartej seksualnie Isobel wciąż tkwiło w mej pamięci, toteż byłem

zeterminowany zachować na spotkaniu trzeźwość.

Najlepszym na to sposobem było wybranie lokalu, w którym nie podają alkoholu. Posłusznie wysłałem wiadomość pod otrzymany od Seana numer, umawiając się z Anniką w Café

Leon, kawiarni w centrum nastawionej na ludzi, którzy mają za dużo pieniędzy oraz cierpią na chroniczną bezsenność.

Annika odpisała, że cieszy się, iż będzie mogła mnie poznać, co było już niezłym początkiem. Nie chce mi się wręcz zliczać okazji, w których nie dobrnąłem nawet do tego etapu.

Zjawiam się na miejscu przed czasem i następne dziesięć minut zastanawiam się nad wyborem czasopisma, które powinienem od niechcienia przeglądać w chwili, gdy Annika wejdzie do kawiarni.

„FHM” i „Loaded” bez dwóch zdań odpadają. Z „Empire” będę wyglądał jak kinoman, a z „Take a Break” uzna, że ma przed sobą idiotę. Decyduję się na „GQ” – magazyn, którego żaden facet w istocie nie czyta, a jedynie kupuje, by zaimponować innym.

Kolejne pięć minut rozważam, czy usiąść na brązowej skórzanej kanapie nieopodal kontuaru, czy też przy sąsiednim stoliku. Siadam przy stoliku – o ile potężna sofa zdaje się wygodniejsza, o tyle wyglądałbym na niej niczym pięciolatek czekający na tatusia.

Kiedy kelnerka przychodzi przyjąć zamówienie, odganim ją.

– Czekam na kogoś – oświadczam, jak gdyby cokolwiek ją to obchodziło.

Rozsiadam się, otwieram „GQ” na losowo wybranej stronie i usiłuję sprawiać możliwie interesujące i zniewalające wrażenie. W znacznej mierze polega to na lekkim mrużeniu oczu, opieraniu palca na podbródku i spoglądaniu z zamyśleniem ku górze. Bardziej jednak aniżeli członka elity kulturalnej przypominam kogoś w poczekalni u okulisty, kto czeka na przyjęcie poza kolejką.

Wchodzi Annika i już wiem, że jestem w *poważnych* tarapatach. Wygląda na to, że Sean nie ma niskich wymagań. Jeśli już, to wykazał się daleko posuniętą zdolnością niedoceniań fizycznej perfekcji. Nie będę nawet próbował precyzyjnie opisać wam tej dziewczyny. Zamiast tego zaproponuję, byście konstruktywnie spędzili dziesięć minut w internecie i wpisali do wyszukiwarki „oszałamiające dziewczyny ze Skandynawii”, po czym rezultat pomnożyli przez dziesięć. Właśnie tak mogłaby wyglądać jej mniej urodziwa siostrzyczka.

Zapewne zastanawiacie się, dlaczego jestem tak mało entuzjastycznie nastawiony. W końcu szczęściarz ze mnie, że oto jestem na randce z boginią, prawda? Nieprawda. *Nie, nie, nie.*

Byłbym całkiem zadowolony, gdyby okazała się po prostu bardzo atrakcyjną dziewczyną. Jestem wystarczająco pewny siebie, by umieć podtrzymać rozmowę z piękną kobietą, nie zapominając języka w gębie i przy tym nie robiąc z siebie idioty. Co tam, pewnego razu w windzie eleganckiego hotelu w Londynie natknąłem się na Scarlett Johansson i potrafiłem odbyć z nią uprzejmą pogawędkę, podczas gdy winda wiozła nas dziesięć pięter w górę. Okazało się, że Scarlett nie gustuje w rybach.

Toteż z pięknymi dziewczynami umiem sobie radzić. Tyle że akurat ta sztuka jest *absolutnie doskonała...*

Zawsze wydawało mi się, że szczeka może komuś opaść jedynie w kiepskim filmie, ale najwyraźniej zdarza się to również w życiu. Annika pojawia się ubrana w obcisłe czarne jeansy, które w pełni eksponują jej długie, rzeźbione uda. Jej blond włosy o barwie miodu promieniają zdrowiem. Czarne wysokie obcasy, które ma na nogach, sprawiają, że porusza się tak seksownie, że każdy mężczyzna po siedemdziesiątce padłby trupem, choćby zerknąwszy na jej wspaniałą pupę.

Całe szczęście, że kiedy wchodzi do kawiarni, ma na sobie zamszową kurtkę, gdybym bowiem z miejsca dostrzegł, jak oszałamiająco wyglądają jej cycki w pastelowo niebieskim swetrze, mózg zapewne by mi eksplodował.

– Cześć. Jesteś Jamie? – pyta z subtelnym akcentem z kontynentu.

Nie! Nie, to nie ja, o wielka i wspaniała. Jakżeby taki żałosny wór końskiego gnoju mógł choćby pomyśleć o randce z tobą? Jestem pewien, że Jamie, o którym mówisz, zjawi się niebawem. A teraz pójdę i usiądę sobie w kąciku, gdzie moje miejsce, i wpatrując się w ciebie, postaram się nie ślinić.

– Tak... tak, to ja – odpowiadam, a mój głos brzmi o oktawę wyżej niż zazwyczaj. – Miło mi ciebie poznać.

– Dzięki, ciebie też.

Annika zdejmuje kurteczkę, ja zaś nie jestem w stanie do końca zdławić cichego jęku podekscytowania, który wydobywa się z głębi mego gardła w chwili, gdy się rozbiera. O ile tylko istnieje klasyczny przykład biustu 75DD, to mam go właśnie przed sobą. Już nigdy nie będę w stanie spojrzeć na niebieski sweter i nie dostać przy tym potężnej erekcji.

– Czego... czego byś się napiła kawy herbaty czy może czegoś innego mają tu bardzo fajne babeczki zwłaszcza jagodowe ja też bardzo lubię te z czekoladą chociaż nie powinno się ich jeść zbyt wiele!

Nie, nie postradałem zdolności wstawiania znaków interpunkcyjnych w dialog. Tak to po prostu brzmiało.

– Yy... – Annika nie do końca załapała, o czym mówię... Co było zrozumiałe.

– Wybacz! – wykrzykuję, gdy siada naprzeciwko mnie. Biorę głęboki wdech i staram się odezwać tak, by nie brzmiało, jakbym właśnie odjeżdżał na amfetaminie. – Czego byś się napiła? Kawy?

– Chętnie, poproszę. Jeśli można, to latte.

Oczywiście, że można, ty bezbłędna, wyższa formo życia. Jeśli tylko byś mi kazała, byłbym gotów zaspokoić oralnie borsuka.

– Jasne, zaraz zawołam kelnerkę.

Zazwyczaj jestem gościem skromnym i dość wyluzowanym. Nie puszę się, nie popadam w arogancję, po prostu nie leży to w mojej naturze. Jednak w obecności Anniki czuję się niekomfortowo niczym karzeł impotent z centymetrowym penisem, toteż gdzieś w głębi mojego durnego mózgu rodzi się myśl, by owe rzekome niedoskonałości zrekompensować ostrą i brutalną postawą. Może jeśli sprawię wrażenie władczygo, nader pewnego siebie faceta, będę miał szansę przejść przez tę randkę bez obrażeń.

W normalnych okolicznościach poczekałbym grzecznie, aż kelnerka pojawi się w pobliżu, i uniósłbym niepewnie dłoń, równie nieśmiałym głosem przyzywając ją do stolika. Kelnerka, rzecz jasna, by mnie nie usłyszała, toteż byłbym zmuszony odczekać następnych parę minut, aż obsłuży dwójkę mrocznych gotów siedzących w narożniku.

Dzisiaj jednak postanawiam zademonstrować Annice moje buzujące męstwo. Namierzam kelnerkę w pobliżu kasy, podnoszę sztywne ramię ku górze, trzykrotnie strzelam palcami w ostrym staccato i na całą kawiarnię ryczę:

– KELNERKA!

W tym samym momencie zdaję sobie sprawę z własnej głupoty. Idealna brew Anniki unosi się w przerażeniu, gdy jej właścicielka uświadamia sobie, że ten, z którym jest na randce w ciemno, to Mister Arogancji.

Wszyscy w kawiarni patrzą się na mnie z różnym stopniem odrazy –

wszyscy, w tym również kelnerka, która najpewniej nie przywykła, by pomiatano nią niczym rekrutem właśnie zwerbowanym do wojska. Podchodzi do nas, mierząc mnie posępnym spojrzeniem.

Annika siedzi bez ruchu ze skrzyżowanymi ramionami. W tych wspaniałych niebieskich oczach widać, że już układa wymówkę, która pozwoli jej stąd wyjść.

– Ee... przepraszam – zwracam się potulnie do kelnerki. – Ostatnio cierpię na nadmiar woskowiny w uszach i jestem przez to trochę przygłuchy.

O ile istnieją kiepskie wymówki, to ta bije wszelkie rekordy. Nie ma lepszej metody na przełamanie lodów w rozmowie z kobietą niż poinformowanie jej, że w uszach zbiera ci się obrzydliwa woskowina. Kelnerka, której zwisa i powiewa kondycja moich kanałów słuchowych, zdaje się jednak przyjąć wy tłumaczenie z pewną dozą dobrej woli.

Kątem oka dostrzegam, że Annika wpatruje się uważnie w moje lewe ucho. Sprawy nie idą zbyt pomyślnie.

– Czego się napijecie? – pyta znudzona kelnerka.

Skoro pomysł markowania pewności siebie nie wypalił, być może z lepszym rezultatem zdołam zaprezentować się jako kosmopolita. Annika jest Europejką, a co za tym idzie, bez wątplenia dziewczyną obytą i światową. Jeśli zdołam odwołać się do tych cech jej usposobienia, zapewne mi się to opłaci... A jakże lepiej dowieść swego obycia, opanowania i otwarcia na nowe, ciekawe rzeczy, jeśli nie zamawiając kawę o jakimś ekscytującym smaku?

– Jedną latte oraz... – Zerkam na tablicę zawieszoną nad kontuarem. Widnieje tam około dziesięciu rozmaitych pozycji, z których nigdy żadnej nie próbowałem. Zazwyczaj zamawiam najnormalniejsze w świecie Americano... no, czasami w przypiływie szaleństwa proszę o mokkę. Lista, której się przyglądam, pełna jest smaków, o których nigdy nawet nie słyszałem.

Jestem świadomy, że zezując na tablicę w poszukiwaniu rodzaju kawy, jaki chcę zamówić, skupiłem na sobie spojrzenia Anniki i kelnerki. W desperacji postanawiam połączyć kilka pozycji.

– ...oraz odtłuszczoną mokkę cappuccino z sokiem z limonki, miętą i wanilią.

Kelnerka spogląda na mnie, jakbym właśnie nasrał jej na dłoń.

– Co?

– Ee... odłuszczone... eee... co to ja mówiłem? Hm... mokkę cappuccino z wanilią, limonką i odrobiną mięty. Tylko z podwójnym espresso. No i jeśli można trochę więcej mięty.

Dziewczyna zapisuje wszystko i posyła mi ostatnie pełne wzgardy spojrzenie, następnie odchodzi w stronę lady, by przekazać bariście najdziwniejsze zamówienie, jakie kiedykolwiek dane mu było realizować. Ja zwracam się ponownie ku Annice, przerywając pogłębioną i napawającą ją coraz większą odrazą obserwacją mojego ucha.

– To ciekawy wybór – przyznaje.

Rozpieram się na krześle i macham dłonią w geście zobojętnienia, który w moim mniemaniu czyni ze mnie równego gościa, podczas gdy wedle wszystkich wokoło wyglądam, jakbym się urwał z Parady Równości.

– Cóż, Annika, lubię próbować czegoś nowego. Inaczej życie staje się naprawdę nudne, nie uważasz?

– Skoro tak mówisz.

Zapada cisza cięższa niż pośladki Kim Kardashian. *Wymyśl coś, idioto. Powiedz coś.*

– Lubisz kawę?

Genialne.

Oto siedzimy w kawiarni, a ona dopiero co zamówiła sobie latte. Zważywszy na okoliczności, szanse na to, że lubi kawę, są nawet całkiem spore.

Trzeba jej przyznać, że mimo wszystko odpowiada na to zupełnie zbędne pytanie.

– Tak, piję mnóstwo kawy.

– Naprawdę? Rozpuszczalną czy mieloną?

Jasna cholera. Czy to naprawdę najlepszy pomysł na konwersację, na jaki mnie stać?

– Ee... Raczej rozpuszczalną.

– Wyśmienicie. Z kofeiną czy bez?

Dlaczego po prostu nie spytam jej, czy lubi patrzeć, jak schnie farba? Będzie po sprawie.

– Zazwyczaj z kofeiną, choć po dwudziestej przerzucam się na

bezkofeinową.

– To tak jak ja!

Wreszcie! Wreszcie coś, co nas łączy.

– Oo. To... to miło.

Zapadamy z powrotem w milczenie. Część mojego mózgu odpowiedzialna za podtrzymywanie rozmowy ogłosiła fajrant, powołując się na niemożliwe warunki pracy, i wyskoczyła na dymka. Z pozostałymi zwojami najwyraźniej nie jestem zdolny do niczego innego niż wgapienie się w piersi Anniki.

Nie chcę gapić się na piersi Anniki, lecz moja podświadomość wpadła teraz w jakiś zautomatyzowany tryb, którym chroni się przed przebiegiem tej koszarnej randki – a z obecną sytuacją zamierza sobie poradzić poprzez wpatrywanie się w cycki.

Następują niezwykle niezręczne trzy sekundy, podczas których wiem, że ona wie, że patrzę na jej cycki. Po kolejnych dwóch sekundach ona uświadamia sobie, że ja wiem, że ona wie, że patrzę na jej cycki.

Podejmuję tytaniczny wysiłek, by wyrwać się z tej automatyki i spojrzeć jej ponownie w oczy.

Na litość boską, powiedz coś, nieważne co!

Podnoszę wyświechtany egzemplarz „GQ”, który przeglądałem przed przyjściem Anniki.

– Czytuję „GQ” – mówię jej, dla podkreślenia mych słów machając czasopismem przed jej nosem. – Ty czytasz „GQ”?

Tak... Ależ oczywiście, że czyta. Stanowi wszak idealną przedstawicielkę grona czytelniczego lifestyle’owego magazynu dla mężczyzn, ty kretynie.

– Nie, nigdy nie czytałam.

– Ja owszem. Świetne pismo.

– W porządku...

– W tym numerze mają wyjątkowo interesujący artykuł o... – kartkuję czasopismo w poszukiwaniu jakiegokolwiek tekstu – ...o mężczyznach uzależnionych od zbyt częstej masturbacji.

Niech to szlag. Nie dopuszczam, by z moich zdradzieckich ust padły słowa „A czy ty byłaś kiedyś uzależniona od zbyt częstej masturbacji?”, i odkładam magazyn na stolik. Nastaje kolejny moment ciszy ciężkiej od niezręczności.

Miłosiernie przełamuje ją kelnerka, przynosząc Annice zamówioną latte, mnie zaś coś, co przypomina wydzielinę z nosa.

– Proszę bardzo – oznajmia, posyłając mi uśmiech. Jest to uśmiech pełen zaciekawienia, jak gdyby wraz z baristą założyli się, ile zdołam wypić.

Annika podnosi filiżankę. Nawet ona przygląda mi się uważnie, by zobaczyć, co się stanie.

Spoglądam na mój kubek z kawą, która jest wystarczająco mocna, by odwzajemnić spojrzenie, jeszcze się przy tym szczerząc.

Z trwogą chwytam ciepły kubek i podnoszę go do ust. Biorę łyk... i natychmiast żałuję, że nie mam upośledzonych kubków smakowych. Napój smakuje, jak gdyby ktoś rozpuścił opakowanie miętowych dropsów w słoiku neski i do smaku doprawił to płynem do zmywania naczyń. Twarz wykrzywia mi się niczym pysk buldoga żującego oset. Ale nie mogę przecież cholerstwa wypluć. Sam zamówiłem tę miksturę, aby sprawić wrażenie odważnego kosmopolity, więc teraz będę musiał to wypić.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Mmmm, psychota.

Staram się zaciskać usta jak to tylko możliwe, ponieważ istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że zęby nieodwracalnie zazielenią mi się od miętowego naparu.

– Smaczna? – odzywa się Annika i jej głos brzmi tak, jakby pytała człowieka słonia, czy jego schorzenie jest bolesne.

– Owszem – przyznaję przez zaciśnięte wargi. Aby udowodnić, jak smaczna, biorę kolejny łyk. Upłyną jeszcze cztery godziny, nim moje trzewia jednogłośnie wyrażą w tej kwestii zdanie odrębne.

Kelnerka patrzy teraz na mnie na poły z przerażeniem, na poły zaś z niechętnym podziwem. Ostrożnie wycofuje się i odchodzi do kontuaru, nie będąc w stanie oderwać oczu od parującej trucizny, którą właśnie mi podała. Pociągam ostatni łyk i z grymasem odstawiam wreszcie kubek, starając się wymyślić coś innego, o czym moglibyśmy porozmawiać.

– A więc... jak ci się żyje na Wyspach? – pytam Annikę, mając nadzieję uratować rozmowę i uciec od pochwał pod adresem kawy.

– A, bardzo przyjemnie – odpowiada ze szczerością.

– To wspaniale. Czy ani trochę nie tęsknisz za Szwecją?

Pytanie pobudza ją jeszcze bardziej.

– Tęsknię, i to bardzo. Zwłaszcza za rodziną. Ale nie tylko za nią.

– Na przykład za czym jeszcze? Nigdy tam nie byłem.

O wiele lepiej! Wreszcie rozmawiam jak normalny, dojrzały człowiek.

Podnosi wzrok.

– Za czystym powietrzem, za przyjaznymi ludźmi... Za krajobrazem.

– Za porno? – wcinam się.

– Słucham?

Jasny gwint.

Chichoczę nerwowo.

– No, wiesz. Za... tego... za porno? Szwecja z tego słynie, prawda? – *Zamknij się, Jamie. Zamknij tę swoją niewyparzoną jadaczkę.* – W zeszłym roku kumpel dał mi jakieś dziesięć płyt z tym towarem... Wszystkie dziewczyny wyglądały tak jak ty.

Nim ostatnia sylaba tego wyjątkowo durnego zdania zdąży opuścić moje usta, Annika zrywa się na równe nogi.

– Chyba powinnam już się zbierać – oznajmia, wkładając kurtkę.

– Ale... Ale przecież nie dopiłaś kawy! – zauważam, jak gdyby perspektywa rezygnacji z połowy latte wystarczała, by zatrzymać ją w towarzystwie najwyraźniej owładniętego obsesją na punkcie seksu, aroganckiego świra, który na dodatek pija kawę z miętą.

– Nie szkodzi – odpowiada. – Możesz ją sobie wypić. Jestem pewna, że jeśli poprosisz, mogą ci do niej wkroić plaster limonki. Żegnam.

Annika obraca się ku wyjściu i nie oglądając się już ani razu za siebie, wypada z kawiarni – i z mojego życia. Jej tyłek wciąż wygląda królewsko. Rozglądam się i dostrzegam, że para wystylizowanych gotów robi wszystko, co w ich mocy, by nie chichotać. „Moja” uprzejma kelnerka zniknęła za kontuarem, zza którego dochodzą mnie teraz parsknięcia śmiechu.

Siedzę przy stoliku, przez kolejnych pięć minut kartkuję „GQ” i czytam materiał o Pecie, który musi sobie strzepać przynajmniej osiem razy dziennie. Uznaję, że pięć minut to stosowny odstęp czasu, który należy zachować, by móc wyjść z lokalu, ratując pozory godności.

Posuwam się wręcz do tego, że upijam ostatni łyk miętowo-limonkowej kawy, po czym podnoszę się z krzesła, kładąc na stoliku odliczone osiem funtów (najwyraźniej odłuszczone mokka cappuccino z limonką, miętą i

wanilią jest nie tylko obrzydliwa, ale i pioruńsko droga), i czym prędzej wychodzę z kawiarni, poprzysięgając nigdy tam nie wrócić.

Tego samego wieczoru dostaję wiadomość od Seana. Jej treść zawiera się w zaledwie dwóch słowach:

Ty fucie.

W gruncie rzeczy nie mogę z tym polemizować.

PAMIĘTNIK LAURY

20 III, NIEDZIELA

Droga Mamo!

Pod względem wycucia mody przypominam opóźnionego w rozwoju szympansa. Jestem zupełnie niezdolna do zestawienia przyzwoitego kompletu, w którym nie wyglądałabym jak wariatka. Cała moja garderoba to smętna kolekcja hitów minionych sezonów, z których nie da się złożyć choćby jednego atrakcyjnego zestawu. Nawet nie chcę myśleć, ile setek funtów na nią zmarnowałam, tymczasem zawartość mojej szafy wygląda, jakby ktoś cisnął do niej granat wypełniony gnojowicą.

Jestem roztrzęsiona, ponieważ dziś wieczorem mam randkę z gościem o imieniu Graham, na którą umówiła mnie moja fryzjerka Stephanie. Tak, sprawy zaszły tak daleko. Problemy z własnym życiem uczuciowym powierzam kobiecie, która farbuje mi odrosty.

Naprawdę będę musiała nauczyć się trzymać gębę na kłódkę podczas wizyt w salonie. Ale tak łatwo przychodzi paplać o wszystkich swoich problemach, gdy w uszy sączy się kojący jazz, zaś gadatliwa kobieta masuje ci głowę w sposób niemalże doprowadzający do orgazmu. Steph powinna rzucić fryzjerstwo i wstąpić do wojska w charakterze śledczej. Pięć minut z jej magicznymi palcami na czerepie i każdy terrorysta wyda lokalizację swego tajnego magazynu ładunków wybuchowych, szczerząc się przy tym jak idiota.

Przy okazji ostatniej wizyty bezwiednie wspomniałam jej, że czuję się gotowa powrócić do randkowej gry, co wystarczyło jej do rozpoczęcia operacji Znajdźmy Penis dla panny McIntyre. Spośród zbioru znanych sobie mężczyzn wybrała dla mnie nieszczęśnika o imieniu Graham.

– Sądzę, że powinno między wami zaiskrzyć – stwierdza, zaczynając rwać folię na kawałki.

– Sama nie wiem, Steph. Ostatnia randka, na którą poszłam, skończyła się lepką rączką i skręconą kostką.

– Kiepska randka trafia się każdemu. Musisz pocałować całe stado żab, nim jedna z nich przemieni się w Davida Beckhama pod pierzynką z bitej śmietany.

Ma oczywiście rację. Nie mogę pozwolić, by zniechęciła mnie jedna główniana randka.

– No dobra, zrobię to – oznajmiam. – Ale czy ten gość jest *normalny*, Steph? Nie okaże się, że na przykład przebiera się za Hitlera i bezustannie ssie palec, co?

Steph prycha.

– Oczywiście, że nie! Nie zrobiłabym ci czegoś podobnego, słonko.

– W porządku. Spróbuję.

– Zuch dziewczyna!

Niestety, moja garderoba nie podziela entuzjazmu Steph. *Ech*. Nic to, po prostu ubiorę się na czarno. Czarne jeansy, czarny kardigan, czarne buty na wysokich obcasach. Dorzucę do tego białą koszulkę, żeby nie wyglądać jak ninja transwestyta. Życz mi szczęścia, Mamo, będzie cholernie potrzebne. Po powrocie zdam Ci raport.

Trzy godziny później... (czas-nie-do-odzyskania z życia Laury McIntyre).

Koniec końców szczęście nie okazało się potrzebne. Strój, który miałam na sobie, nie stanowił żadnego problemu. Szczerze mówiąc, równie dobrze mogłabym być przebrana za kurczaka, a i tak nie miałyby to większego znaczenia.

Wiedziałam, że sprawy nie potoczą się pomyślnie, w chwili gdy dostrzegłam, że mój wybraniec na ten wieczór przybywa do Café

Leon w kolarskich krótkich spodenkach. I to w takich naprawdę obcisłych, w których męskie klejnoty rzucają się w oczy niczym pierwszej jakości śliwki na wystawie w warzywniaku. Były połyskliwie srebrzyste (spodenki, a nie jego śliwki) z elementami w kolorze, który mogę jedynie określić terminem „nuklearna pomarańcza”. W tym samym odcieniu miał też obcisłą koszulkę kolarską. Oraz kask rowerowy. Jak również buty... I – dobry Boże! – sam rower.

Na zewnątrz są jakieś cztery stopnie ciepła i ciemno, choć oko wykol. A facet stawiał się na randkę ubrany w cieniutki kostiumik z lycry, w którym wygląda jak neonowe dildo.

Przez okno przyglądam się, jak podjeżdża na rowerze górskim. Café

Leon nie dysponuje niestety tylnym wyjściem, toteż nie mam którejdy uciec. Następnie obserwuję z martwiejącym sercem, jak przez dobre pięć minut przypina rower do stojaka na zewnątrz. Potrzebuje tyle czasu, ma

bowiem *trzy* osobne zabezpieczenia, które przekłada przez ramię oraz każdą z opon. Przed odejściem od roweru każdy z zamków sprawdza dwa razy... by po chwili wrócić i upewnić się po raz trzeci.

Staje się oczywiste, że nawet jeśli Graham okaże się wspaniałym facetem i zakocham się w nim na zabój, to większość czasu przyjdzie mi rywalizować o jego względy z tym pierdolonym rowerem.

Upewniwszy się, że jego ukochany środek transportu jest mniej narażony na kradzież aniżeli zawartość Fort Knox, Graham wchodzi do kawiarni... kroczem naprzód. Jeszcze nigdy nie widziałam u mężczyzny takiego kroku (żarcik niezamierzony), tymczasem jemu udaje się przemieszczać w ten sposób z wielką wprawą. Niektórzy ludzie chodzą z wyciągniętą głową, inni wysuwają przed siebie stopy. Graham zaś puszcza przodem penisa.

Biedaczkowi jest w tych spodenkach całkiem ciasno i nader niewygodnie, lecz Graham zdaje się tym absolutnie nie przejmować.

Po wejściu do kawiarni przygląda się kilku osobom, które siedzą nad wieczorną kawą, aż wreszcie dostrzega mnie. Niełatwo mnie przegapić, ponieważ jestem jedyną samotną kobietą w lokalu. Uśmiecha się szeroko i podchodzi do stolika.

– Dobry wieczór! Ty musisz być Laura!

Nie tylko jego strój okazuje się krzykliwy.

– Tak, to ja. A ty to Graham? – pytam z lekkim drżeniem w głosie. To ostatni przebłysk nadziei, że zaszła jakaś kolosalna pomyłka, a Kapitan Mocarne Krocze ma się w rzeczywistości spotkać z inną nieszczęśniczką o imieniu Laura, która po prostu nieco się spóźnia.

– W rzeczy samej!

Cholera.

Graham siada na krześle. Nogi rozstawia tak szeroko, jak to tylko anatomicznie możliwe, wystawiając genitalia na widok publiczny. Usiłuję nie zerkać między jego uda, ale to trochę tak, jakby prosić człowieka z przytkniętą do głowy bronią, by nie patrzył w stronę lufy.

Jednocześnie zastanawiam się, kiedy też zdejmie ten jasnopomarańczowy kask. Jak na razie się na to nie zanosi.

– Przepraszam za małe spóźnienie – szczeka. – Byłem na szesnastokilometrowej przejażdżce i zgubiłem się w sobie.

Co?

Mnie zdarzyło się zgubić w Hastings, w Milton Keynes oraz na Florydzie, ale nigdy *w sobie*. Czy to jakieś nieznanne mi eufemistyczne określenie masturbacji? A jeśli tak, to w jaki sposób przez cały czas był w stanie pedałowac?

– Aha, rozumiem. Nie przejmuj się, sama dopiero co przyszłam – odpowiadam, przybierając podejrzliwy wyraz twarzy. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że jestem na randce ze świrem. I to świrem dotkniętym najwyraźniej poważnym i bolesnym schorzeniem, z powodu którego musi siedzieć, jak gdyby między nogami miał jakiegoś pierdolonego konia.

– Laura, czego się napijesz?

– Białej kawy z dodatkową porcją espresso, jeśli byłbyś tak miły. – Jestem na nogach od piątej rano, więc wydaje się to odpowiednim wyborem.

– Robi się! – rzuca... i robi spluwy z palców. Wiesz, co to znaczy robić spluwy z palców? To wtedy, gdy ktoś celuje do ciebie palcem wskazującym i unosi kciuk. Powiedziałam „ktoś”? Miałam na myśli „jakiś czubek”. Aż dziw bierze, że nie wydawał przy tym odgłosów imitujących strzały.

Penis Grahama podnosi się z krzesła, a reszta ciała podąża za nim do kontuaru. Nigdy nie twierdziłam, że mam szczególny dar oceniania osobowości na podstawie pierwszego wrażenia, jednak jestem całkiem pewna, że udało mi się uchwycić istotę osobowości Grahama. Swoją drogą, na pierwszy rzut oka widać, za co można by uchwycić jego samego. Jest to facet z gatunku tych, którzy lubują się w wyczerpujących zajęciach na świeżym powietrzu. Daję głowę, że jest obeznany z paralotniarstwem, wspinaczką górską, speleologią oraz ekstremalną jazdą na rowerze górskim. Bez wątpienia przestrzega ściśle zrównoważonej diety i prawdopodobnie w regularnych odstępach bada własne odchody pod kątem obecności błonnika.

To typ gościa, który wszystko postrzega przez pryzmat wyzwania, który każdego ranka staje przed lustrem i mówi sobie, jak wspaniały będzie tego dnia we wszystkim, czego tylko się podejmie. *Jesteś wojownikiem!* – mówi sobie, napinając mięśnie klatki piersiowej, po czym wdziewa kombinezon z lycry i wyrusza w świat, by bez reszty irytować każdego, kogo tylko spotka na swej drodze. Nie słyszę, jak składa zamówienie, lecz jestem gotowa założyć się o newralgiczne elementy mojej anatomii, że zamawia coś na soi.

Ja *nie znoszę* ćwiczeń. A to dlatego, że jestem zwyczajną kobietą z

dwudziestego pierwszego wieku. Ćwiczenia należy podejmować jedynie wtedy, gdy wymaga tego własne odbicie w lustrze tudzież niedający się zignorować przyrost masy ciała. *Nie* jest to zaś aktywność, którą należałoby podejmować zamiast bardziej satysfakcjonujących rozrywek, takich jak jedzenie czekolady, oglądanie oper mydlanych czy uprawianie seksu. Jestem całkiem pewna, że Graham z wielką chęcią zrezygnowałby z tych wszystkich działań, by w szalejącej wichurze móc podjechać na rowerze pod Ben Nevis, radośnie podążając ku szczytowi za swoim penisem. Zapewne widział wszystkie programy, jakie kiedykolwiek nagrał Bear Grylls, zaś spłukiwanie toalety uważa za czynność godną homoseksualistów.

Mój proces myślowy przerywa penis Grahama, gdy jego właściciel przynosi napoje. Moja biała kawa wygląda przepysznie. Jego latte sprawia wrażenie anemicznej.

– Laura, proszę! – ryczy. – Zdajesz sobie sprawę, że to mnóstwo kofeiny? Powinnaś uważać, ile tego pijesz. Możesz mieć przez to masę sensacji żołądkowych.

Jejku. Prowadzenie uroczej pogawędki opanował do perfekcji.

– Taak... dzięki za radę – odpowiadam. Następnie postanawiam zaryzykować: – Jak tam twoja bezkofeinowa latte na soi?

– Wyśmienita!

Ha!

Graham siorbie swoją kawę, a ja pragnę coraz bardziej, by wspomniane sensacje żołądkowe powaliły mnie tu i teraz.

– Stephanie mówiła, że od niepamiętnych czasów jesteś sama! – rzuca Graham bez jakiegokolwiek wyczucia.

– Yy... tak, od paru miesięcy.

– To tak jak ja! Praca i kolarstwo pochłonęły mnie bez reszty. Nie miałem po prostu czasu, by wcisnąć w to jeszcze kobietę!

– Coś się zatem zmieniło? – pytam zaciekawiona, czy w końcu zaniechał prób uprawiania seksu ze swym rowerem górskim i postanowił wrócić do podstaw.

– Nie, w sumie nie, ale Stepho opowiedziała mi o tobie i pokazała twoje zdjęcie... Wyglądałaś na tyle atrakcyjnie, że warto było spróbować!

Dobry Boże.

– To... *miło*. Ja zdecydowanie wolałabym, by Stephanie opowiedziała mi

więcej o tobie – mówię, przygryzając krawędź mojego kubka z kawą.

– Fakt, prowadzę naprawdę interesujący tryb życia. Przypadłby ci do gustu.

– Domyślam się, że sporo czasu poświęcasz rowerowi górskiemu?

– Jak najbardziej! Niebawem przystąpię do dorocznego stumilowego rajdu terenowego po Krainie Jezior.

Naprawdę? A ja niebawem popadnę w skrajną rozpacz.

– Brzmi jak coś trudnego.

– Bo i jest! To będzie prawdziwe wyzwanie, ale przygotowuję się już od sześciu miesięcy. Dlatego też ćwiczyłem tuż przed przyjazdem do kawiarni. Wiesz, nie mogę przerywać programu treningowego tylko ze względu na spotkanie z kobietą!

– Nie, w żadnym razie. To zupełnie zrozumiałe, że przedkładasz swój trening nad przebranie się w bardziej eleganckie ciuchy. – Staram się nasycić tę wypowiedź możliwie dużą dawką sarkazmu. Rozmówca okazuje się na to odporny.

– Otóż to! Cieszę się, że mnie rozumiesz! – Graham bierze kolejny łyk swej bezsensownie zdrowej kawy. – Sprawiasz wrażenie dziewczyny, która lubi być aktywna, zupełnie tak jak ja!

Sprawiam?

– Laura, rowerujesz?

Jestem całkiem pewna, że nie istnieje czasownik „rowerować”, ale postanawiam mu tego nie wytykać.

– Mam jeden rower w szopie. Jest różowy.

– Dużo jeździsz?

– Ostatnimi czasy nie.

Graham podrywa się na nogi.

– No to chodź!

– Co?

– Chodź, wyjdźmy na zewnątrz. Możesz się przejechać na moim!

Z niedowierzaniem przesuwam spojrzenie ze szczerego oblicza Grahama na ciemny, lodowaty zimowy wieczór za kawiarnianym oknem.

– Teraz?

– No jasne! A czemu by nie?

Bo mi jeszcze nie odbiło – ot, czemu nie, ty durny dildo na ludzkich nogach.

– Yy... czy nie jest za zimno?

– A tam! Zaledwie rześko!

Nim się zorientowałam, Graham chwycił mnie za rękę i podciągnął do pozycji stojącej. Następnie siła jego głupoty przewycięża moje wahanie i z wyrazem zdumienia na twarzy zostaje pociągnięta ku drzwiom. Pozostali klienci kawiarni patrzą, jak wychodzę. Z ich punktu widzenia musi to wyglądać, jakbym była porywana przez jednego z członków Power Rangers. Nikt jednak nie rzuca się, by dzwonić na policję – dranie pozostawiają mnie na pastwę losu.

Na zewnątrz siła żywiołu atakuje moje odziane jedynie w sweterek ciało. Tymczasem Graham wydaje się całkowicie uodporniony na kłuszący ziąb marcowego wiatru.

Liczne zabezpieczenia roweru górskiego zostają rozpięte i nim mogę ponownie zaprotestować, Graham zaczyna potrząsać przede mną kierownicą.

– No to wskakuj! Ma aktywne zawieszenie, zobaczysz, jeszcze nigdy nie jechałaś na czymś tak wygodnym!

Cała się trzęsę, biorę rower i usiłuję na niego wsiąść. Rower jest męski, a moje jeansy są zdecydowanie zbyt ciasne, toteż zamiast przerzucić nogę na drugą stronę, uderzam kolanem o ramę.

– O psia kostka! – Graham chichocze.

Psia, kurwa, kostka?

Prawdopodobnie właśnie zgruchotałam sobie rzepkę, tymczasem on w ramach współczucia ma jedynie do zaoferowania powiedzonko, którego moja babcia przestała używać w latach pięćdziesiątych?

– Nic się nie stało. Czasami trochę trudno się do tych sprzętów przyzwyczaić, a już zwłaszcza kiedy jesteś dziewczyną, a rower jest męski. – Mówi to tonem tak protekcyjnym, że mam ochotę kopnąć go w jaja. Nigdy, przenigdy, do końca życia nie zamierzam się już z nim spotkać. Gdy nasza „randka” dobiegnie końca, wręcę mu zmyślony numer telefonu i natychmiast wezmę nogi za pas.

Zarazem jednak nie zamierzam pozwolić, by drań robił ze mnie idiotkę. Nawet gdy jestem w świetnym nastroju, nie lubię być pouczana, za żadne

skarby nie dopuszczę więc, by instruował mnie teraz ten chodzący wibrator, sfiksowany na punkcie ruchów kierownicy.

Stękam z wysiłku i przierzucam nogę nad poprzeczką, z całych sił zwalczając opór obcisłych jeansów. Kiedy udaje mi się wreszcie wdrapać na rower, siadam na siodełku z niezłomną determinacją w oczach. Muszę udowodnić temu kutasowi, że kobiety również są w stanie jeździć na durnym męskim rowerze górskim!

– Zuch dziewczyna! Dobra robota! – wykrzykuje z zachwytem. Unikam spoglądania w stronę jego krocza, bo istnieje ryzyko, że dostał przy tym erekcji.

– Chcesz włożyć mój kask? – proponuje, wskazując na niego, jak gdybym nie wiedziała, jak takowy wygląda. – Bezpieczeństwo przede wszystkim!

– Nie trzeba, dzięki. – Wieczór przebiega wystarczająco fatalnie, nie muszę na dodatek niszczyć sobie resztek fryzury jego absurdalnie pomarańczowym kaskiem rowerowym.

Moja stopa w bucie na obcasie dłuższą chwilę szuka pedału, aż w końcu znajduję wystarczający punkt podparcia.

Oddycham głęboko, odpycham się drugą nogą... i ruszam.

Jestem przekonana, że istnieją na tym świecie rzeczy trudniejsze niż jazda na rowerze górskim z amortyzatorami, w ośmiocentymetrowych obcasach, przylegających do ciała jeansach i cienkim sweterku. Jednak żadna z nich w tej chwili nie przychodzi mi do głowy.

Przednie koło zaczyna się kiwać. Stopy ześlizgują mi się z pedałów. Pośladkami wpijam się w siodełko najmocniej, jak tylko potrafię. Włosy opadają mi na twarz.

Tak bardzo skupiam się na tym, by nie pozwolić rowerowi się przewrócić, że dopiero kiedy jest już za późno na reakcję, zdaję sobie sprawę, że jadę wprost na miejscowego Burger Kinga. Jeden z zatrudnionych w nim pryszczatych nastolatków myje akurat okna, toteż otwarte drzwi podpira wiadro.

Nie zamierałam tego wieczoru odwiedzać Burger Kinga. A już szczególnie nie na jaskrawopomarańczowym rowerze górskim.

Zabawne, jak nasze plany niespodziewanie ulegają zmianie.

– O kurwa! – jęczę, gdy przejeżdżam przez próg. W przerażeniu zapominam, że rower ma hamulce.

Dwie dziewczyny – jedyne o tak późnej porze klientki baru – obserwują z niedowierzaniem, jak przemarznięta do szpiku kości chuda blondynka na wysokich obcasach podjeżdża aż do kontuaru, odzyskuje przytomność umysłu na tyle, by zahamować, nim wpadnie twarzą we frytkownicę, po czym z żalnym skrzykiem powoli przewraca się na bok na świeżo umytą podłogę.

Penis Grahama wkracza do lokalu, tuż za nim podąża zaś jego właściciel.

– Mój rower! – łąka.

Wygrzebuję się spod tego cholernego żelastwa, wiedząc, że nazajutrz rano na prawym biodrze będę miała dorodnego, rozległego siniaka. Graham podnosi rower i sprawdza, czy nie został uszkodzony. Tracę panowanie nad sobą.

– Wielkie dzięki, rowerowy dupku! Mogłam się właśnie zabić, a ciebie obchodzi jedynie twoja pomarańczowa kochanka!

– Zapłaciłem za to чудо trzy tysiące! – broni się.

– Doprawdy? A ile kosztował cię ten kostium? Ile dokładnie trzeba teraz zapłacić, by się ubrać jak ostatni sztuczny kutas?

– Hejże, Laura, uspokój się troszeczkę. – Udaje mu się nawet sprawić wrażenie skrzywdzonego.

– Nie, nie uspokoję się, *Graham*. Ja tylko chciałam napić się kawy z facetem i zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie... A koniec końców niemalże dosiadam kasy w Burger Kingu!

– Czy któreś z was zamierza coś zamówić? – pyta nastoletni kasjer.

– Nie! – krzyczę.

– A macie jeszcze jakieś sałatki? – pyta Graham.

Wyrzucam ręce w górę i z uczuciem obrzydzenia wypadam z Burger Kinga, zostawiając w środku neonowego fiuta, który zamawia sobie wieczorną przekąskę.

Nazajutrz zadzwoniła do mnie Stephanie, by dowiedzieć się, jak poszła randka.

Zaczęłam od opowiedzenia o stroju, w którym przyszedł Graham.

– Oj, to niefortunnie – przyznaje. – To dlatego wszyscy nazywają go Mosznoskrzatem.

No więc sama widzisz, Mamusiu. Czy powinno kogoś dziwić, że jestem

sama, skoro ktoś naprawdę uznaje za dobry pomysł umówienie mnie z gościem o przydomku *Mosznoskrzat*?

Kocham Cię i tęsknię,

Twoja posiniaczona córka Laura

XX

BLOG JAMIEGO

CZWARTEK, DWUDZIESTY PIERWSZY KWIETNIA

Zawsze uważałem określenie „szybka randka” za pewnego rodzaju oksymoron. Kiedy poszczęści mi się na tyle, by umówić się na wieczór z kobietą, spędzam niesamowitą ilość czasu na: a) zastanawianiu się nad wyborem lokalu; b) zamartwianiu się, co na siebie włożę; c) wymyślaniu jakichś dowcipnych i uwodzicielskich odzywek na użytek samej randki; a wreszcie d) przejmowaniu się tym, czy owa kobieta będzie chciała się jeszcze ze mną spotkać.

Pomysł, by uporać się z tym wszystkim w zaledwie parę minut, wydaje się zupełnie sprzeczny z intuicją. A zresztą wytypowanie miłości na całe życie z pewnością powinno być decyzją przemyślaną. W końcu mowa tu o całkiem poważnym wyborze, a nie dylemacie z gatunku „gdzie w sobotni wieczór zamówić jedzenie”.

Skoro już o tym mowa, podjęcie decyzji, czy mam ochotę na chińczyka, na coś hinduskiego, czy też może na kebab, zajmuje mi całe wieki, więc nawet ta analogia nie wydaje się odpowiednia.

Niemniej jednak jestem zdesperowany (o czym wszyscy wiemy aż za dobrze), a co za tym idzie – gotów spróbować wszystkiego przynajmniej jeden raz. Szczerze mówiąc, jeśli kolejne podejście nie wypali, zacznę zaczepiać na ulicy przypadkowe kobiety i tak długo błagać o bzykanko, aż któraś ustąpi albo wezwie policję.

Moja siostra Sarah natknęła się w gazecie na ogłoszenie reklamujące „Szybkie randki sam na sam w twojej okolicy!” i przyniosła wyrwaną stronę, by mi je pokazać. Kiedy bliscy chcąc znaleźć ci partnera, wertują dalsze strony lokalnych szmatławców, wiesz, że jesteś w tarapatach i jesteś żałosny.

- Dalej, co ci szkodzi spróbować – namawiała.
- Nie chcę. To głupie.
- Boże święty, Jamie, nie bądźże tak uparty. Nigdy nie wiadomo... a nuż będziesz się dobrze bawił!
- Mocno w to wątpię – przepowiedziałem, marszcząc brwi.
- Proszę cię, Jamie, zrób to – powiedziała Sarah, spoglądając na mnie

błagalnie. – Mama nie przestanie opowiadać, jak bardzo trapi ją, że nikogo nie masz. Jeśli sytuacja się nie zmieni, będzie znowu usiłowała umówić cię z Wendy.

Jęknąłem głośno. Wendy to wariatka. Jest córką jednej z psiapsiółek z wyższych sfer, z którymi mama chodzi na siłownię, a przy tym krzepką i hożą szajbuską z zamiłowaniem do jeżdżenia land roverami i strzelania do wszystkiego, co ma pióra. Bujała się we mnie, odkąd zostałem wepchnięty w jej pole grawitacyjne na jakimś organizowanym przez mamę koktajl party. Pomysł szybkich randek znienacka zaczyna wyglądać na o wiele bardziej atrakcyjną propozycję.

A zresztą, co niby mam do stracenia? Najwyżej resztki szacunku dla samego siebie.

Impreza odbywa się w Cheetah Lounge – nocnym klubie w samym centrum miasta, znanym z liberalnego podejścia do zagadnień koncesyjnych oraz ze sporadycznych aktów przemocy. Najwyraźniej jest to najpopularniejszy w okolicy lokal z szybkimi randkami. Podejrzewam, że wynika to wyłącznie z tego, że ceny w barze są naprawdę niskie i łatwo tam trafić, jeśli przez cały wieczór przypominano ci, jak bardzo jesteś samotny i żaloszny.

Stawiam się przed wejściem do klubu w stroju, który w moim mniemaniu spełnia definicję „swobodnej elegancji”, po czym zostaję wpuszczony do środka przez rośłego, łysego ochroniarza, niebędącego w stanie do końca powstrzymać się przed uśmiechem, gdy spogląda w oczy kolejnego frajera, który najwyraźniej nie potrafi zaliczyć panny. Taki przynajmniej wniosek wyciągam, widząc jego minę, choć przyznaję, że może zaczynam popadać w paranoję. Odniosłem wrażenie, że wszyscy, których mijąłem w drodze z domu, doskonale zdają sobie sprawę z tego, dokąd idę, i ledwie powstrzymują się, by z rechem nie wytykać mnie palcami.

Podążając za mało czytelnymi, pisanymi ręcznie wskazówkami, które rozmieszczono w różnych miejscach na murach rozległego wnętrza, przedostaję się na tyły klubu, do inspirowanej motywami latynoskimi części o nazwie El Cheetos. Po nieudolnie wymalowanych na ścianach marakasach i kapeluszach sombrero wnoszę, że to tu właśnie dokonują żywota wszelkie stereotypy.

Zostaję przywitany przez nadpobudliwą i chudą jak szczapa kobietę, która przedstawia się jako Natasha z Randek Sam na Sam. Jestem zaskoczony, że nie ma na sobie poncho tudzież wąsów à la Emiliano

Zapata.

– Jak się pan nazywa? – pyta.

– Glen Karczoch.

Być może zastanawiacie się, dlaczego podaję fikcyjne personalia. Jeśli sądzicie, że to dlatego, że całe to przedsięwzięcie uważam za żenujące, to macie rację tylko po części. Drugim z powodów jest to, że oglądam zdecydowanie za dużo programów na kanale Crime & Investigation Network, który znajdziecie w swoim dekodrze na pozycji tysięcy którejs, o ile tylko będzie się wam chciało go szukać.

Ostatnimi czasy oglądałem tam fascynujący serial pod tytułem *Zabójcze laski*, o kobietach, które mordują, i o tym, dlaczego to robią. Istnieją rozmaite powody, dla których panie te postanowiły odebrać komuś życie, lecz ich wszystkie ofiary łączy jedno: to mężczyźni. Pewna dziewczyna z Alabamy, niejaka Raylene Driscoll, namierzała swoje ofiary przez rozliczne internetowe serwisy randkowe, a gdy znajdowała kogoś, kto wpadał jej w oko, podpalała jego dom i delikwenta w środku. Nim dosięgło ją ramię sprawiedliwości, wariatka zdołała w ten sposób upiec sześciu nieszczęśników.

Była też urocza historia lubiącej się zabawić dziewczyny, niejkiej Mitzy Blake, którą podczas procesu o morderstwo przezwano „Nożyczkową damą” ze względu na zamiłowanie do atakowania śpiących kochanków nożycami kuchennymi. Na przestrzeni tygodnia krwawo przystrzygła trzech przypadkowych facetów, których udało jej się uwieść w osiedlowych barach niedaleko swojego miejsca zamieszkania.

Zważywszy na tak krzepiące przykłady tego, co może się przytrafić samotnemu mężczyźnie, ani myślę ryzykować. Jeśli tego wieczoru jest tu jakaś mordercza wariatka, która przed pójściem spać chciałaby jeszcze kogoś zarznąć, to namierzenie Glena Karczocha będzie dla niej stanowiło nie lada wyzwanie.

– Proszę, Glen – mówi Natasha i wręcza mi znaczek z wypisanym flamastrem moim fikcyjnym imieniem, a także dużym numerem trzynaście.
– Niedługo zaczynamy, ale jeśli chcesz, to wejdź już i zamów sobie coś do picia. Jak będziemy gotowi, damy wszystkim znać.

Przypinam znaczek do marynarki, posyłam Natashy niepewny uśmiech i wchodzę do części barowej.

Wokół stoją ze dwa tuziny mężczyzn i kobiet, a wszyscy sprawiają

wrażenie równie zdenerwowanych jak ja. Zamawiam drinka i staję przy barze, starając się wyglądać tak niepozornie, jak to tylko możliwe.

Jeśli mam być szczery, to więcej czasu poświęcam ocenie konkurentów aniżeli przyglądaniu się dziewczynom. Z punktu widzenia psychologii jest w tym zapewne coś bardzo niewłaściwego, ale nic na to nie poradzę. Jeden gość w białym bawełnianym garniturze sprawia wrażenie regularnego bywalca siłowni, jest jedynym osobnikiem, który wyróżnia się z tego niezbyt imponującego grona. Czuję się przez to koszmarnie, istnieje bowiem prawdopodobieństwo, że ja sam wyglądam równie kiepsko jak pozostali. Trzeba było włożyć coś, w czym bardziej zwracałbym na siebie uwagę. Strój Batmana może niekoniecznie zapewniłby mi wiele randek, ale tak odziany z pewnością zapadłbym obecnym w pamięć.

Ze zdumieniem zauważam, że żadna z kobiet nie sprawia wrażenia, jakby była na zwolnieniu warunkowym, ani też nie przypomina krowiej dupy, co nieco podnosi mnie na duchu. Być może pomysł na szybką randkę nie był wcale aż tak zły.

Mija pięć minut, podczas których nerwowo popijam moją dietetyczną colę, po czym Natasha zaprasza nas, byśmy udali się za nią do ukrytej za ciężkimi niebieskimi zasłonami rozległej sali tanecznej.

Wewnątrz rozstawiono niewielkie stoliki z krzesłami, tworząc z nich pierścień wokół parkietu. Łącznie grupa liczy szesnastu mężczyzn i szesnaście kobiet, a więc będziemy mieli okazję spędzić całe *pięć minut* z każdą przedstawicielką płci przeciwnej, przechodząc potem do kolejnej. Kobiety siadają przy stolikach, mężczyźni zaś mają przesuwać się o jedno miejsce w lewo. Po pierwszych ośmiu randkach nastąpi przerwa, będzie można się czegoś napić i skoczyć do łazienki.

Otrzymujemy formularze, które mamy na koniec wypełnić, zaznaczając, czy chcielibyśmy się ponownie zobaczyć z którymś z rozmówców. Jeżeli dwie osoby zaznaczą siebie nawzajem, firma umawia je później na randkę „właściwą”.

Cały mechanizm stanowi majstersztyk efektywności, więc zastanawiam się, czy fenomenowi szybkich randek nie wymyślił przypadkiem jakiś Niemiec. Z drugiej strony przypominam sobie, że niemieckie określenie sutka dosłownie oznacza „brodawkę piersiową”, i koniec końców dochodzę do wniosku, że chyba nie jest to jednak nacja szczególnie romantyczna.

Podchodzę do stolika trzynastego i siadam naprzeciwko rudej posiadaczki kanciastego nosa i wyłupiastych oczu.

Rozlega się brzęczyk. Szybkie randki czas zacząć!

Nie będę relacjonował sekunda po sekundzie każdej (przede wszystkim dlatego, że gdzieś w połowie pewnie bym się zabił), ale oto najważniejsze punkty:

Randka numer jeden to Carol.

Carol to czterdziestoletnia matka czwórki dzieci, która uwielbia tańczyć tango. Ja nie znoszę dzieci, nie pociągają mnie starsze kobiety, a do tańca ruszam wyłącznie, gdy jestem pijany jak szpadel. Mąż Carol rzucił ją dla swojej masażystki, zabierając ze sobą ich psa – Franka Kudłatego. Odnoszę wrażenie, że jak na pięciominutową randkę otrzymuję zbyt wiele informacji.

Opowiadam Carol, że jestem krajowym mistrzem jo-jo, mówię płynnie w suahili i dorabiam jako imitator Elvisa – skoro nigdy więcej się z nią nie zobaczę, dlaczego nie miałbym się przy tym trochę rozerwać? Właśnie tłumaczę jej, jak w suahili nazywają się jądra, gdy rozlega się brzęczyk i przesiadam się do kolejnego stolika.

Numer dwa to Angela.

Angela ma trzydzieści lat, jest bezdzietna i cały czas spogląda gdzieś w lewo. Zdecydowanie mnie to rozprasza. Sytuacji nie poprawia też jej nieco strapiony wyraz twarzy. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że tuż za mną stoi jakiś szaleniec z siekierą czy też wściekły yeti, gotowy w każdej chwili przypuścić atak.

Mówię Angeli, że jako sprzętowiec jeździłem w trasy z kapelą The Wurzels, całowałem się z języczkiem z Sinead O'Connor i potrafię gwizdać przez gałki oczne. Na szczęście brzęczyk odzywa się, nim byłbym zmuszony to zademonstrować.

Numer trzy to Bryce.

Bryce to mieszkająca na Wyspach Amerykanka, pracuje dla Nintendo. Podobnie jak gry, które sprzedaje, Bryce jest kolorowa, irytująca, trudna do zrozumienia i hałaśliwa. W odróżnieniu od rzeczonych gier nie ma jednak wyłącznika.

– Matko święta, jak ja uwielbiam programy Anta i Deca! – skrzeczy w moją stronę.

Mówię Bryce, że pracuję jako sekser kurczaków, że nigdy nie spałem w prawdziwym łóżku i że uważam, że Stephen Hawking udaje swoje kalectwo.

Pyta mnie, gdzie u kurczaka znajduje się członek, i w tym momencie rozlega się brzęczyk.

Randki numer cztery i pięć okazują się tak śmiertelnie nudne, że ledwo jestem w stanie coś o nich napisać. Nie pamiętam nawet imion tych kobiet, ale kojarzę, że według jednej z nich „asfalt” to piękne słowo. Jedna ubrana była na beżowo. Jestem prawie pewien, że druga była z beżu wręcz zrobiona.

Wiecie, jak to mówią, że jedna minuta potrafi ciągnąć się całe życie? Nieprawda. Jedna minuta może trwać i cały okres geologiczny.

Randka numer sześć to Magdalena.

Druga tego wieczoru cudzoziemka pochodzi z Portugalii, obecnie jednak pracuje jako medium w Londynie.

Można by pomyśleć, że skoro ktoś posiada moce nadprzyrodzone, to będzie wiedział, że przeprowadzka ze wspaniale słonecznego wybrzeża Portugalii w miejsce, gdzie każdego dnia spędza się godzinę na dojeździe do Brixton, to zły pomysł, prawda?

Nie minęły trzy minuty, a Magdalena łapie mnie za rękę i przepowiada, że w przyszłości Glena Karczocho czeka podróż zamorska. W ramach riposty opowiadam jej, że cierpię na rzadkie schorzenie, które sprawia, że zawsze, gdy lecę nad oceanem, nachodzi mnie potrzeba masturbacji.

Magdalena poszerza swoją wiedzę o hydromasturfilii, gdy rozlega się dzwonek i przechodzę do kolejnego stolika.

Numer siedem to Maxine, dyrektorka działu zasobów ludzkich w gazecie, dla której obecnie pracuję.

Przez pięć niezręcznych minut siedzimy i omawiamy tegoroczną politykę urlopową, a z chwilą, gdy rozbrzmiewa brzęczyk, podrywam się na równe nogi. Obydwoje zdajemy sobie sprawę, że nigdy, przenigdy nie wspomnimy o tym spotkaniu.

Numer osiem to Barbara.

Barbara ma na nazwisko Ropuch, toteż prawie żałuję, że Glen Karczoch nie istnieje naprawdę, bo połączenie ich nazwisk w jedno dwuczłonowe zrobiłoby furorę.

Zdążyła już upłynąć niemal godzina, ale tracę chęć do życia, a zatem w rozmowie z Barbarą jestem sztywny i nijaki. Nie chce mi się nawet niczego zmyślać.

– Nie bawisz się zbyt dobrze, co nie? – pyta.

– Nieszczególnie. A ty?

– Fatalnie. Mogłam być teraz w domu i oglądać *Glee*. Tymczasem muszę wysłuchiwać Colina, który opowiada o swojej kolekcji fortepianów, Davida, który nie toleruje pszenicy, oraz Jurija, który ma kłopoty z uzyskaniem bezterminowej wizy.

Barbara przypada mi do gustu. Wielka szkoda, że ani trochę mnie nie pociąga.

– Dzięki Bogu! – rzuca, gdy rozlega się brzęczyk. – Muszę się napić.

Wstaje jeszcze przede mną, więc choć raz mogę poczuć, jak to jest, gdy ktoś czym prędzej od ciebie ucieka.

Wlokę się do baru i zamawiam kolejną dietetyczną colę. Jeszcze tylko osiem randek... I jak na razie wygląda na to, że Barbara może okazać się najjaśniejszym punktem imprezy. Gdy pozostałe kobiety podchodzą do baru, mam okazję dokładnie im się przyjrzeć.

Co najmniej trzy inne sprawiają wrażenie zupełnie bezbarwnych, dwie najwyraźniej ubierały się po ciemku, jedna jest tak stara, że mogłaby być moją matką – lecz mimo to uważa, że może malować się jak nastolatka – jedna zaś, grubawa i przestraszona, nieomal wzbudza we mnie żal. Szesnasta i ostatnia z obecnych kobiet mogłaby być nawet atrakcyjna, gdyby nie wykrzywiła twarzy w permanentnym grymasie.

Jej wyraz twarzy może mieć związek z oślizgłym typkiem w białym garniturze, który trajkocze do niej przy barze, ale pewności mieć nie mogę. Zważywszy na tempo, w jakim opróżnia trzymaną butelkę smirnoffa ice, wnoszę, że bawi się równie szampańsko jak ja.

Nie mogę się doczekać naszej rozmowy.

Nie mam w tym momencie jakiejś szczególnej ochoty na procenty, ale byłbym w stanie zabić za papierosa. Zostało jeszcze pięć minut przerwy, toteż wymykam się na fajka. Niby rzucam palenie, ale nic tak nie podnosi we mnie stresu jak konieczność podtrzymywania uprzejmej pogawędki z ośmioma zupełnie nieznanymi mi osobami po kolei.

Na zewnątrz pada. A właściwie nie tyle pada, co leje jak z cebra. Mam do wyboru przemoknąć do suchej nitki albo zrezygnować z papieroska. Ani jedno, ani drugie szczególnie mi się nie uśmiecha.

Gdy zdaję sobie sprawę, że za wyjątkiem nas – samotników – klub jest

dzisiaj pusty, przychodzi mi do głowy trzecie rozwiązanie. Naprzeciw mnie otwiera się korytarz wiodący ku toaletom. Nie jestem zwolennikiem otwartego łamania przepisów, ale – do diabła! – potrzebuję nikotyny, toteż w tym konkretnym przypadku jestem gotów zignorować zakaz.

Kiedy idę korytarzem, muszę uskoczyć, gdy bardzo niezadowolona blondynka wybiega z kibelka dla pań. To ta sama, którą widziałem już wcześniej, a kolejne spojrzenie na jej chmurne oblicze jeszcze bardziej odbiera mi ochotę do zawarcia znajomości.

Ale tyłek ma całkiem przyjemny.

Wchodzę do męskiej toalety, zamykam się w kabinie i zapalam papierosa z mieszanym poczuciem winy i ulgi, do którego już przywykłem. Podczas gdy z rozkoszą się zaciągam, równie dobrze mogę odpowiedzieć na zew natury, toteż opuszczam spodnie i przyjmuję stosowną pozycję. Dziesięć sekund później znajduję się w chmurce nikotynowego raję, a perspektywa kolejnych ośmiu szybkich randek nie jest już taka straszna.

Być może jedna z nich okaże się sukcesem!

Lecz z pewnością nie ta z kobietą, która mogłaby być moją matką. Bez względu na grubość makijażu, jaką zdołała przyszpachlować do swej pomarszczonej twarzy, byłoby to dla mnie nazbyt wielkie wyzwanie.

Nie jest mi jednak dane sprawdzić, czy któraś z pozostałych uroczych pań okaże się zwyciężczynią. Bo wiecie, nowoczesne kluby nocne to miejsca bardzo dobrze wyposażone. Dysponują wyśmienitym sprzętem oświetleniowym, doskonałymi mikrofonami i światowej klasy urządzeniami barowymi. Mają też *bardzo* czułe systemy przeciwpożarowe.

Po ledwie czwartym sztachnięciu się papierosem rozpętuje się piekło. Potwornie głośno zaczyna wyc syrena. Całe szczęście, że siedzę akurat na sedesie. Krzyczę z przerażenia i upuszczam papierosa na udo. Wtedy wydaję z siebie ryk donośniejszy niż syrena, gdyż rozgrzany do czerwoności żar przypala mi włosy łonowe. Zrywam się na równe nogi i w panice zrzucam z siebie papierosa akurat w momencie, gdy uruchamiają się zraszacze. Jeden z nich umieszczony jest wprost nad moją głową, toteż z toalety robi się zaimprovizowana kabina prysznicowa.

Wydieram się po raz trzeci w ciągu kilku sekund, oto bowiem lodowato zimna woda leje mi się za kołnierz. Otwieram z impetem drzwi od kabiny, wyskakuję ze spodniami i bokserkami wciąż opuszczonymi do kostek. Kiedy więc wspomniany wcześniej łysy ochroniarz wpada do łazienki, by się

upewnić, że wszyscy się ewakuowali, ma okazję dokładnie przyrzeć się moim klejnotom. Starając się złapać za pasek, by podciągnąć portki i zasłonić, co odsłonięte, natychmiast wpadam w poślizg na mokrych kafelkach i wykładam się jak długi wprost pod nogi ochroniarza, prezentując swój goły tyłek, jak gdybym odprawiał właśnie jakiś dziwaczny rytuał godowy.

Na moje szczęście facet nie ma zamiaru odpowiadać na te zaloty.

Pomaga mi za to wstać z posadzki i kiedy wreszcie udaje mi się ubrać, wycofuje się z powrotem do klubu.

Mógłbym jeszcze zostać. Domyślam się, że gdy posprzątało, szybkie randki zostały wznowione, ale czułem się tak zażenowany, że jedyne, czego pragnąłem, to uciec do domu i zaszyć się w nim na parę najbliższych dziesięcioleci. Na początku wieczoru myślałem o znalezieniu partnerki, tymczasem jedyną osobą, z którą nawiązałem intymną więź, był zwalisty, łysy facet o ramionach bardziej owłosionych aniżeli mój tyłek, który dopiero co zaprezentowałem mu na podłodze toalety.

I tak kompletnie już przemokłem, więc deszcz niezbyt mi przeszkadzał, gdy z bólem w oparzonej kroczu człapałem w stronę samochodu.

Był to początek, a zarazem koniec przygody Jamiego Newmana ze wspinałymi światem szybkich randek. Nie udało mi się znaleźć tej nocy miłości mojego życia – aczkolwiek zdołałem złapać solidne przeziębienie, więc koniec końców nie mogę powiedzieć, bym wyszedł z tej imprezy z niczym.

PAMIĘTNIK LAURY

22 IV, PIĄTEK

Droga Mamo!

W końcu sięgnęłam dna i poszłam na randki błyskawiczne.

Obiecywałam sobie, że nigdy czegoś takiego nie zrobię, lecz moje poszukiwania przyzwoitego faceta okazują się dłuższe niż wyprawa Froda z kumplami, gdy poszli się pozbyć tego durnego pierścienia. Oni przynajmniej dysponowali jakimiś porządnymi wskazówkami. Tymczasem w moim przypadku właściwie jedyne wytyczne brzmią następująco: „Idź przed siebie i staraj się unikać gości, którzy wyglądają jak Kuba Rozpruwacz”.

Prawdopodobnie w przeszłości byłam rozpuszczona. Kiedy miałam kilkanaście, dwadzieścia lat, za sprawą liberalnego podejścia do króciutkich spódniczek, obcisłych topów i czerwonych szminek nie miałam większych problemów ze znalezieniem faceta. Później zaś nawinął się Mike, co uczyniło wszystkie te nonsensowne zabiegi zupełnie zbędnymi. Z mojego punktu widzenia pogoń dobiegła końca. Dałam się upolować, jak sądziłam, mężczyźnie idealnemu, toteż ochoczo porzuciłam moje uwodzicielskie sztuczki na rzecz długoterminowego i stabilnego związku.

Wszystko pięknie się układało aż do chwili, gdy znowu zostałam sama, i to w świecie, gdzie godni rozważenia kawalerowie stają się towarem coraz bardziej deficytowym. Wszyscy ci biedni chłopcy, przed którymi w miejscowych klubach kręciłam moim krągłym tyłeczkiem, dorośli i znaleźli sobie inne kobiety, pozostawiając Laurę McIntyre z o wiele mniejszym gronem konkurentów – a także nieco mniej kształtnym obecnie tyłeczkiem, jeśli już mamy być zupełnie szczerzy.

Wobec tak przykrych faktów jestem gotowa spróbować randek błyskawicznych.

Poleciała mi je Elise, z którą chodzę na siłownię. Parę lat temu na podobnej imprezie w okolicy poznała obecnego męża i powiedziała, że od początku do końca było to dla niej bardzo przyjemnym doświadczeniem.

Elise należy do osób o rozumie zupełnie nieskażonym własną myślą. Gdyby można było zajrzeć jej pod czaszkę, zapewne znaleźlibyśmy tam

skąpaną w słońcu łąkę pełną raźnie hasających króliczków i wielkookich sarenek. W tle owej bukolicznej scenki rozbrzmiewałaby piosenka One Direction. Najpewniej któraś z ich ballad. Mąż Elise, Malcolm, nie jest lepszy. Cały dzień spędza na uśmiechaniu się do wszystkich, czy sobie tego życzą, czy nie.

Jeżeli tego typu ludzie znajdują partnerów na szybkich randkach, to nie jestem do końca pewna, czy chcę wziąć w nich udział. Ale kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, prawda?

O ile nie będę musiała nikomu strzepać wacka ani jeździć rowerem górskim, nic mi nie będzie.

We wtorek wieczorem człapię więc z dużą niepewnością do Cheetah Lounge, modląc się do wszelakich obecnych tam bogów randkowania, by udało mi się spotkać kogoś choć trochę przyzwoitego.

Muszę przyznać, że w chwili przybycia do klubu nie jestem w najlepszym nastroju, dorobiłam się bowiem hemoroidów.

Zgadza się, *hemoroidów*. Na litość boską, mam dwadzieścia osiem lat. Jakim cudem kobiecie przed trzydziestką, niebędącej w ciąży, przytrafia się dolegliwość zazwyczaj zarezerwowana dla emerytów? Mogę za to winić jedynie koszmarne niewygodne plastikowe krzesło, na jakim byłam zmuszona siedzieć w piątek przez bite trzy godziny na prezentacji artykułów. Już samo wsłuchiwanie się w gadkę zgrai nieuczciwych sprzedawców, który za pomocą serii niezrozumiałych slajdów w PowerPoincie usiłując namówić cię do zakupu ich towaru, to katorga. Dodajcie do tego wiercenie się na krześle, przez które stopniowo drętwieją pośladki, a doświadczenie stanie się tym gorsze.

Ze swędzącym tyłkiem i cynicznym nastawieniem wchodzę do klubu, po czym stwierdzam, że jestem dobre pół godziny przed czasem.

– Zaczynamy dopiero o ósmej – informuje mnie anorektyczka stojąca w progu meksykańskiej części klubu. Znam tę salę całkiem nieźle, w ostatnie święta wypłam tu o jedną tequilę za dużo.

– Na stronie internetowej napisaliście, że o siódmej trzydzieści – odparowuję, marszcząc czoło. Nie znoszę pojawiać się przed czasem, szczególnie zaś w miejscach, gdzie nikogo nie znam.

– Oj! Przepraszam. Ktoś powinien był to zaktualizować – przyznaje, posyłając mi mokry przepaszający uśmiech. – Ale bar jest już czynny, więc możesz się czegoś napić.

– W tej sytuacji raczej będę musiała...

– Jak się nazywasz?

– Laura McIntyre.

Spogląda na kartkę, odhacza moje imię na liście i wręcza mi dużą plastikową plakietkę. Tego wieczoru będę numerem pięć.

– Dzięki, że wpadłaś, Laura! – oznajmia dziewczyna, szczerząc zęby w szerokim i zupełnie fałszywym uśmiechu. – Mam na imię Natasha i będę gospodynią. Dopóki reszta uczestników nie przybędzie, korzystaj, proszę, z baru.

Mówi „uczestników”, ale ja rozumiem to jako „frajerów”.

– Kiedy wszyscy się już rozgoszczą, otrzymacie dalsze instrukcje.

Teraz zaczyna to wyglądać tak, jak gdybyśmy mieli wyruszyć na jakąś ściśle tajną misję na terytorium nieprzyjaciela.

– W porządku, dzięki – odpowiadam i odchodzę, by poprosić znudzonego barmana o smirnoffa ice.

– Witam – odzywa się za moimi plecami jakiś męski głos. Nie muszę się obracać, by wiedzieć, że facet okaże się oślizgłym typkiem. Zdradza to już ton jego głosu. Pociągam łyk smirnoffa, przywołuję na twarz wyraz przyjemnej obojętności i się odwracam.

Zgadza się, oślizgły jak cholera. Mam wrażenie, że gdyby ścisnąć go za włosy, na tym, co skapie, można by usmażyć frytki.

– Cześć – mówię, świadoma, że utknę w rozmowie z tym gościem do czasu, gdy pojawi się ktoś inny i mnie od niego wybawi.

– Jestem Angelo.

A jakżeby inaczej. Masz biały bawełniany garnitur i ulizane do tyłu włosy, to jak niby miałbyś się nazywać?

– Laura.

– To piękne imię. Oznacza boginię, prawda?

– Nie wydaje mi się. Z tego, co wiem, to oznacza po prostu krzak wawrzynu.

A wiem. Kiedy byłam mała, pewnego razu sprawdzałyśmy z koleżankami, co znaczą nasze imiona. Potem całymi tygodniami wyzywali mnie od chaszczy.

– Oj, jestem pewien, że oznacza boginię. Ale to może przypomniało mi

się z hebrajskiego.

Najwyraźniej tak brzmi jego standardowa odzywka na podryw.

Jestem pewna, że zdaniem Angela imię każdej kobiety na tej planecie oznacza w jakimś dawnym języku boginię. Z przyjemnością sprawdziłabym, jak by sobie poradził z Helgą.

– Nie mam pojęcia. Nazwano mnie tak po babci – dodaje.

– Nie ulega wątpliwości, że i ona musiała być piękną damą.

– Ee... dzięki.

– Laura, a co porabiasz w życiu?

– Prowadzę sklep. Sklep z czekoladą.

– Naprawdę? Jak wspaniale!

Zmieniłbyś zdanie, koleś, jakbyś zobaczył wyciąg z mojego konta.

Angelo posyła mi uśmiech tak przymilny, że nie powstydziliby się go polityk w toku kampanii wyborczej.

– Jeśli twoja czekolada, Laura, smakuje równie cudownie, jak wyglądasz, to jestem przekonany, że sprzedajesz jej całe mnóstwo.

Reszta smirnoffa znika za jednym długim pociągnięciem z butelki. Robię to przede wszystkim dla powstrzymania odruchu wymiotnego, który narasta mi w przełyku.

– Chciałabyś się napić czegoś jeszcze? – proponuje.

– Proszę podwójną wódkę z colą – odpowiadam, spokojnie świadoma, że do domu wrócę taksówką, bo silnik mojego forda ka w zeszłym tygodniu postanowił eksplodować.

Angelo wyciąga z kieszeni białych spodni cienki czarny portfel i przywołuje barmana.

Ledwie rozpoczęłam wieczór, a już uwodzi mnie oślizgły Włoch, który nie mógłby być bardziej stereotypowy, nawet gdyby mówił jak Super Mario i cały czas obracał na dłoni spód od pizzy.

Idę o zakład, że nie byłby aż tak mną zainteresowany, gdyby wiedział, że męczą mnie hemoroidy. Całą uwagę skupiam teraz na tym, by zapanować nad chęcią podrapania się w zadek. Powiem więcej – jeśli Angelo nie zrozumie aluzji i prędko się nie zwinnie, to możliwe, że i tak się nie powstrzymam. Bez względu na to, za jak wspaniałą uważa mnie boginię, nie wyobrażam sobie, by w dalszym ciągu dotrzymywał mi towarzystwa,

jeśli zacznę gmerać w tyłku jak zapchlony pies. Szczęśliwie nie muszę sięgać po tak drastyczne środki, w tym bowiem momencie do baru wchodzi trzy inne kobiety.

Ewidentnie przyszły razem – w grupie bezpieczniej i tak dalej. Z perspektywy czasu stwierdzam, że trzeba było zrobić to samo. W najgorszym wypadku mogłam wyciągnąć ze sobą Elise.

Tyle dobrego, że jedna z nowo przybyłych jest zniewalającą ciemnowłosą pięknoscią, ubraną w niefortunny zestaw złożony z kwiecistego szala oraz cygańskiej spódnicy. Angelo już ją zauważył i widzę, jak stara się podjąć decyzję, czy powinien ciągnąć pogawędkę z chudą blondynką, która cały czas się wierci, czy też lepiej zabrać się do czarowania cudownej Latynoski o ciemnobrązowych oczach.

– Laura, miło cię poznać. Nie mogę się doczekać naszej randki – oznajmia i odsuwa się od baru. Nie jestem ani trochę zaskoczona.

– Wzajemnie, Angelo.

Odchodzi ku kolejnej ofierze, ja zaś zostaję cudownie sama z drugim tej nocy drinkiem oraz ze swędzącym tyłkiem.

Zaczynają się schodzić ludzie. Z każdą kolejną osobą jestem coraz bardziej nerwowa. Zamawiam następną podwójną wódkę, mając nadzieję, że to mnie uspokoi oraz że dzięki alkoholowi mężczyźni będą mi się wydawali bardziej atrakcyjni. Dostrzegam faceta, który wchodzi z plakietką z numerem trzynastym. Wydaje się równie podenerwowany rozwojem wypadków jak ja, ale przystojny z niego chłopiec, jak na razie najlepszy spośród obecnych. Odrzuca mnie jednak jego nazwisko. Naprawdę nie wyobrażam sobie, bym w najbliższej przyszłości mogła się nazywać Laura Karczoch. Z pewnością w szkole nie dawali mu spokoju.

Kiedy szaleńczo optymistyczna Natasha poleca nam przejść do sali, gdzie będą odbywać się randki, w głowie zdążyło mi już zaszumieć od wódki.

Na jednym ze stolików leży kartka z numerem pięć, tam więc ostrożnie siadam z nadzieją, że twarde, drewniane krzesło nie przysporzy mi tego wieczoru zbyt wielkiego cierpienia.

Ha! Można sobie pomarzyć.

Nie minęły nawet dwie minuty pierwszej randki – dosiadł się do mnie facet, który cały czas nawija o swej miłości do fortepianów – a tyłek zaczyna mnie swędzić bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Moje rozdrażnienie osiąga poziom zdolny przywieść do samobójstwa. W

rezultacie dostaję nerwowego tiku w oku.

I co, do diabła, mam teraz niby zrobić?

Zdążyłam już nieźle wciąć się wódką, toteż opuściły mnie zdolności logicznego rozumowania. Jestem pewna, że gdybym była trzeźwa i zachowała nieco jasności umysłu, potrafiłabym wywinąć się z sytuacji, nie robiąc przy tym zamieszania, lecz alkohol zdążył na dobre zawładnąć moją korą mózgową i zaznacza swój złowieszczy wpływ. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, jak się z tego wykaraskać.

A zatem będę musiała siedzieć tu przez najbliższą godzinę i przyglądać się kolejno przedstawianym samotnym mężczyznom, robiąc wszystko, co w mojej mocy, by nie kręcić się przy tym na siedzeniu jak jakieś rozbawione szczenię.

– ...i wtedy zdałem sobie z tego sprawę. Sam powinienem taki kupić! Co ty o tym sądzisz? – pyta Colin z pierwszej randki.

A ja nie mam pojęcia, o czym on do mnie mówi.

– Yy...

– Bo wiesz, nie kosztuje znowu tak wiele, jak bym się tego spodziewał. Jest ogromny, ale zdecydowanie wart swojej ceny! Jeśli więc go kupię, może chciałabyś potem rzucić okiem?

Matko Święta. Nowy samochód? Nowy dom? Przedłużacz penisa?

Usiłuję sobie przypomnieć choć trochę z tego, co usłyszałam od Colina, zanim pochłonęły mnie bez reszty hemoroidy.

– Świetny pomysł, Colin. To z pewnością śliczny... *fortepian.*

– A żebyś wiedziała!

Dzięki Bogu.

Nigdy więcej nie zamierzam spotkać się z Colinem, ale nikt nie lubi wychodzić na chama. Przez następne dwie minuty próbuję trochę bardziej skupić się na tym, co mówi, lecz gdy rozlega się brzęczyk, w dalszym ciągu nie wiem o nim zupełnie nic, jeśli nie liczyć zamiłowania do wykańczanych kością słoniową instrumentów klawiszowych.

Nim kolejny rozmówca – wysoki, wyrzeźbiony jegomość o imieniu William – zajmie miejsce, ruszam nieco pośladkami, co przynosi chwilową ulgę. Mam ochotę przechylić się na bok, by sprawdzić, czy to pomoże, ale wyglądałoby, jakbym puszczała bąka, co nie jest zapewne najlepszym sposobem, by zrobić dobre wrażenie na potencjalnym małżonku.

William okazuje się facetem, z którym Graham rowerzysta zaprzyjaźniłby się w trzy miga. Ten akurat bardziej niż rowerami górskimi pasjonuje się windsurfingiem, ale okazuje tę samą idiotyczną skłonność do mimowolnego seksizmu i nieuzasadnionego krzyku. On również siada, jak gdyby w nogach miał zamontowane sprężyny.

Kiedy rozbrzmiewa dzwonek, czuję wielką ulgę, gdyż dzięki temu pozbywam się Williama, nim skończy opowiadać, jak to udało mu się wygrać zawody triathlonowe Iron Man pomimo skręconego jądra. Poza tym mogę znów przez chwilę powiercić się na krześle, aby złagodzić hemoroidalną mękę.

Tuż za Williamem pojawia się Greg, funkcjonariusz pomocniczej policji porządkowej, który przez pięć minut tłumaczy mi szczegóły Sekcji 4 Ustawy o ochronie przed nękaniami. Spośród wszelkich możliwych tematów do rozmowy podczas randki błyskawicznej ten ewidentnie zasługuje na nagrodę dla najbardziej niestosownego. Kiedy rozlega się brzęczyk, wyraźnie rozczarowany Greg musi zwolnić miejsce. Tym razem również odczuwam znaczną ulgę, jestem bowiem całkiem pewna, że był o krok od wyjaśnienia mi prawnej definicji gwałtu.

Dźwięk dzwonka zaczynam traktować jako odliczanie do chwili wybawienia. Im szybciej zabrzęczy po raz ósmy i ostatni, tym szybciej nastąpi przerwa i będę mogła wyrwać się z tego piekła do damskiej toalety.

Następny w kolejce jest Tom.

Tom zdaje się przyjemnym gościem. Jest całkiem przystojny, a do tego w uroczy i ciekawy sposób opowiada o swojej wielkiej pasji, jaką jest latanie ultralekkimi samolotami. Temu hobby oddaje się po pracy w charakterze architekta zieleni. Ale szczerze mówiąc, równie dobrze mógłby mi powiedzieć, że jest milionerem, pozuje do reklam bielizny, oddycha przez uszy i uwielbia robić zmysłowe masaże, a i tak nie miałyby to znaczenia.

Bzzz!

Adam mógłby pochwalić mi się trzydziestocentymetrowym, chwytnym językiem, opowiedzieć, że jako wolontariusz ratował życie porzuconych szczeniąt oraz afrykańskich sierot, a na dodatek wspomnieć jeszcze, że pracuje dla Smirnoffa, lecz i to nie byłoby w stanie mnie zainteresować.

Bzzz!

Malik to kolejny sympatyczny facet, z którym w mniej dramatycznych okolicznościach bardzo chętnie bym sobie pogawędziła. Okazuje się, że jest

projektantem graficznym. Noszę się z pomysłem, by zatrudnić grafika do poprawy wizerunku mojego sklepu, więc znajomość z nim mogłaby się przydać. A czy da się łatwiej rozpocząć związek niż przez współpracę na gruncie zawodowym? To naturalny sposób na przełamanie lodów.

Przed podaniem mu numeru telefonu i umówieniem się na inny wieczór (kiedy nie będę się czuła, jakbym miała w majtkach gniazdo mrówek) powstrzymuje mnie fakt, że Malik wciąż mieszka u swojej matki. Zdarzyło mi się już popełnić ten błąd i umówić z facetem, który mieszkał z rodzicami.

Nigdy więcej. Wyraz twarzy jego matki, która stanęła zniecacka w drzwiach, gdy ja zadzierałam nogi do sufitu w miłosnej ekstazie, prześladowuje mnie po dziś dzień.

Bzzz!

Jeszcze jeden... Jeszcze tylko jeden...

– Witaj, piękna Lauro, której imię oznacza krzew.

Chce mi się wyć. Angelo z wielkopańskim gestem zasiada naprzeciwko mnie i zaczyna opowiadać o winnicy ojca, o głosie, jakim śpiewa matka, a także o swoim maserati. Najwyraźniej uwielbia też brzmienie własnego głosu, ja bowiem do rozmowy prawie nic nie wnoszę. Chyba jedyną kwestią, o jakiej byłabym teraz w stanie rozprawiać z jako taką jasnością, jest kojące działanie maści anusol, a sądzę, że tego nawet Angelo by nie zniósł.

Bzzz!

– Pozwól, że postawię ci coś jeszcze do picia! – krzyczy Angelo, jeszcze nim wybrzmi przenikliwy dzwonek.

– Nie, nie, dziękuję – odpowiadam, z uczuciem nieopisanego ulgi po raz pierwszy od godziny podnosząc się z tego koszmarnego krzesła.

– Nalegam, umiesz fantastycznie słuchać i wydaje mi się, że naprawdę między nami iskrzy. Tak wspaniała partnerka do rozmowy zasługuje przynajmniej na drinka.

Naprawdę? Jego zdaniem odpowiedzi monosylabami, skrzywiona twarz i nieustanne wiercenie się to oznaki ciekawego rozmówcy?

Nim jednak zdążę ponownie zaprotestować, obejmuje mnie ramieniem i odprowadza z powrotem do baru. Naprawdę nie mogę pozwolić, by mężczyźni tak się ze mną obchodzili.

Szczerze mówiąc, Mamo, to akurat Twoja wina. Zawsze wpajałaś mi, że

gdy czarujący mężczyzna zaprasza na drinka, należy zaproszenie przyjąć. Postanawiam zrezygnować z wódki z powodów, które uznaję za oczywiste. Nie potrafię się jednak zmusić do zamówienia czegoś bezalkoholowego. Nie w taki wieczór...

Tak więc pomimo hemoroidów, pomimo faktu, że jestem już o wiele bardziej pijana, niż powinnam być w przeddzień dnia roboczego, a także pomimo niebosiężnego narcyzmu Angela zostaję przy barze na kolejne pięć minut, sącząc drugą butelkę smirnoffa ice, podczas gdy on roztkliwia się nad tym, jak piękne są wiosną falujące wzgórza Italii.

Kiedy Angelo skończył odwalać wolontariat dla włoskiej izby turystycznej i przerzucił się na opowieść o zespole funkowym, w którym śpiewa, moja siła woli – a także cierpliwość – osiąga kres.

– Angelo, mogę cię przeprosić na chwilę? Muszę...

Co muszę? Spuścić spodnie i pogmerać sobie w tyłku?

– Muszę... przypudrować nos.

Angelo robi minę. To zrozumiałe, jako że wszyscy wiemy, co oznacza „przypudrowanie nosa”. Równie dobrze mogłam powiedzieć: „Muszę pójść postawić klocka”. Odstawiam do połowy pustą butelkę smirnoffa na bar i pędzę w poszukiwaniu toalety.

Nie będę tu szczegółowo opisywać tego, co dzieje się przez następnych parę minut. Wystarczy powiedzieć, że pewną niewielką ulgę w dyskomforcie, jaki odczuwam w podwoziu, przynosi użycie zimnej wody i gorącego powietrza. Mówię wam, te obrotowe suszarki do rąk to genialny wynalazek.

Gdy już udzieliłam samej sobie zaimprovizowanej pierwszej pomocy, nie zamierzam spędzać nawet minuty więcej na unikaniu Angela ani też wytrzymywać pogawędki z kolejnymi ośmioma samotnymi facetami, toteż wybiegam z toalety (o mało co nie wpadając na pana Karczocho) i obieram kurs wprost na wyjście, modląc się w duchu, by nie dostrzegł mnie Angelo.

Po wyjściu z Cheetah Lounge oddycham z ulgą. Nie przeszkadza mi nawet, że leje jak z cebra. Kiedy człowiek dopiero co podniósł ze starego drewnianego krzesła najbardziej swędzący tyłek w naszej galaktyce, wystawienie się na strugi deszczu jest doświadczeniem niemalże przyjemnym.

Nazajutrz w aptece wydaję horrendalną sumę pieniędzy na stosowne maści i kremy.

Kocham Cię i tęsknię, Mamo,
Twoja, już nie tak obolała, córka Laura

XX

BLOG JAMIEGO

NIEDZIELA, PIERWSZY MAJA

Matko kochana, byłem na randce z Wendy.

Z tą Wendy od land rovera, kaloszy i morderczego podejścia do dzikich zwierząt. Z kobietą błogo nieświadomą znaczenia słowa „hipoteka”, a także recesji panującej obecnie w świecie Zachodu. Jeśli spytać ją, gdzie jej zdaniem najlepiej trzymać oszczędności, najpewniej odpowie: „u tatusia”.

To nie jej wina. Nie można jej winić za to, że pochodzi z wyższych sfer. Sam jednak nie urodziłem się na tym samym szczeblu drabiny społecznej, chociaż moja matka życzyłaby sobie, by tak było.

– To urocza dziewczyna, Jamie! – zwraca się do mnie mama zaledwie jeden dzień po moim upokarzającym występie w Cheetah Lounge. – I zawsze chciała cię lepiej poznać.

– Tak, mam, wiem. Raczysz przypominać mi o tym za każdym razem, kiedy się widzimy. Czasami nawet po dwakroć.

– Jej rodzice to wspaniali ludzie.

W istocie ma na myśli to, że jej rodzice dysponują wspaniałym rachunkiem bankowym, ale mniejsza z tym. Przypuszczam, że w najgorszym wypadku, niezależnie od miejsca, dokąd pójdziemy na randkę, Wendy będzie mogła zapłacić za nas oboje. No a jej nogi w obcisłych bryczesach wyglądają całkiem ładnie.

– Niech będzie. Daj mi jej numer telefonu, to się do niej odezwę. Ale nic nie obiecuję.

Mama jest tak zachwycona, że dosłownie klaszcze w dłonie. Perspektywa ożenienia syna z przedstawicielką arystokracji najwyraźniej wystarczy, by przełamać jej zazwyczaj powściągliwe zachowanie.

– A niech to, Newman! Masz jaja! Nie sądziłam, że w końcu zaprosisz mnie na randkę! – brzmią pierwsze słowa Wendy, gdy do niej telefonuję. – No wiesz, dziewczyna może się poczuć trochę odrzucona!

– Ee... przepraszam... – Nie do końca rozumiem, dlaczego miałbym kogoś przepraszać za niezapraszanie na randkę, ale Wendy taki właśnie ma na ludzi wpływ.

– No ja myślę! Jesteś wolny w niedzielę?

– Ee, tak. – Miałem zamiar zaprosić ją do pubu w piątek, ale Wendy ewidentnie ma już inne plany.

– Wyśmienicie. Przyjedź pod dom i zgarnij mnie o jedenastej.

– O jedenastej? Czy to aby trochę nie za wcześnie jak na wyjście do pubu? – pytam, zmartwiony faktem, że zaprosiłem na randkę alkoholicką.

– Jak na to, co będziemy robić, nie za wcześnie, przystojniaku!

O cholera, to nawet gorsze niż alkoholizm – ona jest *religijna*.

– A co będziemy robić, Wendy?

– To niespodzianka! Tylko postaraj się być na czas i weź jakieś solidne buty.

Solidne buty? Zamierzamy skopać coś lub kogoś na śmierć? Może zgraję ateistów?

Kiedy odkładam słuchawkę, nie czuję się jak ktoś, kto dopiero co umówił się na randkę, a raczej jakbym właśnie zgodził się wykupić kosztowną polisę ubezpieczenia na życie, której nie potrzebuję.

Ponieważ niedziele rezerwuję zazwyczaj na uzupełnianie tygodniowych zapasów gotowych dań z supermarketu oraz na rozwlekłe sesje masturbacji, w sumie z chęcią zmodyfikuję nieco własne plany – nawet jeśli oznacza to wzięcie udziału w zaplanowanych przez Wendy obrzydliwych rozrywkach dla ludzi z wyższych sfer.

Nawigacja satelitarna wyprowadza mnie na magiczną wycieczkę objazdową po okolicznych terenach wiejskich, aż wreszcie skręcam na najdłuższy podjazd, jakim kiedykolwiek jechałem. Kiedy mój ford mondeo wreszcie pokonuje podziurawioną zwirową aleję i dociera pod dom, zaczynam się martwić, czy aby na pewno starczy mi benzyny na drogę powrotną.

Powiedziałem „dom”... miałem na myśli „domiszcze”.

Bruce Wayne patrząc na tę posiadłość, od razu zaczęłby planować, gdzie umieścić jaskinię nietoperzy. Mamy tu do czynienia z klasycznym brytyjskim szykownym i monumentalnym molochem o dwóch skrzydłach, któremu porządna renowacja przydałaby się już parę dekad temu.

Wchodzę po schodach, staję przy kolosalnych podwójnych drzwiach wejściowych i przyciskam dzwonek. Zupełnie nie zdziwiłoby mnie, gdyby otworzył lokaj Alfred i zakomunikował, że panicz Bruce jest obecnie

niedysponowany. Tymczasem w drzwiach staje Wendy, której oblicze tchnie wesołością.

– Cześć, Newman! – woła. – Cieszę się, że dałeś radę wpaść. – Taksuje wzrokiem moje buty. – Lepszych nie miałaś?

Ja również spoglądam w dół na wysłużone martensy, które ciągną się za mną od piętnastu lat jak smród po gaciach.

– Zazwyczaj noszę po prostu tenisówki – mówię na swoją obronę.

– Cóż, to chyba będzie musiało wystarczyć. – Wendy odwraca się ku przepastnemu hallowi za plecami. – Wychodzę teraz, mamusiu!

– Baw się dobrze, kochanie! – gdzieś z tyłu gmachu dobiega mnie głos kobiety, która – idę o zakład – karmi właśnie konie.

Zamknięcie ogromnych ościeży zajmuje Wendy jakieś pół godziny, co daje mi czas na sprawdzenie e-maili.

– No, chodźże – mówi, kiedy wreszcie kończy zamykać, po czym tanecznym krokiem rusza w zupełnie odwrotnym kierunku.

– Ale ja zaparkowałem tam – zauważam, wskazując na miejsce, w którym powoli rdzewieje mój ford.

– Nie będzie nam potrzebny. Zostajemy na terenie posiadłości. Szybka przechadzka i jesteśmy na miejscu.

Najwidoczniej ateści czekają skuci łańcuchami w lasu gdzieś na tyłach. Wendy chwyta mnie za rękę. Jak na młodą kobietę ma wyjątkowo twardą skórę dłoni. Staram się o tym nie myśleć.

– A zatem ruszamy! – woła i zaczyna ciągnąć mnie w kierunku szachownicy pól i zagajników po naszej lewej stronie.

– Co dziś będziemy robić? – w końcu zdobywam się na odwagę, by zapytać, kiedy po raz piąty w ciągu pięciu minut prawie wykładam się na tyłek.

Zanim Wendy zdążyła odpowiedzieć, prawie zesrałem się ze strachu, bo zza pobliskiego żywopłotu rozlega się apokaliptycznej mocy eksplozja.

– To! – odpowiada i wybucha śmiechem.

A więc będziemy do tych ateistów strzelać? Czy to aby nie lekka przesada?

Obchodzimy żywopłot i oczom mym ukazuje się szereg ludzi ubranych co do jednego jak obsada serialu *Babie lato* – z tym że lepiej uzbrojonych.

Każdy trzyma strzelbę, wszyscy skupiają się wokół drewnianych stojaków, rozstawionych na skraju niewielkiego poletka, na które właśnie weszliśmy. Najbliżej mnie znajdują się dwa takie związane stojaki, skierowane na otwierające się przed nami szerokie pole. Po lewej widzę dwa zielone range rovery, jeden stary i ubrudzony, drugi zaś czysty i prosto z salonu. Uczestnicy strzelania najwyraźniej dotarli na miejsce w wygodniejszych i cieplejszych warunkach niż Wendy i ja.

– DAWAJ! – krzyczy z podwójnego stojaka mężczyzna przypominający nieco burmistrza Londynu Borisa Johnsona. Z jakiejś diabelskiej maszyny daleko po prawej wylatuje z impetem gliniany krążek. Przez sekundę mężczyzna podąża za nim wzrokiem, celując ze strzelby, po czym pociąga za spust.

– A niech to jasny chuj strzeli! – ryczy z wściekłością, gdy nietknięty rzutek znika za koroną drzewa.

Spoglądam na Wendy.

– Będziemy do czegoś strzelać? – pytam ją.

– Owszem! To świetna zabawa. – Wendy rusza naprzód i bierze dwie duże zielone kamizelki od mężczyzny, którego twarz składa się w większości z brody.

Głęboko zaniepokojony podążam w jej ślady. Nie jestem miłośnikiem broni, a tym bardziej ogromnych flint, z których każdy wystrzał przypomina kichnięcie Najwyższego. Kiedy chcę się napatrzeć na spluwy, idę do kina na film z Bruce'em Willisem.

– Ale, Wendy, czy to w ogóle legalne? Ja nie mam żadnego pozwolenia na broń ani nic z tych rzeczy.

Lekceważąco macha ręką.

– Nie przejmuj się podobnymi bzdurami. Ten tutaj to Peter, jest nadinspektorem policji i założę się, że nic sobie z tego nie robi, więc ja również mam to gdzieś. – Wendy wskazuje na sobowtóra burmistrza, który kolejny raz nie trafił w cel i rzuca tym bardziej siarczystą wiązaną przekleństw. – Naprawdę, Newman, to bułka z masłem. Po prostu mierzysz i strzelasz, jasne?

Ubieram się w otrzymany od Wendy bezrękawnik strzelecki. Kamizelka waży z tonę. Następnie dostaję ochraniacze na uszy, które również wkładam. Wyglądam teraz jak wiejski cyborg.

– No to chodźmy. Zobaczmy, czy sobie poradzisz. – Ponownie łapie

mnie za rękę i ciągnie w kierunku pustego stanowiska obok Borisa. Serce wali mi jak młotem, gdy Wendy podnosi jedną ze strzelb opartych o stojak i mi ją podaje. Ta również waży chyba z tonę. Nie tak wyobrażałem sobie fajną randkę.

– Dobra, złap ją w ten sposób, naciśnij tę dźwignię i pociągnij w dół za tę część.

Robię, co mi każą, i strzelba przełamuje się na dwie części.

– A teraz włóż te ładunki do każdej z komór i zatrzaśnij broń. – Wendy patrzy, jak szarpie się z żelastwem niczym piętnastolatek usiłujący po raz pierwszy rozpiąć stanik. – Nieco mocniej. Naprawdę, Newman, zrób to nieco mocniej. No dalej, chłopcze, włóż w to trochę pary! Oj, teraz chyba było zbyt mocno. Jak tam twój kciuk?

Wsysam się w dopiero co przytrzaśnięty kciuk i posyłam jej ponure spojrzenie.

– No dobrze, złap strzelbę w ten sposób – poleca Wendy.

Staram się mężnie zapomnieć o bólu i postępuję zgodnie z instrukcją.

– A teraz oprzyj kolbę o obojczyk, o tak.

Tak też czynię i o dziwo robię się trochę spokojniejszy. Teraz, gdy przyjąłem odpowiednią pozycję, strzelba leży mi w ręku o wiele naturalniej.

– Musisz strzelić tuż przed rzutek – wyjaśnia. – Inaczej spudłujesz. Kiedy będziesz gotów, krzyknij: „dawaj!” i zacznasz. Tylko pamiętaj, by patrzeć przez celownik i oddychać spokojnie.

Przytakuję i zwracam się ku otwartemu polu.

– DAWAJ! – piszczę i celuję strzelbą w dal.

Ziuu! – strzela mechanizm, wyrzucając w powietrze gliniany krążek.

Bum! – strzela broń, gdy pociągam za spust.

– Aj! Cholera! – krzyczę, gdy odrzut niemal wyrywa mi ramię z barku.

Bum! – odpala ponownie strzelba, kiedy mój palec niechcący zaciska się na spuście. Niestety, diabelskie ustrojstwo skierowane jest teraz w ziemię tuż obok moich stóp, gdy więc strzelam w glebę z bezpośredniej odległości, wspaniała fontanna trawy i błota wylatuje mi prosto w twarz.

– Niech to szlag! – krzyczy Wendy i uskakuje na bok.

Wszyscy teraz patrzą na mnie. Po twarzy pełza mi czerwony rumieniec wstydu, który natychmiast ustępuje trupio bladej bieli, zdaję sobie bowiem

sprawę, że właśnie o mały włos nie odstrzeliłem sobie wszystkich palców lewej stopy.

– Nic ci nie jest? – pyta Wendy, czym prędzej odbierając mi broń.

– I widzisz, Wends, co się dzieje, gdy przyprowadzasz tu początkujących? To jakaś cholerna strata czasu! – woła nadinspektor Peter.

– Zostaw go, Peter. Nie wszyscy jesteśmy dobrzy w te klocki. Po prostu Newman nie jest aż tak twardy jak my. Wygląda na to, że strzelectwo nie jest dla niego... prawda, Newman?

Wspaniale. A zatem nie dość, że tatuś burmistrza uważa mnie za bezużyteczne stworzenie, to na dodatek Wendy też najwyraźniej uznała mnie za godnego pożałowania przedstawiciela rodzaju męskiego. Mógłbym po prostu skinąć głową i wycofać się z podkulonym ogonem. Mógłbym wrócić do domu, zagrzać sobie gotowe danie indyjskie, a następnie odpalić *Spermopijki 27*.

Zarazem jednak oprócz oceanu nerwic mam w sobie wciąż jeszcze trochę dumy.

– Chcę spróbować jeszcze raz – mówię, nie do końca wierząc własnym słowom.

– Naprawdę? – pyta Wendy z z troskaniem na twarzy.

– Owszem. Mogłabyś, proszę, oddać mi strzelbę?

– No dobra... Ale bądź ostrożny i postaraj się nie odstrzelić sobie twarzy.

– Łamię strzelbę na pół i wkłada dwa nowe ładunki. Zatrząskuje z powrotem broń, podaje mi ją... po czym robi trzy duże kroki w tył.

Oddychaj spokojnie, Newman, powtarzam w myślach. Pokaż, na co cię stać, i uratuj resztki godności, co?

Ustawiam się. Bark napieprza mnie jak cholera, a tętno wysokością dorównuje Everestowi, ale tym razem jestem zdeterminowany wypaść lepiej. Bolesnie zdaję sobie sprawę, że wszyscy bacznie mi się przyglądają, aby zobaczyć, co się stanie. Kątem oka dostrzegam, jak chodząca broda z kamizelkami wyciąga telefon komórkowy, by móc niezwłocznie połączyć się ze służbami ratunkowymi. Kieruję broń w stronę nieba.

– Dawaj! – krzyczę, a mechanizm wypuszcza kolejny rzutek. Wiodę za nim strzelbą, pomny rady Wendy, by celować z lekkim wyprzedzeniem... i pociągam za język spustowy.

Gliniany krążek rozpada się w drobny pył. *Udało mi się. UDAŁO MI SIĘ.*

– Dobra robota, Newman! – chwali mnie Wendy.

– Głupi ma zawsze szczęście – mamrocze tata Borisa Johnsona.

– Dawaj! – wołam raz jeszcze. Rzutek wylatuje w powietrze i ponownie strącam go, nim zdoła zniknąć poza zasięgiem strzału.

Czy to aby możliwe? Naprawdę? Naprawdę jestem w tym niezły?

Następnych dziesięć minut upływa wspaniale. Z piętnastu rzutków, jakie usiłuję zestrzelić, udaje mi się zniszczyć jedenaście. Wendy zapewnia mnie, że jak na początkującego strzelca jest to rezultat niespotykany. Kiedy trafiam cztery z rzędu, łapie mnie i ściska za tyłek. Nie mam nic przeciwko temu, zważywszy na podwyższony poziom durnej męskiej dumy, którą się w tym momencie upajam. Czuję wręcz, jak budzi się mój członek. Zaczynam rozumieć, czemu strzelanie jest takie popularne.

Peter, policyjna szycha, coraz bardziej się wkurza, co sprawia mi dziką satysfakcję. Trafia dwa razy rzadziej ode mnie i łatwo zauważyć, że doprowadza go to do szału.

Postanawiam zagrać nieco brawurowo.

– Wendy, a czy mógłbym strzelić do dwóch naraz?

– Oczywiście – odpowiada rozpromieniona i zwraca się do karła kucającego przy maszynie jakieś sześć metrów od nas: – Trevor, bądź tak dobry i załaduj podwójnym dla Newmana, dobrze?

Trevor spełnia prośbę, a ja ponownie przygotowuję się do tryumfalnej salwy. Peter spogląda na mnie z zazdrością. Wendy spogląda na mnie z pożądaniem.

Pozostali strzelcy zajmują się swoimi sprawami i mają głęboko w dupie poczynania proletariackiego idioty, którego przyprowadziła ze sobą Wendy. Trevor zdaje się czyścić sobie ucho scyzorykiem. Jest jednak zmuszony zwrócić na mnie uwagę, gdy unoszę w powietrze moją potężną flintę, gotów unicestwić dwa małe rzutki za jednym zamachem.

– DAWAJ! – ryczę niczym bóg wojny Mars we własnej osobie.

Rzutki wylatują w powietrze, pierwszy niewiele przed drugim. Bez chwili wahania go zestrzeliwuję, po czym zwracam strzelbę ku drugiemu.

Oj, nie, ten leci szybciej. Zaraz mi ucieknie!

Wiodę lufą za krążkiem, rozpaczliwie usiłując go wyprzedzić, by móc oddać celny strzał. Cały świat znika. Jesteśmy tylko ja, strzelba i rzutek. Reszta przestaje dla mnie istnieć. Namierzam gliniany krążek, który

przecina powietrze, coraz to niżej i niżej. Z każdą chwilą szybciej. Jest już prawie poza zasięgiem!

Muszę strzelić!

Bum! – wypala broń. *Ziuu!* – przelatuje nietknięty krążek. *Brzęk!* – sypie się szyba od strony kierowcy w zaparkowanym po lewej nowiusieńkim range roverze, a szkło rozbite moim chybionym wystrzałem rozpryskuje się po całym pojeździe.

Znane jest mi sformułowanie „chciał się zapaść pod ziemię” – wy też z pewnością je znacie. W tym jednak konkretnym przypadku wydaje mi się, że musimy wykroczyć poza granice określenia „pod ziemię” i nieco poszerzyć nasze horyzonty.

Na polu zapada zimna i sztywna cisza, a wszyscy strzelcy spoglądają na mnie z absolutnym niedowierzaniem. Gdy opuszczam strzelbę i patrzę na pokiereszowanego range rovera, pragnę, by *cały Wszechświat* otworzył się i mnie pochłonął.

Dzięki temu przeniósłbym się w inny wymiar. W wymiar, w którym popełnianie aktów porażającej głupoty uchodzi za dowód nienaganego wychowania i nienaganej postawy. Zostałbym tam rzecz jasna obwołany królem wszystkiego, co w moim zasięgu, ponieważ nikt inny w owym równoległym Wszechświecie nie potrafiłby się choćby zbliżyć do istic epickich wymiarów kretynizmu, jakie jestem w stanie osiągnąć, jeśli tylko dać mi czas i zapewnić sprzyjające warunki.

Upuszczam strzelbę, jakby to był żywy wąż, a z mojego zaciśniętego gardła wyrywa się drobina krzyku.

– Niech to jasny chuj strzeli! – z sąsiedniego stanowiska rozbrzmiewa ryk Petera, starszego oficera policji i sobowtóra burmistrza. – Coś ty zrobił z moim range roverem, ty głupi cycu?

Oczywiście wóz należy do niego. Bo do kogóż by innego? Jego twarz przybiera odcień wulkanicznej czerwieni. Ręce trzęsą mu się w furii, przez co strzelba, którą trzyma, głośno grzechocze. *Zaraz zginę.* Właśnie ostrzelałem nowiutki samochód wariata z policyjną odznaką i pozwoleniem na broń długą. Za chwilę skieruje to wielkie czarne ustrojstwo w moją głowę i zrobi ze mną to, czego nie udawało mu się zrobić z większością rzutków, do których dzisiaj strzelał.

Na szczęście interweniuje Wendy, ratując tym samym moją skórę.

– Ojej, Peter, jaka szkoda! Jestem pewna, że Newmanowi jest bardzo

przykro... prawda, Newman?

– Mhm.

– No widzisz. Bardzo mu przykro. – Wendy łapie mnie za ramię i zaczyna odciągać na bok.

– A co z moim cholernym wozem, Wenders? – ryczy za nami Peter.

– Powiem tacie, żeby się tym zajął. Wszystko będzie cacy.

– Cacy? CACY?! – Rejestrem głosu zbliża się teraz do operowych tenorów. – Kupiłem to cholerstwo zaledwie trzy dni temu!

– Czyli wciąż jest na gwarancji – mówię i natychmiast żałuję, że otworzyłem usta.

– Tak ci się wydaje, parszywy gnojku? Sądzisz, że zgodzą się zapłacić za szkody powstałe w wyniku wystrzału z broni palnej dokonanego przez chodzący wór kurzego gnoju?

– Spokojnie, Peter. Wszystko będzie w całkowitym porządku.

Zauważam, że Wendy podniosła głos o oktawę, na co spina mi się odbyt.

– Może wrócilibyśmy już do domu? – proponuje i zaczyna popędzać mnie z powrotem. Dobiega mnie charakterystyczny odgłos przeładowywania broni. – Wiesz co, a może trochę podbiegniemy? Dobrze nam to zrobi – kontynuuje Wendy.

Nie trzeba mi tego powtarzać. Zapominam o godności i rzucam się do biegu tak szybko, jak tylko pozwalają mi na to ubłocone buty. Na szczęście Peter jest zbyt tłusty, by móc wszcząć pościg. Im dalej zaś odbiegam, tym mniej martwię się perspektywą postrzału w plecy, jako że stary wariat nie trafiłby z trzech metrów w drzwi od stodoły.

Kiedy wraz z Wendy docieramy do posiadłości, którą nazywa domem, dochodzę do wniosku, że najpewniej dożyję następnego dnia. Nie będę natomiast ciągnął tej szaleńczej randki choćby sekundę dłużej.

– Chyba wrócę już do domu.

– Wydaje mi się, Newman, że tak będzie najlepiej. – Za to, co następnie powie, należy jej się pewne uznanie. – Chyba nie powinniśmy umawiać się na kolejną randkę, jak sądzisz? Odnoszę wrażenie, że jesteśmy po prostu zbyt różni, by pasować do siebie.

– Zgadzam się z tobą. Jeśli umówilibyśmy się raz jeszcze, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że niechcący przejdę od uszkodzenia mienia do nieumyślnego spowodowania śmierci.

Nawet się na to uśmiecha.

– Wszystkiego najlepszego, Newman... *Jamie*. – Całuje mnie w policzek. – A teraz zmykaj stąd, zanim Peter poszczuje cię psami.

Nie jestem pewien, czy żartuje, nim jednak miałbym okazję się przekonać, popędzam silnik forda i wylatuję podjazdem z terenu posiadłości.

Kiedy kluczę wiejską drogą, która ma mnie doprowadzić z powrotem do cywilizacji, intensywnie rozmyślam o tym, jak ledwo co udało mi się uniknąć zastrzelenia. Myśli te tak bardzo mnie pochłaniają, że nie zauważam ultralekkiego samolotu, który z warkotem nadlatuje w moją stronę i o mało nie ociera się o dach samochodu.

– Jasny gwint! – jęczę i wciskam hamulec w podłogę.

Z przerażeniem patrzę przez przednią szybę, jak samolocik prześlizguje się ponad karoserią wozu, mijając ją ledwie o parę centymetrów. Oprócz ryku silnika udaje mi się dosłyszeć kobiecy krzyk.

Miniaturowa maszyna wyprzedza mojego forda i kontynuuje swój niepewny lot przez kolejne dwadzieścia metrów, muskając żywopłoty, aż w końcu pilot odzyskuje jako takie panowanie nad sterami, dzięki czemu samolot wspina się z powrotem ponad linię drzew i znika z pola widzenia.

Dość tego. Oto otrzymałem jasny komunikat z niebios, że powinienem jak najszybciej wrócić do domu i naciągnąć kołdrę na głowę. Mamy środek dnia, a ja już o mały włos uniknąłem śmierci z broni palnej i staranowania przez samolot. Nie ulega wątpliwości, że ktoś usiłuje dać mi coś do zrozumienia.

Kiedy parę godzin później siedzę tak i piszę te słowa, w części ramienia, która brała na siebie odrzut strzelby, tworzy mi się rozległy fioletowy siniak. Ramię napieprza mnie tak bardzo, że nie mogę nawet strzepać patafiana, a odgrzewane danie błyskawiczne musiałem zjeść jedną ręką. Większość posiłku wylądowała mi na kolanach. Jeśli ktoś kiedyś spyta mnie, czy nie wybrałbym się ponownie na strzelanie do rzutków, będę musiał odmówić, uzasadniając to obawą o frustrację seksualną tudzież niedożywienie.

PAMIĘTNIK LAURY

1 V, NIEDZIELA

Droga Mamo!

Matko kochana, padłam ofiarą stalkera. Słyszałam już, że zdarzało się to innym kobietom, ale mnie jeszcze nigdy. Pamiętasz Alison Krausner, prawda? Tę biedną Niemkę, którą poznałam na studiach? Która przez trzy miesiące musiała znosić, jak Ritchie Morris masturbował się w jej ogródku, aż wreszcie policja raczyła w końcu zareagować?

– Właściwie każdego ranka rozsuwałam zasłony i widziałam jego patafiana – tak mi się wtedy zwierzała.

Moje niedawne doświadczenie zdecydowanie różni się od perypetii Alison, zamiast bowiem zadzwonić na lokalny posterunek, z *moim* stalkerem zgodziłam się pójść na randkę. Gwoli jasności – i by uspokoić Cię, że nie jestem aż tak znowu żałosna – szczerze mówiąc, nieco przesadzam, przypinając mu łątkę stalkera. O ile wiem, to ani przede mną, ani przed nikim innym facet ten swoim patafianem nie wywijał. W istocie rzeczy to, co zrobił, było nawet miłe – i zapewniło mu przynajmniej jedno spotkanie z niżej podpisaną dziewczyną.

Być może pamiętasz, że kiedy parę tygodni temu relacjonowałam moją potworną przygodę z randkami błyskawicznymi, wspomniałam o niej jakimś Tomie. Poświęciłam mu jedynie krótką wzmiankę, jako że dyskomfort związany z hemoroidami pochłaniał mnie tak bardzo, że zapomniałam o tym jegomościu praktycznie zaraz po tym, jak o nim napomknęłam.

Tymczasem okazuje się, że Tom bynajmniej nie zapomniał o mnie. Okazuje się też, że firma organizująca randki błyskawiczne powinna zapewne porozmawiać z kimś na temat ochrony danych osobowych.

W czwartek wieczorem odbieram telefon.

– Halo – mówię.

– Ee. Cześć. Czy to Laura?

– Tak. Kto mówi?

– Słuchaj, proszę cię, nie rozłączaj się.

– Czy zaraz zaczniesz dyszeć w słuchawkę? Bo na mnie naprawdę nie

robi to wrażenia, a aparat, który mam, sprawi, że będziesz po prostu brzmiał jak Darth Vader z chorymi zatokami.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nazywam się Tom. Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się na randce błyskawicznej w Cheetah Lounge.

– Tom? Ten od ratowania porzuconych szczeniąt czy ten, który lubi latać małutkimi samolotami?

– Tak właściwie to się nazywają samoloty ultralekkie. I tak, to byłem ja.

– Skąd masz mój numer?

– Szczerze mówiąc, to wydzwaniałem do firmy do upadłego, aż w końcu skapitulowali i mi go podali. Zajął mi to tydzień i musiałem pofatygować się osobiście do ich biura. Postanowiłem nie odpuścić, dopóki nie dostanę przynajmniej twojej komórki. Koniec końców spędziłem tam cztery godziny.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo uznałem, że jesteś absolutnie cudowna. Bez wątpienia tamtej nocy byłaś najpiękniejszą kobietą w klubie. Nie mogłem przestać myśleć o tobie i musiałem się jakoś z tobą skontaktować.

– Uważasz, że jestem piękna?

– Oczywiście! Możemy się kiedyś umówić?

I jak tu na coś takiego odpowiedzieć? Z jednej strony facet zadał sobie niesamowity trud, aby zdobyć mój numer, co może sugerować pewną niestabilność emocjonalną. Z drugiej strony sądzi, że jestem piękna. To ci zagwozdka.

– Sama nie wiem, Tom. Trochę mnie tym zaskoczyłeś.

– Wiem! Przewidziałem, że będziesz się pewnie wahać, toteż postanowiłem zaproponować ci randkę, którą warto będzie zapamiętać. Chciałabyś ze mną polatać?

– Polatać?

– No tak. Mój samolot stoi zatankowany i gotowy... o ile tylko masz czas w tę niedzielę.

Serce zaczyna mi walić – nie ze względu na perspektywę kolejnej randki, bo tymi się już szczerze znudziłam, ale na myśl o lataniu. Brzmi fenomenalnie. Pokochałam latanie, odkąd miałam dwanaście lat i dziadek zabrał mnie na wycieczkę cessną. No dobrze, mały samolocik to nie dokładnie to samo, ale gdy pomyśleć, że będę szybować w przestworzach z wiatrem we włosach i głową w chmurach?

– Wiesz co? Czemu nie.

– Wspaniale! Wielkie dzięki.

– Ależ proszę. Powiedz tylko, gdzie i o której mam się stawić, a w niedzielę tam będę.

Zgadza się, dosłownie pogoniłam ostrożność na cztery wiatry, ale do licha, jeśli nie skorzystasz z takich okazji, koniec końców będziesz tego żałować. A zresztą może Tom okaże się Tym Właściwym? Mam szansę pohasać po niebie i przy okazji wylatać sobie życiowego partnera.

Tego ranka wstałam z głową pełną takich właśnie myśli i zaczęłam przygotowywania do dnia w przestworzach. Tak się fantastycznie składa, że tego rodzaju hobby nie wymaga strojenia się. Tom powiedział, bym włożyła coś ciepłego i starego, co też z radością uczyniłam. To całkiem miłe, gdy masz świadomość, że osoba, z którą się umówiłaś, nie oczekuje, byś odstawiła się niczym stróż w Boże Ciało, toteż po pięciu minutach spędzonych przed szafą i na nienawidzeniu samej siebie wkładam stare jeansy, gruby sweter i puchatą niebieską kurtkę narciarską, której nigdy dotychczas nie miałam na sobie.

Nakładam niezbędne minimum makijażu, jakiego potrzebuję, by móc pokazać się światu, i już po godzinie od przebudzenia (co prawdopodobnie stanowi nowy rekord) wsiadam w pozostałości mojego forda ka, po czym ruszam w stronę lotniska polowego na zupełnym odludziu, gdzie mam się spotkać z Tomem. Po przyjeździe na miejsce dostrzegam, jak sprawdza coś przy swoim samolociku. Ma na sobie rozpięty czarny kombinezon, którego rękawy zawiązał wokół pasa. Obcisła koszulka, którą włożył pod spód, uwydatnia nader atrakcyjny biceps.

Bingo.

Samolocik okazuje się mniejszy, niż się tego spodziewałam. Wygląda, jakby ktoś wjechał samochodem na pedały w czterokołowca, po czym podczepił go do lotni. Na trawiastym polu stoi ich w sumie siedem czy osiem, a wokół każdego krzątają się jacyś ludzie.

Parkuję samochód obok hangaru z blachy falistej jakby żywcem wyjętego z filmu o drugiej wojnie światowej i idę w stronę Toma. Przyznam, że kołyszę przy tym biodrami nieco bardziej niż zwykle, to jest w sposób obliczony na pobudzenie męskiego libido. Może i mam na sobie wielką, puchatą kurtkę oraz jeansy z co najmniej dwiema plamami po farbie, lecz nie zmienia to faktu, że wciąż potrafię zarzucać moim seksownym zadkiem

– choć sprawia mi to więcej trudności niż zwykle.

– Cześć, Tom – mówię, gdy przy nim staję, z ledwością zdobywając się na to, by patrzeć mu w twarz, a nie na biceps.

– Cześć, Laura – odpowiada, odgarniając znad oczu kosmyk ciemnobrązowych włosów i pozostawiając na czole męską smugę smaru silnikowego. – Jak się miewasz?

Jestem, napalona, dzięki, że pytasz. Miałbyś coś przeciwko, gdybym zawisła na chwilę na twym ramieniu?

– Wspaniale! Naprawdę nie mogę się doczekać!

– To świetnie. Sprawdzam jeszcze tylko parę rzeczy, aby się upewnić, że wszystko w porządku. Możesz chwilę poczekać?

Oczywiście. O ile mogę wgapić ci się w tyłek, podczas gdy majstrujesz przy tych pasach, Tom.

– Nie ma sprawy. Nie spiesz się.

Już po pięciu minutach przyglądania się, jak Tom oporządza swój samolot, mogłabym usatysfakcjonowana wrócić do domu, w końcu jednak robi krok w tył, wciąga kombinezon na idealnie wyrzeźbione ramiona i podchodzi do mnie.

– A zatem gotowa, by ruszać?

– Jejku, tak.

Jejku, tak?

Dlaczego, u diabła, zaczęłam mówić niczym bohaterka jakiegoś pieprzonego romansidła Jane Austen? Równie dobrze mogłabym go kokieteryjnie trzepnąć wachlarzem i byłoby po sprawie.

– Świetnie, to teraz wyposażymy cię w kask.

W porządku, Tom. Choć chyba wolałabym zapoznać się z twoim wyposa...

Nie zamierzam nawet kończyć tego zdania.

Tom wyciąga jasnozielony kask ochronny, który koszmarnie będzie się gryźć z moją niebieską kurtką, i mi go wręcza. Wkładam go na głowę i boleśnie zdaję sobie sprawę, że wyglądam teraz jak ostatnia idiotka.

– Do twarzy ci – komentuje z uśmiechem Tom.

– No to świetnie. Mam wsiąść do samolotu z człowiekiem, który najwyraźniej jest zupełnie ślepy.

Tom (na całe szczęście) śmieje się i mówi, bym wdrapała się do maszyny.

Kiedy zapina mnie w sześciopunktową uprząż, muska dłonią wewnętrzną stronę mojego uda, toteż nie chwytam ani słowa z tego, co ma do powiedzenia na temat czekającego nas lotu. Od czasu do czasu dociera do mnie jakieś wyrwane z kontekstu słowo czy wyrażenie. Wspomina coś o hałasie silnika oraz o zimnie, mój umysł jednak nie może się oderwać od dotyku jego dłoni.

– Wszystko pasuje, Laura? – pyta Tom.

– Jejku, tak – rzucam ponownie i przeklinam się w myślach.

– No to startujemy!

Tom wskakuje do małego kokpitu przede mną. Muszę lekko rozchylić nogi, aby zrobić miejsce na jego szerokie plecy. Nie pomaga mi to w zapanowaniu nad sobą. Tom mówi coś do mikrofonu w kasku, ewidentnie ustalając z kimś w blaszanym hangarze zgodę na nasz start. Następnie odpala silnik i zaczynamy kołować w stronę rozległej, płaskiej części pola z pomarańczowymi znacznikami sygnalizującymi przebieg pasa startowego.

Serce bije mi coraz szybciej i szybciej. Tak bardzo skupiłam się na pilocie Tomie, że chwilowo wypadło mi z głowy, że oto zaraz będę latać, lecz gdy obracamy się i stajemy na początku trawiastego pasa, ekscytacja powraca z pełną siłą.

– Gotowa?! – Tom przekrzykuje silnik.

– A żebyś wiedział! – wrzeszczę, podczas gdy wibracje ultralekkiego samolotu przenoszą się na całe moje ciało.

Przybierają na sile, gdy Tom dodaje gazu, nadając maszynie prędkość startową. Pędzimy wzdłuż pasa startowego, aż nagle zapiera mi dech, gdy maciupki samolocik wznosi się nad ziemię.

Wzbijamy się w powietrze. Zaczynam dyszeć jak podekscytowane szczenię. Przekraczamy linię drzew i moim oczom ukazuje się pofalowany krajobraz. Jest *fantastycznie!* Jest *cudownie!* Jest... tak właściwie to jest zimno jak cholera.

Może i mamy początek maja, ale jest to początek *brytyjskiego* maja, toteż temperatura na powierzchni ziemi wynosi skromne czternaście stopni. Tu, na górze, na chłodnym, szarym porannym niebie, przez które mkniemy z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę, dwanaście z owych czternastu stopni można sobie radośnie skreślić.

Kiedy jest zimno, koszmarne leje mi się z nosa. Zimą zmieniam pudełka z chusteczkami w takim tempie, jak gdyby groziło im wyjście z mody.

Możesz sobie wyobrazić, Mamo, jak to wygląda, gdy lodowaty wiatr ze wspomnianą prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę wieje Ci prosto w twarz. Nigdy dotąd nie miałam wąsów utworzonych z glutów z nosa. Nie mogę też powiedzieć, bym kiedykolwiek chciała mieć je ponownie.

Ziemia śmiga gdzieś pod nami, ja zaś zaczynam pociągać nosem niczym kokainistka, starając się przy tym zetrzeć dłonią choć trochę smarków z twarzy. Wycieram je następnie w jeansy, pozostawiając na nodze połyskujące wąskie smużki. A więc teraz maluję się własnymi płynami ustrojowymi. Moja twarz przybrała rumiany odcień czerwieni jak u wiktoriańskiego rzeźnika pośród śnieżycy, oczy tak samo poczerwieniały mi za sprawą kásającego wiatru, natomiast zęby szczękają niczym zepsuta nakręcana zabawka.

W tym oto momencie Tom postanawia obejrzeć się, by zobaczyć, jak sobie radzę.

– Dobrze się bawisz?! – krzyczy.

Przyzywam na twarz coś, co ma być uśmiechem, i unoszę zasmarkane kciuki. Trzeba jednak przyznać, że mój uśmiech przypomina raczej zamarznięty grymas. A kiedy dodać do tego rumiane oblicze i wybałuszone oczy, zapewne wyglądam jak głowa jednego z tych tańczących smoków, które można podziwiać podczas obchodów chińskiego Nowego Roku. Tom uśmiecha się, wydaje okrzyk i wyrzuca dłoń w powietrze. Nawet jeśli ze mną jest źle, on ewidentnie bawi się szampańsko.

Niestety, mój gest mógł się wydać nieco nazbyt optymistyczny, Tom bowiem uznaje to za sygnał, by wykonać parę akrobatycznych trików. Kieruje samolocik ostro w dół, po czym na chwilę wyrównuje lot, by ponownie poprowadzić nas w wiszące gdzieś nad głową chmury.

Po raz pierwszy w pełni zdaję sobie sprawę z tego, co właśnie robię. Do tej pory umysł zaprzętały mi fantazje na temat latania, widok naprężającego się bicepsa Toma oraz mój ciekący nos. Prawdę mówiąc, nie myślałam o realiach lotu ultralekkim samolotem. W tym jednak momencie świadomość ta mnie dopada, bo oto Tom wprowadza rozedrganą maszynę w ostry przechył na lewo, jakiego nie powstydziliby się najlepszy as myśliwca.

Siedzę na plastikowym foteliku setki metrów ponad ziemią, a za plecami mam ogromny silnik, który w każdej chwili może eksplodować. Jedyne, co utrzymuje mnie, Toma oraz ów ciężki motor w powietrzu, to dwa skrzydła

wykonane z niezwykle cienkiego, niesolidnie wyglądającego materiału. Sprawiają wrażenie mogących rozpaść się na kawałki choćby już od trafienia glutem gołębiego gówna. Wirujące śmigło o średnicy stolika do kawy również znajduje się zaledwie metr czy dwa od mojej głowy i sprawia, że cała ta piekielna machina dygocze i wibruje tak bardzo, że w każdej chwili spodziewam się zobaczyć, jak nity i śruby utrzymujące samolot w całości wylecą i poodbijają się od mojego jaskrawozielonego kasku, po czym runiemy na ziemię i zginiemy w płomieniach.

Ani trochę nie przypomina to wycieczki cesseną z dziadkiem. Tamta miała porządne skrzydła, siedzenia, okna oraz grzejnik. Teraz natomiast odnoszę wrażenie, jakby ktoś przypiął mnie do zawartości najbliższego złomowiska i katapultował w powietrze z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wszystko to – w połączeniu z moją zmrożoną twarzą, smarkami pokrywającymi policzki tudzież brawurowymi akrobacjami Toma – wywołuje u mnie całkiem poważny atak paniki. Jak dotychczas coś takiego zdarzyło mi się tylko raz, kiedy wracałam promem z Francji i rozpętał się sztorm. Wówczas mogłam przynajmniej siedzieć z głową skrytą między nogami i zamówić wódkę z tonikiem. Dzisiaj natomiast pozostaje mi kurczowe wczepienie się w fotel i hiperwentylacja.

Gdy Tom zabiera nas w kolejny kontrolowany lot nurkowy, oddech mi przyspiesza, oczy jeszcze bardziej wychodzą z oczodołów, a kiedy maszyna osiąga najniższy punkt manewru, krew ucieka mi do stóp. To zbyt wiele dla mojego zdezorientowanego mózgu, który postanawia, że dość już tych wariactw na jeden dzień, i zwija interes.

Innymi słowy – tracę przytomność.

Kiedy ją odzyskuję, stwierdzam, że jestem wychylona do przodu, a twarz wbijam w plecy Toma. Tom krzyczy i lewym łokciem usiłuje odepchnąć mnie z powrotem w tył. W końcu prostuję się i wyglądam ponad jego ramieniem – by natychmiast tego pożałować.

Prosto na nas kieruje się niebieski ford mondeo. Jest to dosyć dziwne, jako że ford mondeo to samochód i jako taki porusza się po ziemi. My zaś siedzimy w ultralekkim samolocie, który lata po niebie. Drogi naszych pojazdów nie powinny się nigdy przeciąć. A przynajmniej nie w ruchu. W końcu dociera do mnie, że znajdujemy się ledwie pięć metrów nad ziemią i za sekundę zderzymy się z zardzewiałym autem. To doskonały moment, by zacząć drzeć się ile sił w płucach.

Pozbywszy się z pleców mojej głowy, Tom jest w stanie poderwać maszynę z fatalnego kursu zderzeniowego. Prześlizgujemy się tuż nad formem, koła samolotu muskają korony drzew, aż wreszcie powracamy w szare przestworza nad nami.

– Chcę wysiąść. Chcę wysiąść. Chcę wysiąść. Chcę wysiąść! – zaczynam szlochać w pełnym przerażenia transie.

– Kieruj się teraz z powrotem na lotnisko – odpowiada Tom, starając się przekrzyczeć hałas silnika.

Pozostała część lotu tonę we łzach, które dołączają do strużek smarków ciągnących się po mojej brudnej twarzy. Wyglądam, jakby ktoś w tunelu aerodynamicznym cisnął we mnie słoikiem maści rozgrzewającej Vicks. Tom przystępuje do lądowania i dotykamy ziemi, przy czym ani samolocik, ani my nie odnosimy widocznych szkód. Niemniej jednak straty zadane prawdopodobieństwu kolejnej randki z Tomem są nieodwracalne.

Kołujemy po ziemi, aż w końcu zatrzymujemy się w pobliżu mojego samochodu. Dzięki temu mam czas, by uwolnić palce, do tej pory kurczowo wczepione z dwóch stron w plastikowy fotelik.

Tom wydostaje się z kokpitu i spogląda na mnie.

– Wszystko w porządku, Laura?

– Haaaaaaa.

– Słucham?

– Wybacz. Nie, Tom, nie czuję się w tej chwili najlepiej.

– Co się dzieje z twoją twarzą?

– Wybuchła, Tom. Moja twarz wybuchła. – W błagalnym geście podnoszę dłoń. – Mógłbyś, proszę, pomóc mi wydostać się z tego ustrojstwa?

– Nie tak to sobie wyobrażałem – przyznaje Tom, gdy znów staję na nogach i niepewnym krokiem wracam do samochodu.

– Ani ja.

Przez moment obydwójce stoimy w milczeniu. On wyraźnie zamyślony, ja zaś czyszcząc smarki z twarzy za pomocą chusteczek, które znalazłam na drzwiach samochodu.

– Być może trzeba było wybrać się razem do pubu.

– Możliwe, Tom. Możliwe. Z pewnością prawdopodobieństwo, że przy tym zginiemy, byłoby mniejsze.

– Wybacz, że mnie tam trochę poniosło.

– Nie musisz przeproszać. Wygląda na to, że ultralekkie samoloty są po prostu nie dla mnie.

Znowu zapada cisza. Jest nie do zniesienia. Obydwoje wiemy, że nic z tego nie będzie. Wszelka chemia między nami zdążyła wyparować. Bliskie spotkania ze śmiercią mogą do tego doprowadzić. Jestem potwornie zmęczona i chcę po prostu wrócić do domu.

– Mimo wszystko fajnie było się z tobą spotkać – mówi Tom. – Cieszę się, że mam twój telefon.

Wcale się nie cieszysz, chłoptasiu. Na pewno nie teraz, gdy widziałeś moją twarz pokrytą połyskującą zawartością mojego nosa, a do tego o mały włos nie zginął przez moją nieumiejętność zachowania przytomności umysłu w sytuacjach kryzysowych.

– Również się cieszę, że się spotkaliśmy, Tom. – Odwracam się w stronę samochodu. – Lepiej pojedę już do domu. Muszę wziąć prysznic.

– Dobra myśl – mówi, po czym zdaje sobie sprawę, że była to najgorsza możliwa odpowiedź w danych okolicznościach. – Przepraszam, Lauro, nie chciałem...

– Nieważne. Uważaj na siebie.

– Ty też. Jedź ostrożnie.

– Postaram się. Miejmy tylko nadzieję, że nie właduję się na tego nieszczęśnika w fordzie, co?

Mój żarcik przechodzi bez echa.

Ostatnich kilkaset powyższych słów stanowi dowód na słuszność rady „nie przedobrzej” – a przynajmniej jeśli chodzi o randki. To właśnie dlatego pierwsze randki zawsze odbywają się według tego samego modelu w pubie, w barze czy w restauracji. Na ekscytujące zabawy jeszcze przyjdzie czas, ale na pierwszym spotkaniu naprawdę należy skupić się na czymś, co nie wiąże się z ryzykowaniem życia. Tak będzie lepiej choćby i dla waszej cery. Twarz ciągle mam zarumienioną, a z nosa przestało mi się lać dopiero jakąś godzinę temu.

W najbliższej przyszłości postanawiam odpuścić sobie randki. A przynajmniej dopóki nie wykupię porządnego ubezpieczenia na życie.

Kocham Cię i tęsknię, Mamo.

Twoja zasmarkana córka Laura

BLOG JAMIEGO

CZWARTEK, DZIEWIĘTNASTY MAJA

Ktoś kiedyś powiedział, że można trafić na właściwą kobietę, kiedy akurat się jej nie szuka. Jeżeli cały swój czas poświęcasz poszukiwaniu partnerki, zapach desperacji staje się na tyle silny, by odstraszać kandydatki. Dopiero gdy zrelaksujesz się, zapomnisz o sprawie i powrócisz do normalnego rytmu życia, napotkasz niechybnie Tę Jedyńą.

Wszystko to, rzecz jasna, bujda na resorach, ale może poprawić ci nastrój, gdy spoglądasz w przyszłość pozbawioną miłości, czułości i lodzików. Zarazem, wzięwszy pod uwagę moje dzisiejsze doświadczenia, byłbym skłonny stwierdzić, że kobieta trafia ci się tylko wtedy, gdy zajmujesz się swoimi sprawami i robisz zakupy, ona zaś wpada na ciebie na rozklekotanym skuterze. Brzmi to już mniej poetycko, ale bez wątpienia bardziej precyzyjnie – przynajmniej w moim przypadku.

Wspomniana kobieta ma na imię Laura i pomimo podjętej przez nią próby uśmiercenia mnie za pomocą vespy postanowiłem dać jej swój numer telefonu. W rzeczy samej, doszło do tego, że jestem gotów nadstawić się potencjalnej morderczynie, o ile tylko zwiększa to moje szanse na bzykanie. Z obawy, że w tej chwili cmoknicie z niesmakiem i przejdzicie do bloga pisanego przez jakiegoś mniej żalósnego osobnika, spróbuję teraz wytłumaczyć moje postępowanie.

Obudziłem się tego ranka z nieprzewartą potrzebą wydania pieniędzy na nowe gatki. Rzadka to dla mnie okoliczność, zakupy odzieżowe bowiem na liście ulubionych aktywności sąsiadują u mnie z leczeniem kanałowym. Niemniej jednak tego akurat poranka niechętnie włożyłem parę wyblakłych czarnych bokserów i przyjrzałem się sobie w lustrze. Majtki prezentowały się tak workowato i bezkształtnie, że zaczynały przypominać przepaskę biodrową któregoś z moich mamutożernych przodków. Nawet jak na samotnego faceta, który nie ma dla kogo się starać, nie wyglądało to dobrze. Stąd też chęć wydania części moich zasobów pienużnych na nową bieliznę, która odpowiednio opakuje moje zasoby genitalne.

Niestety, aby wyskoczyć do najbliższego Primarku, musiałem wpierw spędzić cały dzień w pracy, co oznaczało, że dopiero za osiem pełnych godzin będę mógł dorwać się do nowego dziesięciopaku bokserów, którymi

zastąpię moją obecną pozałowania godną kolekcję.

O piątej trzydziści w podskokach opuściłem biuro i pogałem do miasta, by w pełni skorzystać z czwartkowych dłuższych godzin otwarcia sklepów. Głównym celem wyprawy był zakup nowych gatek, ale rozglądałem się również za czymś, co ożywiłoby wygląd mojego salonu, który od jakiegoś już czasu sprawiał wrażenie przygnębiająco pustego. Kanapa, telewizor i regał z książkami niekoniecznie składają się od razu na przyjemny wystrój mieszkania, chyba że jest się pustelnikiem lubiącym serial *EastEnders* oraz powieści Johna Grishama.

Z tego, co się orientuję, atrakcyjną i dobrze widzianą dekorację dowolnego domu mogą stanowić rośliny doniczkowe, postanowiłem zatem poszukać czegoś odpowiedniego, czym mógłbym umaić i moje lokum.

To, czy prawie dwumetrowy fikus, który ostatecznie nabyłem, można uznać za „coś odpowiedniego”, pozostawiam waszej ocenie. Nie ulega za to wątpliwości, że drań był trudny do ruszenia, na co wpływ miała ogromna donica z ziemią, Zdawał się ważyć ponad sto kilo. Wciąż nie pojmuję, dlaczego nie zdecydowałem się po prostu na niewielkiego storczyka, który stałby sobie na parapecie.

Zawsze gdy mam zbyt wielki wybór, podejmuję koszmarnie głupie decyzje. Stałem więc w sklepie wnętrzarskim przed zatrzesieniem rozmaitej flory ozdobnej, zastanawiając się, który też egzemplarz najlepiej będzie się prezentować w moim oknie od frontu. Upłynęło co najmniej dziesięć minut, po czym straciłem nadzieję, że uda mi się coś wybrać według kryteriów estetycznych, i postanowiłem skorzystać po prostu z najlepszej okazji. Jako że fikus był przeceniony o pięćdziesiąt procent, przytaszczyłem go do wyjścia i rzuciłem kasjerowi czterdzieści funtów.

Przy okazji popełniłem szkolny błąd polegający na nabyciu pokaźnego przedmiotu na samym początku zakupów, przez co musiałem przedzierać się przez Primark w towarzystwie mojego nowego, zielonego monstrum, ze wszystkich sił starając się nie znokautować jego potężnymi liśćmi żadnego z napotykanych w sklepie wykolejeńców.

I powiem wam, że nie było mi łatwo. W sklepie panował tłok jak cholera. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się być w Primarku i nie natknąć się na delikwentów, których spodziewałbyś się spotkać na widowni *Potyczek Jerry'ego Springera*.

Tym razem prawie smyrnąłem fikusem pokrytą tatuażami kobietę morsa. Jestem całkiem przekonany, że byłaby w stanie złamać mi kręgosłup na

swoim kolanie, a więc dobrze, że udało mi się nie zahaczyć rozchwianą rośliną o jej głowę, kiedy stała i namyślała się nad wyborem bojówek po trzy funty para.

Primark to paradoks pośród sieciówek. Wszystko, co ma, sprzedaje po skandalicznie niskich cenach, a i tak zawsze zostawiasz u nich zdecydowanie za dużo pieniędzy. Tak trudno przecież oprzeć się atrakcyjnej ofercie, prawda? Więc składują całe sterty wszelkiego barachła, po czym wyprzedają je za półdarmo.

Zgarnąłem mój dziesięciopak bokserek – a oprócz niego cztery koszulki po dwa funty, dwie pary jeansów za dziesiątaka, parę krótkich spodenek z kieszeniami za siedem funtów, tanio wyglądające tenisówki za dziewięć, cztery biurowe koszule z krótkim rękawem za szesnaście tudzież absolutnie odrażającą hawajską koszulę (idealną na czekający mnie bal przebierańców) za funtów sześć.

Teraz więc staram się wydostać z zatłoczonego sklepu z gigantycznym fikusem oraz ilością tekstyliów wystarczającą do odziania całej afrykańskiej wioski. Docieram do kasy, nie dopuszczając się po drodze żadnej fikuśnej napaści, i wykładam na ladę swe zdobycze. Trapiiony trądzikiem malkontent za kontuarem przez kilka chwil zastanawia się, czy powinien policzyć mi również za fikusa, po czym dochodzi do wniosku, że Primark najprawdopodobniej nie otworzył sekcji ogrodniczej, poczyną więc skanować i pakować resztę moich nabytków.

– Razem będzie siedemdziesiąt sześć funtów, proszę pana – mamrocze tonem istoty, której zbrzydło życie.

Siedemdziesiąt sześć cholernych funtów? Jestem w Primarku, prawda? Jakim cudem mogę wydać tyle forsy w pieprzonym *Primarku*? Nie do końca przekonany, że nie zostałem właśnie okradziony, wręczam moją kartę płatniczą i przeklinam się w myślach za skłonność do robienia zakupów pod wpływem impulsu. Wszedłem przecież tylko po gatki. A teraz okazuje się, że wywaliłem grubo ponad sto funtów na ogromną roślinę oraz całą garderobę ciuchów, z których połowy pewnie nigdy i tak nie włożę.

Wytaczam się ze sklepu na rześkie powietrze wieczoru. W jednej ręce mam fikusa, który za każdym razem, gdy stawiam krok, uderza mnie po twarzy, w drugiej zaś wypchaną torbę pełną koszmarnych ciuchów. Opuszczam strefę dla pieszych pod centrum handlowym i kuśtykam przed siebie, czując narastający ból w obciążonych zbyt dużym ciężarem ramionach.

Jako że w dzieciństwie panicznie bałem się Kapitana Zielone Światło, zatrzymuję się jak grzeczny chłopiec przy krawężniku i spoglądam w obie strony, po czym przechodzę przez jezdnię, kierując się ku samochodowi, który zaparkowałem przy bocznej ulicy. To rzecz jasna najodpowiedniejszy moment, by ekologiczna papierowa torba z Primarku postanowiła się rozlecieć. Obydwie rączki urywają się pod ciężarem moich nowych zakupów, torba upada, a jej zawartość wysypuje się na asfalt.

– Cholera! – informuję wszystkich na ulicy, przy czym absolutnie nikt nie wydaje się tym przejęty.

Właśnie w tym konkretnym momencie, kiedy stoję jak ostatni idiota na samym środku jezdni i zastanawiam się, jak, u diabła, zabiorę to wszystko bez torby, Laura McIntyre pojawia się w mym życiu... i zaraz potem o mały włos go nie kończy.

PAMIĘTNIK LAURY

19 V, CZWARTEK

Droga Mamo!

Może pamiętasz rozmowę, którą odbyliśmy, gdy miałam trzynaście lat, kiedy opowiedziałam Ci o tym, jak chciałabym poznać mojego przyszłego męża. Nie pamiętam już wszystkich szczegółów, ale jestem pewna, że była tam mowa o bezludnej wyspie, a także śnieżnobiałym rumaku i pudełku czekoladek większym niż moja głowa.

Nastoletnie dziewczęta to proste istotki, toteż miałam głowę pełną najbanalniejszych stereotypów. Przeskoczmy teraz piętnaście lat do przodu, a dopadnie mnie zimna i brutalna rzeczywistość. Nie obchodzi mnie już, czy będzie jakaś bezludna wyspa, konie i tak zazwyczaj śmierdzą, a pudełko czekoladek oznaczałoby kolejny miesiąc na siłowni. Szczerze mówiąc, wolałabym poznać mojego przyszłego męża w okolicznościach, które nie przyniosłyby mi wstydu, nie wiązały się z obrażeniami cielesnymi ani też z nadmiernymi wydatkami.

Dzisiaj, Mamo, poznałam pewnego faceta, i choć nie wpędziło mnie to w koszty, najadłam się wstydu jak cholera, a poważnych obrażeń cielesnych uniknęłam ledwie co.

Wszystko zaczęło się od ataku paniki. Zazwyczaj nie jestem osobą zapominalską, ale ostatnio miałam kilka trudnych tygodni w sklepiu, myśli zaprzętały mi zwroty magazynowe, arkusze kalkulacyjne i przestrzeń reklamowa, więc można mi wybaczyć, że zapomniałam o urodzinach mojej chrześnicy, prawda? Ze wstydu chciałam zapaść się pod ziemię.

O godzinie osiemnastej wchodzę do mieszkania, praktycznie ślaniając się na nogach. W planach mam wyborny wieczór, który zamierzam spędzić na słodkim nicnierobieniu, wyciągnięta na kanapie przed serialem. Moja współlokatorka Charlie wyjechała na ten tydzień ze swoim nowym chłopakiem, toteż mogę się cieszyć pustą chatą. Sądzę, że to takie właśnie drobne przyjemności ratują nas przed zupełnym oblędem. Perspektywa paradowania po domu w majtkach i koszulce i wyjadania lodów prosto z kubelka może napędzać człowieka przez cały dzień pracy.

Z owym pysznym planem w głowie wchodzę do kuchni i mijam lodówkę. Dostrzegam zdjęcie mnie, Meliny i jej pięknej córeczki Hayley, zrobione w

zeszłym roku w parku rozrywki Thorpe Park – i serce przestaje mi bić. *Jutro są czwarte urodziny Hayley! A ja nic dla niej nie mam!*

Jestem zaproszona na przyjęcie, które zaczyna się jak tylko o szóstej zamknę sklepik. Przy tym jestem tak zawałona pracą, że nie mam najmniejszych szans, by wyskoczyć i kupić jej coś jutro.

Nie mogę tak po prostu sięgnąć po towar z własnego sklepu, ponieważ moje czekoladki robione są wyłącznie z myślą o dorosłej klienteli. Nie wydaje mi się, bym mogła zachwycić Hayley upominkowym zestawem luksusowych pralin bądź truflii w czekoladzie – a przynajmniej nie przed jej dwudziestymi urodzinami. Nic to, będę musiała wyjść raz jeszcze i zdążyć przed zamknięciem do Toys R Us.

Byłoby to wystarczająco trudne, nawet gdyby mój cholerny ford ka działał jak należy, tymczasem *znowu* stoi niezdatny do użytku, a to za sprawą niekończących się kłopotów z uszczelką pod głowicą, więc zostałam bez środka transportu. Kolejnej podróży autobusem bym nie zniosła, zresztą i tak zajęłoby mi to Bóg wie ile czasu. *Będę musiała złapać taksówkę.*

Wtem moje spojrzenie pada na naczynie z kluczami obok mikrofalówki. Jeden z breloczków należy do Charlie. Jest to breloczek od jej skutera Vespa z 1982 roku. Moja współlokatorka hołubi tę bestię już od niemal dziesięciu lat. Charlie nie osiągnęła tego stadium wegetarianizmu, kiedy wszędzie jeździ się na zwyczajnym rowerze, niemniej jednak uznała, że poruszanie się rozklekotanym skuterem mniej szkodzi środowisku aniżeli posiadanie własnego, smrodliwego samochodu.

Ja tę dziewczynę uwielbiam i przez osiem miesięcy, odkąd mieszkamy razem, praktycznie nie było między nami konfliktów, ale czasami wychodzą na jaw jej dziwaczne poglądy na świat. Jeśli mam być szczerą, to od zapachu kadzidełek robi mi się już trochę niedobrze. Można jednak na niej polegać w kwestii punktualnego opłacania połowy czynszu, a do tego radośnie wysłuchuje mojego kwękania i narzekań na życie osobiste, więc tak naprawdę nie mam prawa się skarżyć.

Kiedy tak stoję i patrzę na jej kluczyki, przypomina mi się nasza rozmowa sprzed paru tygodni.

– Powinnaś kiedyś sama spróbować, Laura. Kiedy tylko chcesz – zaoferowała Charlie. – Co moje, to twoje!

– W porządku... może kiedyś.

To w sumie typowe dla Charlie podejście. Dzieli się wszystkim i jest

bardziej ufna niż kilkutygodniowy szczeniaczek. Boję się nie na żarty, że ktoś w końcu wykorzysta jej dobrotliwą naturę i ograbi ją ze wszystkiego. Nie miałam najmniejszego zamiaru skorzystać z jej oferty wypożyczenia vespy.

Aż do tej chwili.

Mogłam (i powinnam była) po prostu zamówić taksówkę, ale budżet mam ostatnio dość napięty, więc dobrze by było unikać zbędnych wydatków – zwłaszcza że zapewne koniec końców wydam fortunę na prezent dla Hayley. Na podłodze obok kubła na papiery dostrzegam jasnoczerwony kask Charlie i decyzja zapada. A więc skuter. To nie może być przecież takie trudne.

Istotnie, przez pierwszych kilkaset metrów wszystko idzie jak z płatka: przekręcam manetkę i do przodu! Na studiach miałam damską hondę melody, więc orientuję się w skuterach na tyle, by umieć nimi jeździć. Niestety, vespa okazuje się *zdecydowanie* potężniejsza od hondy, o czym boleśnie przekonują się w tym momencie sąsiedzi, a to za sprawą przenikliwych wrzasków, jakie wydaję z siebie, pędząc ulicą z nieco nazbyt otwartą przepustnicą.

Ledwie unikam przetrącenia bocznych lusterek wszystkim samochodom na lewo ode mnie, desperacko zaciskam dłonie na kierownicy i usiłuję odciągnąć tę piekielną maszynę od rzędu zaparkowanych pojazdów. Serce łomocze mi, gdy ściągam hamulec, zatrzymując srebrzystą i smrodliwą bestię, i postanawiam, że od tej chwili będę działać o wiele spokojniej.

Oddycham głęboko i otwieram przepustnicę z ostrożnością zazwyczaj zarezerwowaną dla rozbijania bomb. Skuter rusza przed siebie w tempie powolniejszym i niegrożącym już atakiem serca.

Reszta dwudziestominutowej podróży do miasta upływa, praktycznie rzecz biorąc, bez incydentów, jeśli nie liczyć obfitującej w wulgaryzmy wymiany zdań z kierowcą białej furgonetki oraz stresującego spotkania z peugeotem 106. Podjeżdżam pod Toys R Us, lekko się tylko chybcząc, i parkuję w zatoczce dla motocykli.

Pierwsza przyznam, że zakup prawie półtorametrowego domku dla lalek, gdy przyjechało się do sklepu skuterem, nie jest najrozsądniejszym posunięciem, ale przecież każda mała dziewczynka powinna mieć domek dla lalek. Wyobraziłam wręcz sobie, jak oczy malutkiej Hayley rozbłyskają radością, gdy otwiera przód domku, by przyjrzeć się wszystkim tym pokoikom z miniaturowymi mebelkami i tycimi szklanookimi lalkami. Kiedy

byłam dzieckiem, uwielbiałam mój domek, więc jakież lepszy prezent mogłaby sprawić ciocia Laura?

Udało mi się nawet namówić rosnącego sprzedawcę, by pomógł mi przytroczyć pakunek z tyłu skutera za pomocą taśmy pakowej oraz pęku sparcialnych pasków mocujących, które Charlie przechowywała pod siodełkiem.

Przerażenie widoczne w jego oczach, kiedy uruchomiłam silnik i (bardzo, ale to bardzo powoli) odjechałam spod sklepu, było moim zdaniem zupełnie nieuzasadnione, podobnie jak rozliczne klaksony, które towarzyszyły mi, gdy niespiesznie oddalałam się ulicą na chwiejącym się pod ogromnym ciężarem skuterze.

Byłam jednak pewna, że sobie poradzę, a zresztą do domu nie było znowu tak daleko. I wszystko poszłoby wspaniale, gdyby kask nie postanowił zsunąć mi się z głowy w tył. Kiedy wkładałam go jeszcze w mieszkaniu, zdałam sobie sprawę, że jest zbyt duży, uznałam jednak, że jeśli ściągnę do końca pasek regulujący pod brodą, kask nie będzie się aż tak przemieszczać, więc nada się na wypad do sklepu.

Ale nie. Nie tym razem.

W chwili gdy skręcam w ulicę wyprowadzającą z centrum handlowego, czerwone cholerstwo powoli zsuwa się w tył, niemalże dławiąc mnie paskiem – i wychylając mi głowę ku górze. I bez tego ledwo panowałam nad zabawkowo-skuterowym mutantem, toteż teraz sytuacja staje się dziesięć razy gorsza. Powinnam patrzeć na drogę, tymczasem sunę przed siebie, do reszty straciwszy panowanie nad kierownicą, oślepiana kolejnymi latarniami.

Ciska mną po całej szerokości jezdni – szczęśliwie pustej, jako że jest już po ósmej wieczorem – drę się wniebogłosem i ze wszystkich sił próbuję nie doprowadzić do jakiegoś potwornie nieprzyjemnego i bolesnego wypadku.

Istnieje wiele sposobów na przełamanie pierwszych lodów z nieznanym mężczyzną, Mamusiu. Można na przykład skomplementować jego ubiór. Albo musnąć jego ramię i roześmiać się serdecznie. Jeszcze lepsze efekty osiąga się dzięki bieliźnie, która to i owo podnosi i powiększa.

Potrącenie go na środku jezdni dwudziestokilowym domkiem dla lalek *nie jest* dobrym sposobem na przełamanie pierwszych lodów – chociaż chwila nieuwagi wystarczy, by złamać mu coś innego.

Usiłuję podciągnąć ciężący mi kask, by móc ponownie wyprostować

głowę. Spoglądam przed siebie i ledwie spostrzegam faceta, który stoi z gigantyczną rośliną doniczkową. Pędzę prosto na niego, toteż ze wszystkich sił zaciskam hamulce skutera. Na szczęście udaje mi się zwolnić na tyle, by żadne z nas nie doznało poważnych obrażeń – lecz i tak zlatuję z tej cholерnej vespy, paskudnie rozwalając sobie kolano. Moja nieszczęsna ofiara zostaje trafiona domem dla lalek i pada na asfalt, cały czas obejmując donicę z rośliną, jak gdyby chodziło o pierworodne dziecko.

– Oż ty wredny skurwysynie! – wyję z bólu i wściekłości, chwytając się za poharataną nogę i podskakując w miejscu. Usiłuję ściągnąć kask z głowy, niepomna, że wciąż trzyma się na zaciśniętym rzemyku. Wyglądam teraz jak uciekiniarka z wariatkowa, która toczy walkę z kaskiem ochronnym. I w tej walce przegrywa.

– To ty na mnie wpadłaś! – rozlega się spod fikusa okrzyk pokrzywdzonego, który błędnie zinterpretował przyczynę mojej furii.

– Nie mówię o tobie! Tylko o tym cholernym skuterze! – odpowiadam, częstując złośliwą maszynę potężnym kopniakiem. – Aj! Ja pierdołę! – krzyczę, bo metalowy korpus vespy jest o wiele twardszy aniżeli moja okryta pantoflem lewa stopa.

Biorę głęboki wdech, ściągam kask i po raz pierwszy należycie przyglądam się miejscu wypadku. Wygląda, jakby wyleciał tu w powietrze któryś z Primarków. Wszędzie wokoło leżą porozrzucane tanie bokserki. Gość, którego o mały włos nie zabiłam, podniósł się na nogi, wciąż jednak jest w szoku.

Nie lubię przeproszać, ale jeszcze mniej uśmiecha mi się perspektywa pozwu sądowego i utraty wszelkich oszczędności, toteż gdy ściągam skuter na bok jezdni i pomagam facetowi przesunąć jego idiotyczny fikus oraz rozdartą torbę z zakupami, zdobywam się na głęboką skruchę.

– Wszystko w porządku. Nic mi się nie stało! – zapewnia, wciąż opiekuńczo obejmując przed sobą przerośniętą roślinę, jak gdyby obawiał się, że w każdej chwili mogę go zaatakować. – Tobie nic nie jest?

– Nic. Tylko najadłam się wstydu. Bardzo, bardzo mi przykro. – Wręczam mu pęczek zawilgłych i ubrudzonych bokserek i przywołuję na twarz uśmiech, który aż ocieka niewypowiedzianą prośbą o wybaczenie.

Facet wreszcie odstawia donicę, doszedłszy widocznie do wniosku, że nie rzucę się na niego niczym wściekły pies. Kiedy się prostuje, jego oczy błyskają, jak gdyby mnie rozpoznał.

– Hej! Czy nie byłaś przypadkiem na tym durnym spotkaniu szybkich randek w Cheetah Lounge w zeszłym miesiącu?

No to fantastycznie! Upokorzenie za upokorzeniem. Nie dość, że delikwent – który, pomimo obsesji na punkcie flory doniczkowej, zaczyna mi się wydawać naprawdę całkiem przystojny – uważa mnie za wariatkę na wściekłym skuterze, to do tego wie, że jestem wariatką obrzydliwie samotną.

– Owszem – przyznaję. – Też sobie ciebie przypominam. Jesteś Glen Karczoch, prawda?

– Ee... To akurat było z mojej strony kłamstewko. – Wyciąga do mnie dłoń. – W rzeczywistości nazywam się Jamie Newman.

Posyłam wciąż przepraszający uśmiech i podaję mu rękę.

– Laura McIntyre. Już wtedy zastanawiałam się, czy to nie jest zmyślane nazwisko.

– Fakt. Powiedzmy, że to takie zabezpieczenie przed ewentualnymi psychopatkami, które mogły się tam pojawić.

Bardzo ładny uśmiech, panie Newman. Moje gratulacje.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać, prawda? – zauważam, przypominając sobie zakończenie owego koszmarnego wieczoru.

– Nie. – Jamie ma minę, jakby był czemuś winny. – Prawdopodobnie to przeze mnie. Poszedłem zapalić do kibelka i uruchomiłem spryskiwacze przeciwpożarowe. – Poczucie winy wnet przeradza się jednak w dumę. – To był zresztą mój ostatni papieros. Odniosłem wrażenie, że to odpowiednia okazja, by rzucić.

Jamie Newman i ja gawędzimy sobie na poboczu przez dobrych dziesięć minut, aż muszę stłumić potrzebę ziewnięcia. Choć świetnie mi się gada z tym najwyraźniej inteligentnym i czarującym mężczyzną, jestem skrajnie wyczerpana. Poza tym czuję, jak strużka krwi z rozciętego kolana ścieka mi po nodze, więc muszę jak najprędzej wracać do domu i polać ją sobie płynem dezynfekującym.

Nie chcąc pozwolić, by rybka zerwała się z haczyka, decyduję się zaryzykować.

– Słuchaj, muszę wrócić do domu, zanim tu padnę na ulicy, ale może mogłabym ci kiedyś postawić drinka? – pytam. – No wiesz, w ramach przeprosin za to, że prawie zabiłam cię domkiem dla lalek.

Uśmiech, który mi posyła, przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

– Byłoby mi bardzo miło.

Podaję mu swój numer, on zapisuje go w swej komórce. Obiecuje, że w najbliższych dniach się odezwie.

– Dasz radę wrócić do domu na tym czymś? – pyta, wskazując na skuter, który ma teraz na jednym boku piękną nową szramę, pasującą do kolekcji zgromadzonej przez Charlie na przestrzeni wielu lat.

– Pewnie. Nic mi nie będzie! – odpowiadam z niemałą dozą brawury i wskakuję z powrotem na piekielną maszynę. Żywię nadzieję, że zdołam stąd odjechać, nie wpadając przy tym na najbliższą latarnię.

Z powrotem zamocowuję kask tak ściśle, jak się tylko da, przekręcam kluczyk w stacyjce i oglądam się na Jamiego, który znowu dzierży donicę z fikusem. Tym razem jednak nie wygląda, jakby chciał nią we mnie rzucić. Macham do niego, on z niepewnością odwzajemnia pozdrowienie – po czym modłę się w myślach do wszelkich bóstw na tym świecie, by skuter zachował się jak należy, przekręcam manetkę i odjeżdżam.

Prawie nie zwracam uwagi na odgłosy klaksonów i piski opon, towarzyszące mojej niepewnej jeździe.

Mam szczęście, że na ulicach nie ma zbyt wielu policjantów. Pierwszy lepszy gliniarz wyczerpałby zapewne wkład w długopisie, wypełniając druczki mandatowe potrzebne do opisanie wszystkich popełnionych przeze mnie wykroczeń.

Dzięki pozytywnemu nastawieniu vespa dowozi mnie bez problemów pod sam dom.

Sama więc widzisz, Mamusiu. Myślałam, że aby znaleźć mężczyznę, trzeba się ubierać jak luksusowa prostytutka i chodzić do klubów – tymczasem wystarczą ciuchy po całym dniu pracy, poobijany skuter i kolizja z ucieczką z miejsca wypadku.

Inna sprawa, czy Jamie Newman w ogóle do mnie zadzwoni. Miejmy nadzieję, że przymknie oko na moją próbę zabójstwa tudzież jaskrawoczerwony kask, podobnie jak ja bez wątpienia zdołam przymknąć oko na jego głupi fikus oraz zamięłowanie do tanich gatek.

Kocham Cię i tęsknię, Mamo.

Twoja zmęczona, ale szczęśliwa córka Laura

BLOG JAMIEGO

WTOREK, DWUDZIESTY CZWARTY MAJA

Dzisiaj Jamie Newman jest w zadziwiająco dobrym nastroju, dawno bowiem tak wspaniale nie spędził wieczoru.

Pierwsze randki zawsze były dla mnie czymś w rodzaju katorgi – nawet te, które później prowadziły do związków – lecz dwie godziny spędzone ostatniej nocy w towarzystwie uroczej Laury McIntyre w pubie The Barley Corn okazały się o wiele przyjemniejsze, niż się tego spodziewałem. Jeśli zestawić listę cech idealnej pierwszej randki, to minionej nocy zaznaczyłbym większość wymienionych na tej liście pozycji. No dobrze, co prawda Laura nie jest multimilionerką ani nie ma siostry bliźniaczki, z którą łączyłyby ją nadzwyczajnie liberalne relacje, ale na odhaczenie tych akurat punktów straciłem nadzieję już parę lat temu.

Randka zaczęła się, jak to zawsze, od TELEFONU. Używam wielkich liter dla dodatkowej emfazy, chcę bowiem podkreślić, jak ogromnie ważny jest TELEFON. Gdy jest się w związku, wiele razy dzwoni się do dziewczyny, ale tylko w jednym przypadku jest to TELEFON – i zawsze jest to pierwszy, jaki wykonujesz. Telefon, od którego zależy reszta twojego życia.

Tych parę krótkich chwil, które spędzasz na rozmowie przez niewielki elektroniczny aparacik, może tak bardzo wpłynąć na twoją przyszłość, że aż trudno to właściwie ubrać w słowa. Brodaci mędrcy mogą do upadłego marudzić na temat teorii chaosu i „efektu motyla”, ale wszystkie ich wynurzenia błędą przy iście sejsmicznych wstrząsach, jakich doświadcza Wszechświat w rezultacie TELEFONU. Koniec końców, jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, możecie przecież zмайstrować dziecko. Inna sprawa, że gdy wyrośnie, może zostać nowym Hitlerem – albo, co gorsza, Justinem Bieberem.

Najważniejszym punktem TELEFONU jest wstępne ustalenie, czy młoda dama, do której dzwoniemy, wciąż jest zainteresowana spotkaniem. W momencie wybierania numeru nie jest to w żadnym razie pewne. Sam fakt, że pod wpływem alkoholu nagryzmoliła ci swój telefon na podkładce pod piwo, nie oznacza, że będzie chciała mieć cokolwiek wspólnego z tobą trzy dni później, gdy trzeźwa będzie oglądać w telewizji *EastEndersów*. Na tej samej zasadzie sam fakt, że kobietę dręczy poczucie winy, bo na środku

ulicy o mały włos nie zamordowała cię skuterem, więc daje ci swój numer, nie musi automatycznie oznaczać, że jej się podobasz.

A jeżeli nawet okaże się, że istotnie jest tobą zainteresowana, wciąż pozostaje drażliwy problem przeprowadzenia telefonicznej pogawędki z kimś zupełnie nieznanym w taki sposób, by nie powiedzieć niczego głupiego, obraźliwego lub – co grzechem jest najcięższym – *nudnego*. Nie wystarczy po prostu spytać panią, czy nadal chciałyby się z nami umówić, nie wystarczy ustalić miejsca i pory, a następnie się pożegnać. Byłoby to posunięcie zdecydowanie nazbyt proste i bezpośrednie. W odróżnieniu od rozmów telefonicznych z mężczyznami, gdy dzwonisz do kobiety, ta oczekuje, że będziesz miał istotnie coś do powiedzenia, czym udowodnisz, że jesteś wart jej czasu i wysiłku. Koniec końców, jak powszechnie wiadomo, wyszykowanie się na randkę zajmuje kobietom całe wieki.

Większość rozmów mężczyzny z mężczyzną odbywa się mniej więcej podług poniższego schematu:

Dryń, dryń.

- Co tam, dupeuszu?
- Nic, stary lachociągu.
- Browarek wieczorem?
- Wporzo, jak tylko zejdem z twojej starej.

Klik. Kurtyna.

Takie oto lapidarne wymiany zdań świetnie się sprawdzają między osobnikami z członkiem między nogami, kobiety jednak to stworzenia zgoła odmienne. Zakończyć z taką rozmową telefoniczną w mniej niż dziesięć minut zakrawa na cud. Szczególnie gdy rozmawia się z kobietą, która ci się podoba i pragniesz jej zaimponować.

Jeszcze przed TELEFONEM musisz przygotować sobie temat konwersacji. Nie może być to coś, czego omówienie zajmie wam godziny (nie opowiadaj jej więc o swoich nadziejach i marzeniach na przyszłość ani o tym, co sądzisz o zmianach klimatu), lecz coś, czym zaciekawisz ją na wspomniane już dziesięć minut, sprawiając przy tym wrażenie przyzwoitego, czarującego jegomościa. Jeśli uda się uniknąć tematów dotyczących seksu (zwłaszcza analnego), samochodów, swojej higieny osobistej oraz własnej matki, wszystko powinno się potoczyć pomyślnie.

W przypadku Laury postanawiam spytać, czy dziecku jej przyjaciółki

spodobał się domek dla lalek, którym znokautowała mnie na środku jezdni. Obierając tę strategię, udowadniam, że uważnie jej słuchałem, gdy tłumaczyła, dlaczego nieomal zabiła mnie tym cholerstwem, a zarazem wykazując zainteresowanie czymś ewidentnie dla Laury istotnym, to jest jej chrześnicą.

W rzeczywistości byłoby mi całkowicie obojętne, gdyby smarkuła rzuciła okiem na domek i zrzygała się w jego komin. Jednak musisz wygadywać tego typu brednie, jeśli chcesz umówić się na randkę.

Co też z radością, mogę powiedzieć, uczyniłem!

TELEFON przebiegł pomyślnie i przez dobrych dziesięć minut prowadziliśmy przyjazną pogawędkę.

Okazało się, że dziewczynce istotnie spodobał się domek, i to pomimo wgniecenia z jednej strony, jakie powstało po zderzeniu z moim czołem. Kiedy Laura opisywała paskudne otarcie na kolanie, wydałem z siebie parę odpowiednio współczujących odgłosów. Dodałem, że sam wyszedłem ze spotkania z asfaltem bez szwanku, co przyjęła z ulgą. Zakładam, że kierowała nią autentyczna troska o mój stan zdrowia, nie zaś jedynie chęć uniknięcia pozwu sądowego.

Z mojej strony było to zresztą wierutne kłamstwo, ponieważ nazajutrz po wypadku obudziłem się z koszmarnym bólem pleców, ale w żadnym razie do tego bym się nie przyznał. Dolegliwości takie jak bóle pleców trapią wyłącznie tych mężczyzn, którzy nieodwołalnie pożegnali się z młodością. Nie chciałbym zaś, by Laura z miejsca mnie do takowych zaliczyła.

Z entuzjazmem wręcz przyjęła moją propozycję, byśmy się spotkali w położonym poza miastem pubie The Barley Corn. To najbardziej ryzykowny element TELEFONU. Miejsce, które wybierzesz, wiele mówi o twojej osobowości. Z kolei reakcja zapraszanego powie ci mnóstwo o niej samej. Nie ulega wątpliwości, że spokojny i staroświecki pub w rodzaju The Barley Corn okazałby się potężnym rozczarowaniem dla dziewczyny pokroju sekspotwora Isobel – jak również dla szwedzkiej bogini Anniki. Obydwie najpewniej uznałyby go za zbyt nudny i prozaiczny.

Z Laurą jednak postanowiłem zaryzykować. Zrobiła na mnie wrażenie wyluzowanej i pragmatycznej dziewczyny, która doceni spokojną atmosferę panującą w The Barley Corn, a swą entuzjastyczną reakcją na zaproszenie dowiodła, że miałem rację.

Ustaliwszy, że spotkamy się o siódmej trzydzieści, odłożyłem słuchawkę z

poczuciem ulgi, które niezwłocznie ustąpiło wątpliwościom: w co ja się, u diabła, ubiorę?

PAMIĘTNIK LAURY

24 V, WTOREK

Droga Mamo!

Jejku. Wygląda na to, że mój los właśnie się odmienia.

Nie twierdzę, by wczorajsza randka była koniecznym początkiem romansu na całe wieki, ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio na koniec randki czułam się tak szczęśliwa.

No dobrze, to nie do końca prawda. Najwyraźniej wciąż pamiętam, że jak na skrzydłach wracałam do domu z pierwszej randki z Mikiem, ale byłam wtedy o wiele młodsza i bardziej podatna na buzujące wciąż hormony, więc prawdopodobnie chodziło przede wszystkim o podniecenie.

Niestety, teraz zdecydowanie szybciej się zniechęcam, toteż w większości wypadków po pierwszej randce jestem rozczarowana bądź to właśnie poznanym facetem, bądź też samą sobą. Z Jamiem było jednak zdecydowanie inaczej. Wygląda, jakby miało obyć się bez rozczarowań. Przyznam wręcz, że w drodze do domu serce biło mi całkiem niespokojnie. Słyszałam już określenie, że ktoś z kimś „zaskoczył”. Zawsze wydawało mi się to jakąś ostatnią brednią, ale muszę powiedzieć, że teraz rozumiem, co ludzie mają na myśli. Jamie i ja zdajemy się pasować do siebie i bardzo mnie to cieszy.

Tfu. Obrzydliwość bierze. Jestem niezależną dwudziestoosmiolatką prowadzącą własny biznes, a mówię jak trzpiotowata nastolatka.

Jamie zadzwonił do mnie trzy dni po wypadku. Najwyraźniej czytał odpowiednie poradniki, jest to bowiem najwłaściwszy odstęp czasu, jaki facet powinien zachować: wystarczająco długi, by nie sprawić wrażenia zdesperowanego, a zarazem na tyle krótki, by wykazać zainteresowanie. Prawdę mówiąc, mógłby zadzwonić o lepszej porze, ponieważ akurat depilowałam sobie nogi woskiem – a jest to czynność, przy której lepiej się nie rozpraszać. Jeden fałszywy ruch plastrami i reszta wieczoru może upłynąć na łykaniu środków przeciwbólowych i okładaniu się workami z lodem.

Poza tym, gdy dzwoni facet, chcesz czuć się *choć trochę* atrakcyjna, nawet jeśli cię przecież nie widzi – ot, dla pewności siebie. Tymczasem ja, w

niebieskim pluszowym szlafroku, ogromnych majtkach na „te dni” oraz z nogami włochatymi jak u yeti, znajduję się obecnie na antypodach atrakcyjności. To ten rodzaj wizerunku, na który w obecności faceta pozwalasz sobie dopiero po przynajmniej czterech latach związku.

Prędkość, z jaką Jamie wyrzucał z siebie słowa, świadczyła o jego podenerwowaniu. Był na tyle uprzejmy, że spytał, czy Hayley spodobał się upominek, aczkolwiek z jakiegoś powodu nazwał ją Katy. Puściłam to mimo uszu, fakt bowiem, że w ogóle pamiętał, dla kogo był ten prezent, sam w sobie zrobił na mnie wrażenie. Najwyraźniej dobrą stroną całej tej absurdalnej sytuacji, w której wpadliśmy na siebie, było to, że przy okazji drugiego kontaktu mieliśmy temat do rozmowy.

Jamie spytał mnie o zadrapanie na nodze. Postanowiłam nie wdawać się w szczegóły i oszczędzić mu opisu moich łez i żalonych piętnastu minut spędzonych na wcieraniu w kolano środka dezynfekującego. On zachował się jak typowy facet i zupełnie nie przejął się tym, że szurnięta blondynka na vespie przygniotła go do asfaltu. Jestem pewna, że to musiało boleć, on jednak zbył temat i rozmowa toczyła się dalej.

Chciałam już wspomnieć, jak śmiesznie wyglądał z tym fikusem w objęciach, tak jakby obawiał się, że roślinka ucieknie od niego z innym chabaziem, ale w porę się rozmyśliłam. W takich chwilach męskie ego bardzo łatwo zranić, ja zaś nie chciałam go w żadnym razie spłoszyć. Szczerze mówiąc, ucieszyło mnie, że tak lekko podszedł do kwestii wypadku. W razie niepowodzenia randki istniało przecież ryzyko, że jednak postanowi mnie podać do sądu.

Należy przyznać, że pub The Barley Corn stanowił dość nieoczekiwaną propozycję. Na tyle przywykłam już do bycia zapraszaną do kawiarni czy pubów w centrum (gdzie mężczyzna ma multum możliwości zakończenia randki przed czasem, jeżeli mu się nie spodoba), że perspektywa spokojnego napitku w jednym z bardziej malowniczych lokali na obrzeżach miasta wydała mi się niezwykle przyjemną odmianą.

Zarazem oznaczało to, że jeśli Jamie okaże się dalekim krewnym Kuby Rozpruwacza, łatwo mu przyjdzie pozbyć się moich zwłok. Uznałam jednak, że warto zaryzykować.

Pierwsze wrażenie było korzystne. Nic nie wzbudziło we mnie niepokoju. Powiem Charlie, by zadzwoniła do mnie w pół do jedenastej, a jeśli nie będę odbierać, niech zawiadomi policję. Kiedy ustaliliśmy szczegóły randki, Jamie pożegnał się takim tonem, jakby był rad, że rozmowa dobiega końca.

Uznałam to za oznakę zdenerwowania, nie zaś niewczesnego zwątpienia, i rozłączyłam się z nieśmiałym uśmiechem na twarzy.

Teraz pozostał tylko problem wybrania kreacji, która skutecznie zamaskowałaby brzydką pięciocentymetrową szramę na moim prawym kolanie...

BLOG JAMIEGO

WTOREK, DWUDZIESTY CZWARTY MAJA
CIĄG DALSZY...

Nastrój lokalu, który wybrałem na naszą randkę, rujnuje nieco fakt, że ktoś pozostawił na szyldzie pubu graffiti, zmieniając jego nazwę na The Barley Porn. Brzmi teraz jak tytuł pornosa dziejącego się w Kornwalii. I to pornosa kiepskiej jakości. Zapewne z udziałem owiec. Ale przecież jest miły wiosenny wieczór, ja wbiłem się w swoje najlepsze ciuchy, a teraz mam do uwiedzenia pewną młodą pannę, toteż nie zamierzam się nadmiernie zamartwiać.

Wziąłem kilka mocnych środków przeciwbólowych, aby zamaskować cierpienie spowodowane upadkiem na jezdnię w zeszłym tygodniu. W żadnym razie nie chcę poruszać się jak kulawy robot, unikając cały czas obciążania pleców, dlatego też cieszę się, że przynajmniej chwilowo prochy zadziałały.

Dochodzę do wniosku, że przydałoby się na początek strzelić coś dla kurazu, więc specjalnie zjawiam się w pubie o siódmej, to jest pół godziny przed czasem, by jeszcze przed przybyciem Laury wychylić jedno szybkie piwo.

Tak naprawdę mogłem się nie spieszyć i wypić je na spokojnie, bo zapomniałem przecież o randkowej zasadzie numer jeden: kobieta zawsze przychodzi spóźniona. Jeśli miałbym wskazać coś, czego nie znoszę we wczesnych stadiach związku, to wymieniałbym te gierki, które jesteśmy zmuszeni podejmować dla oszacowania „przeciwnika”. Kobieta, zjawiając się po czasie, wystawia na próbę *twoją* cierpliwość i wyrabia sobie zdanie na temat twojego zainteresowania – innymi słowy, czy jesteś gotów na nią poczekać. Ja jestem odpowiednio zainteresowany Laurą, by spędzić przy barze niemal godzinę, nim w końcu wchodzi do pubu, ubrana w niebieskie jeansy i białą bluzkę na ramiączkach na tyle obcisłą, że eksponuje jej cycki w stopniu wystarczającym, bym chwilowo zapomniał o bólu pleców. Ewidentnie poświęciła mnóstwo czasu swej fryzurze i makijażowi, prezentuje się bowiem naprawdę ładnie.

Poprawka, wygląda *przepięknie*.

Ogólne wrażenie tylko w niewielkim stopniu mąci fakt, że Laura zdaje

się utykać.

To trochę tak, jak gdyby przyglądać się zarysowanemu ferrari. Nie zapominajcie, że sam ze wszystkich sił staram się ukryć fakt, iż nie mogę poruszać głową niezależnie od ramion, a to z powodu ostrego, kłującego bólu, który odczuwam przy każdej podobnej próbie, więc jakie niby mam prawo jeszcze kogoś krytykować?

– Cześć, Laura! – mówię radośnie, gdy podchodzi.

W tym właśnie momencie mój mózg postanawia wszystko spieprzyć. Przez cały dzień zachowywał się jak należy, teraz jednak podsuwa mi sugestię, która może okazać się kijem wetkniętym w szprychy.

Może dasz jej buziaka w policzek? – podpowiada, nie zważając zupełnie na moje samopoczucie.

Nie mogę tego zrobić! – argumentuję. – *To by było o wiele zbyt bezpośrednie jak na pierwszą randkę.*

Nie bądź cienias! – odpowiada mózg.

Laura jest coraz bliżej, a ja ciskam się w męczarniach niezdecydowania. Spróbować cmoknąć ją w policzek? Czy jej się to spodoba? Czy może ją tym zrażę? Co na ten temat mówi randkowy savoir-vivre? Dlaczego, u diabła, zgodziłem się to zrobić? Czy jeśli w tym pornosie istotnie byłyby owce, toby im się to podobało?

Ja chcę do domu!

Ostatecznie wygrywam pyskówkę z moim zdradzieckim umysłem i ograniczam się do szybkiego uścisku dłoni.

– Czego się napijesz? – pytam.

Tylko nie duże ciemne. Tylko nie duże ciemne. Tylko nie duże ciemne.

– Poproszę mały kieliszek wina. Jeśli mają, to pinot grigio.

Uff.

Składałem zamówienie u barmana, który zauważył w moim głosie nerwowość typową dla pierwszej randki i ledwie powstrzymuje uśmiešek. Jestem pewien, że widział takie scenki już z tysiąc razy.

Zamówiłem coś do picia, pora zatem pogawędzić. Tej części wprost nie znoszę. Nie znoszę tematów, do jakich trzeba się ograniczyć, kiedy rozmawia człowiek z kimś, kogo zbyt dobrze nie zna. Zdecydowanie wolałbym pogadać o tym, jak wspaniałe moim zdaniem są filmy o zombie, ale nie mam pojęcia, czy Laura by się ze mną zgodziła, czy też uznałaby

mnie za ostatniego palanta. Lepiej więc jest się pilnować i ograniczyć do tematów bezpiecznych.

Do wyboru mamy następujące opcje: pogoda, bieżące wydarzenia, sport, więcej uwag o pogodzie, co było wczoraj wieczorem w telewizji, być może jeszcze jakaś wzmianka o pogodzie. Wszystko to nudne, wymuszone i z pewnością sprawi, że wyjdę na kretyna, który nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Postanawiam nie zważać na ryzyko i decyduję się rzucić metauwagę.

– Zdaje się, że to jest ten moment, kiedy powinniśmy o czymś pogawędzić – zauważam z uśmiechem. To duże ryzyko, a ewentualny sukces lub klęska zależą od poczucia humoru Laury i jej inteligencji. Może ją to rozbawić, może uznać mnie za idiotę albo też zupełnie nie chwyci, o co mi chodzi.

Ryzyko się opłaca! Laura łapie dowcip i wybucha śmiechem.

Barman, ten od uśmieszku, wraca z zamówionymi napojami i przyjmuje ode mnie pieniądze. Podnoszę kieliszek z winem dla Laury i obracam się, by jej go podać, zapominając na krótką chwilę o kłopotach z plecami. Łopatki wygina mi ostry spazm piorunującego bólu. Jak gdybym oberwał falą uderzeniową po ataku Hulka.

Nie pozwól, by to zauważyła! Zachowuj się jak mężczyzna!

Mam ochotę wydać z siebie żałosny okrzyk bólu i złapać się za ramię, ale postanawiam nie uzewnętrzniać odczuwanej agonii. Chyba udało mi się ukryć cierpienie przed Laurą.

Z wielką ostrożnością podnoszę swoje piwo i proponuję, byśmy przeszli do cichego stolika w narożniku, gdzie krzesła mają miłe, wysokie oparcia, dzięki którym moje plecy odpoczną.

Jak już wcześniej wspominałem, następne dwie godziny upływają fantastycznie... no, może poza faktem, że przez cały czas jestem zmuszony siedzieć prosto jak tyczka. Co więcej, Laura parę razy musi wyskoczyć do toalety, co może trochę dziwić, wypła bowiem zaledwie kieliszek wina i jedną dietetyczną colę.

Jestem w stanie stwierdzić, kiedy będzie chciała pójść na stronę, bo lewa noga zaczyna jej wówczas lekko podskakiwać, brwi zaś marszczą się w grymasie dyskomfortu. Nie dopuszczę jednak, by coś tak nieistotnego jak słaby pęcherz (choć może to być również uzależnienie od kokainy) powstrzymało mnie przed polubieniem tej dziewczyny.

Jest już po jedenastej, kiedy z niechęcią przyznaję, że będę musiał się zbierać, ponieważ nazajutrz wstaję o szóstej trzydzieści. Ochocho na to przystaje. Najwyraźniej kiedy prowadzi się własny sklepik, każdego dnia trzeba się zrywać o świcie. Któż by się domyślał, że sprzedawanie nadziewanych czekoladek nadzianym klientom to taka stresująca robota?

Tępy ból, który załęgł mi się w barkach, dał o sobie znać, gdy tylko wstałem. Nie udało mi się powstrzymać chwilowego grymasu cierpienia. Na szczęście Laura akurat wkładała płaszcz, toteż nie zwróciła na to uwagi. Kiedy odprowadzałem ją do samochodu, mózg ponownie zaproponował mi, bym ją pocałował, teraz w ramach pożegnania.

No, dalej. Zrób to. To tylko szybki buziak w policzek, ty pieprzony tchórze.

Tym razem nie zamierzałem się sprzeczać. Dziewczyna mi się podobała i uznałem, że warto zaryzykować. Doszliśmy do jej jasnoczerwonego nissana micry. Po karoserii od strony kierowcy ciągnęła się paskudna rysa.

– Nie wygląda to dobrze – zauważyłem, wskazując na szramę.

– Fakt. Musiałam kupić jakiś tani wóz. Poprzedni był już zbyt rozklekotany, by go naprawiać. Ten to najlepsza opcja, na jaką było mnie stać. – Przejechała ręką po rysie. – Nazywam go Rysiek.

Tym inteligentnym żarciem sprawiła, że polubiłem ją jeszcze bardziej. Apetyczne ciało i ładna buzia to jedno, ale jeśli dodać jeszcze wyostrzone poczucie humoru, to czuję się jak w niebie.

Czas na PYTANIE. To trochę tak jak z TELEFONEM. Jego znaczenia w ogólnym rozrachunku nie sposób przecenić. Jedno nieodmiennie prowadzi do drugiego. Mnóstwo mężczyzn zawala PYTANIE, wybiegając nazbyt naprzód. Na przykład *chcesz się bzykać?* nie jest pytaniem, które należałoby zadać w ramach zwieńczenia pierwszej randki. Podobnie jak *chciałabyś poznać moją mamę?* Obydwa są równie niestosowne, acz z diametralnie różnych powodów. Na całe szczęście aż takim kretynem nie jestem.

– Laura, dobrze się dzisiaj bawiłem. Chciałabyś się kiedyś jeszcze spotkać?

– Oczywiście, mnie również było bardzo przyjemnie. Chętnie to powtórzę.

Hurra! A teraz cmoknij ją, idioto!

Tak też czynię. I o ile blog ten pełen jest żenujących wpadek, towarzyskich faux pas tudzież idiotycznych chwil w życiu Jamiego Newmana, o tyle to nie jest jedna z nich. Nie trykam przypadkiem Laury

głową ani też nie bekam jej niespodziewanie w twarz. Nachyliłam się po prostu do przodu, delikatnie całuję ją w policzek i ponownie się prostuję. Posyła mi uśmiech, od którego serce zaczyna bić mi szybciej, w jej oczach dostrzegam zaś isierki.

– Do zobaczenia wkrótce – mówi i wsiada do porysowanego wehikułu. Patrzę, jak odjeżdża, po czym wracam do mojego forda, frunąc jakieś sto metrów nad ziemią.

To było wczoraj, a ja wciąż odczuwam ekscytację. Nocą miałem problem z zaśnięciem. I nie z powodu samotności, podniecenia oraz potrzeby strzepania wacka po trzygodzinnej randce z nader atrakcyjną kobietą, lecz dlatego, że nie mogłem przestać myśleć o tym, jak wyglądała Laura, jak pachniała i jak stymulującą odbyliśmy rozmowę. Ekscytowała mnie myśl o naszej kolejnej randce i nie mogłem się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę. Rzecz jasna, i tak sobie strzepałem. Koniec końców była *bardzo* seksowna.

Z mojego punktu widzenia wszystkie te durne gierki i podchody, które wiążą się z pierwszymi paroma randkami, mogłyby przepaść w diabły – toteż *tego ranka* zadzwoniłem do Laury, aby ponownie się z nią umówić. Na całe szczęście odpowiedziała „tak”. W ten weekend czeka nas druga randka!

Czuję, że owe wstrząsy sejsmiczne, których Wszechświat doznaje w rezultacie TELEFONU, właśnie dają o sobie znać.

PAMIĘTNIK LAURY

24 V, WTOREK

CIĄG DALSZY...

– Postaraj się spóźnić, złotko – poradził mi Tim, gdy tego ranka wpadł do sklepu na kawę. – Odpowiedni facet z wielką chęcią na ciebie zaczeka.

Nigdy nie jestem pewna tych gierek związanych z randkami, ale Tim ma na koncie o wiele więcej związków niż ja, toteż tym razem zdecydowałam się zastosować do jego rady i w The Barley Corn pojawiłam się parę minut przed ósmą. I tak byłabym lekko spóźniona, zważywszy, ile czasu muszę poświęcić tej durnej ranie na nodze, która wciąż nie zdążyła się zagoić. Szrama wymaga osłonięcia opatrunkiem, co normalnie nie stanowiłoby problemu, tyle że akurat dzisiaj postanowiłam włożyć moje najlepsze jeansy i za każdym razem, gdy usiłowałam je wciągnąć, to cholerne plastrzysko, którym zakleiłam ranę, boleśnie się odrywało. Żeby utrzymać opatrunek w jednym miejscu, byłam zmuszona ciasno owinać nogę bandażem, zarazem ograniczając sobie zdolność zginania kolana. W rezultacie wyraźnie utykałam, toteż Jamiego czekał uroczy wieczór z udatną naśladowczynią Długiego Johna Silvera.

Wtarabianiam się do pubu i dostrzegam Jamiego przy barze. Nie jestem znawczynią mowy ciała, ale po tym, jak sztywno stoi przy kontuarze, od razu widać, że sam czuje się równie spięty jak ja. Pierwsze randki nie są dla słabych duchem.

– Cześć, Laura! – mówi, kiedy podchodzę, zwalczając w sobie chęć, by zakrzyknąć *Ahoj, Jimmie!* i wręczyć mu asa pik. Kuśtykam w jego stronę, gdy wtem następuje bardzo dziwna chwila i Jamie zastyga w bezruchu z nieobecny wyrazem twarzy. Zupełnie jakby ktoś odciął mu zasilanie. Oczy błyskają mu przez moment, po czym mruga kilka razy, odzyskuje przytomność i wyciąga rękę na powitanie.

– Cześć, Jamie – mówię i ściskam mu dłoń. Jest ciepła, gładka i bardzo przyjemna w dotyku. Jamie pyta, czego się napiję. Na tyle panuję nad własnymi nerwami, że trzeba mi tylko małego kieliszka białego wina. Uznaję, że jeśli zamówi sobie cokolwiek różowego lub z parasolką, znaczyć to będzie, że najprawdopodobniej umówiłam się z frajerem.

– Poprosimy mały kieliszek pinot grigio i dużego fostera – zwraca się do

barmana, który rzecz jasna potrafi z kilometra rozpoznać parę ludzi na pierwszej randce. Pora, by w oczekiwaniu na coś do picia pobawić się w konwersację...

Nie cierpię tego. Bo o czym niby mam rozmawiać z kimś zupełnie nieznanym, na kim chciałabym wyrzeć pozytywne wrażenie? Na szczęście Jamie ratuje mnie z opresji, rzucając dość inteligentną uwagę, że oto nadszedł czas, gdy powinniśmy uciąć sobie pogawędkę. Zupełnie jakby czytał w moich myślach.

– Możemy to sobie odpuścić? – proponuję w odpowiedzi. – Prognoza pogody mnie nie obchodzi i nie wiem, co wczoraj było w telewizji.

Wybuchą śmiechem i lody tej randki zostają w prosty sposób przełamane bez zbędnych obrażeń czy potrzeby wypełniania formularzy BHP. Jamie podaje mi kieliszek wina. Gdy to robi, z jakiegoś powodu z głębi jego gardła rozlega się krótki, wysoki pisk, a jego twarz na moment wykrzywia się, jakby właśnie polizał baterię. To już drugi taki dziwny przerywnik tego wieczoru. Mam nadzieję, że nie są to oznaki jakiejś ułomności umysłowej. Niemniej jednak jego zalety przeważają nad wadami, toteż zapominam o sprawie i przechodzimy do stolika pod oknem.

Odtąd nasza rozmowa toczy się bardzo przyjemnie. Jamie jest czarujący i potrafi w ciekawy sposób opowiadać. Nie jest wielkim zaskoczeniem, że okazuje się pisarzem. Jeszcze nigdy nie spotykałam się z nikim twórczym – o ile nie liczyć Mitchella Niuchacza, który potrafił zagrać trzy akordyna skradzionej z lombardu gitarze elektrycznej. Mike kreatywnością dorównywał workowi cementu, zaś pozostali nie byli lepsi. Bardzo ciekawie siedzi się przy stoliku z facetem, który z podnieceniem opowiada o tym, co najwyraźniej uwielbia robić. Dla mnie także jest to świetny temat do rozmowy, bo również uwielbiam skrobać długopisem po papierze... czego dowodem jest ten pamiętnik.

Rozluźniam się i czuję na tej randce coraz lepiej, odnoszę jednak wrażenie, że Jamie wciąż jest podenerwowany, przez cały czas bowiem siedzi zupełnie prosto i wykonuje tylko drobne i kontrolowane ruchy. Sądzę, że to naprawdę urocze, a przy tym dowodzi, że nie mam do czynienia z nazbyt pewnym siebie idiotą.

Jedyne złe chwile następują, gdy zaczyna mi krwawić rana na nodze. Oto siedzę sobie i beztrosko rozmawiam o tym, jak kiepski jest program *Ugotowani*, aż wtem z niepokojem czuję, że po łydce spływa mi strużka krwi, zmierzając wprost ku szpilkom za pięćdziesiąt funtów, które mam dopiero

od miesiąca. Trzy razy jestem zmuszona wyrwać się do łazienki i poprawić opatrunek, nim wreszcie udaje mi się zażegnać niebezpieczeństwo zakrwawienia butów.

Mimo to sytuacja nawet nie umywa się do perypetii z hemoroidami sprzed kilku tygodni, a do tego nie wydaje się, by Jamie w ogóle coś zauważył. Wieczór upływa, ja zaś, niestety, zdaję sobie sprawę, że nazajutrz z powodu remanentu w sklepie muszę wstać o szóstej rano, tak więc po części jestem zadowolona, kiedy Jamie oświadcza, że musi się zbierać, bo również czeka go wczesna pobudka. Natomiast wzbiera we mnie nienawiść do piekielnego kieratu tygodnia roboczego, z wielką chęcią zostałabym bowiem z tym przystojnym i dowcipnym facetem dłużej, miast zawijać się czym prędzej do domu, by móc zarobić na czynsz.

Wychodzimy razem i nie kuśtykając nawet za bardzo, udaję się w miejsce, gdzie zaparkowałam Rysia. Po nieco zawstydzającej rozmowie o tym, skąd ów czerwony potworek pojawił się w moim życiu, Jamie pyta, czy chciałabym się ponownie z nim spotkać, i po raz pierwszy od naprawdę dłuższego czasu mogę bez wahania odpowiedzieć „tak”.

Serce zaczyna mi szybciej bić, gdy Jamie nachyla się i subtelnie całuje mnie w policzek. Czuję przy tym, jak po plecach przelatuje mi przyjemny dreszczyk. Pożegnawszy się, odjeżdżam spod The Barley Corn z przyklepionym do ust najdurniejszym uśmiechem w dziejach.

A więc widzisz, Mamo, tak oto oficjalnie poznałam Jamiego Newmana. Zdążyliśmy się już umówić na drugą randkę. Obiecał, że coś mi ugotuje!

Tylko czekam, aż za chwilę powali mnie jakieś potwornie oszpecające choróbsko.

Albo Jamie okaże się seryjnym mordercą. Lub – co gorsza – *człowiekiem żonatym*.

Kocham Cię i tęsknię, Mamo.

Twoja zaskoczona córka Laura

BLOG JAMIEGO

SOBOTA, CZWARTY CZERWCA

Mogłem się tego spodziewać. Mogłem się tego, *ciężka cholera*, spodziewać.

Kiedy tylko wygląda na to, że sprawy toczą się jak należy, na scenie pojawia się Kapitan Wtopa, aby wszystko spieprzyć.

Tak naprawdę to moja wina. Bo co innego mogło wyniknąć z tak optymistycznego początku nowej znajomości z kobietą?

W wielkim, galaktycznym planie istnienia nie jest mi po prostu pisane być kimkolwiek innym niż odrażająco samotnym singlem. Sensem istnienia Jamiego Newmana jest bycie mistrzem masturbacji i ekspertem od gier wideo. Wszystkie te historie o udanych związkach przeznaczone są dla innych mężczyzn, którzy w którymś momencie życia nie dopuścili się poważnej obrazy bóstw wszelakich. Nie wiem, co takiego uczyniłem ja, ale musiał być to występki potężnych rozmiarów, skoro los postanowił zadać mi tak dotkliwy cios – i przekreślić w moim żalonym życiu kolejną szansę na udany związek.

Wszystko zaczęło się pomyślnie. W teorii dotyczącej drugich randek wyglądało to na świetny pomysł. Zamiast konwencjonalnego wyjścia do kina bądź też powtórki z pubu pomyślałem, że zaproszę Laurę do domu na żarełko. Jestem w pełni świadom, że do takich działań przechodzi się zazwyczaj na etapie trzeciej czy wręcz czwartej randki, ale dziewczyna naprawdę bardzo mi się podobała i pragnąłem wywrzeć na niej dobre wrażenie. Jeśli nie jest się wystarczająco ostrożnym, bardzo łatwo w kontekście randek popaść w banał, uznałem więc, że pewna modyfikacja konwencji będzie najlepszym sposobem, by utrzymać zainteresowanie Laury.

A jak lepiej udowodnić, że jestem właściwym dla niej facetem, jeśli nie poprzez podanie pysznych fajitas z butelką drogiego czerwonego wina? Nie zamierzałem tego wieczoru bawić się w obleśnego uwodziciela, a po prostu chciałem, by było to coś trochę odmiennego, chciałem zdobyć się na większy wysiłek niż zakup następnej kolejki w pubie. Naprawdę zakładałem, że ja będę siedzieć na jednym końcu kanapy, ona na drugim i że zachowamy między sobą stosowny do drugiej randki dystans.

Popytałem po ludziach i nabrałem przekonania, że fajitas to potrawa

nader popularna u par na początkowym etapie zalotów. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest. Zapewne niejeden brodaty mędrzec, który ma za dużo czasu, powiedziałby, że ma to związek z seksem – tyle że oni są w stanie wyrokować absolutnie o wszystkim, jeśli tylko dzięki temu zainteresują swoimi brodami jakieś dziewczęta i zwiększą szansę na to, by je zaliczyć.

Tak czy owak, Laurze pomysł z fajitas najwyraźniej się spodobał.

– Tylko proszę, niech nie będą za ostre – zastrzega, ja zaś ochoczo się do tego dostosuję. Nie zamierzam tego wieczoru próbować żadnych horyzontalnych manewrów, poza tym miło byłoby zakończyć spotkanie pocałunkiem, więc wolałbym, by nie zionęło mi z paszczy jak naszej dawnej znajomej Isobel.

Odkąd jako nastolatek beknąłem dziewczynie prosto w twarz, przeraża mnie perspektywa jakichkolwiek pokarmowych kataklizmów na randkach. Obiecuję Laurze, że ograniczę przyprawy do minimum.

Dzięki szybkim zakupom w Tesco zdobyłem wszystkie niezbędne ingrediencje. Tak bardzo pragnąłem zrobić dobre wrażenie, że nie sięgnąłem nawet po tanie produkty marki własnej. Szczególną satysfakcję sprawił mi korzystny zakup horrendalnie drogiego mięsa z karmionych kukurydzą kurczaków z wolnego wybiegu, które ze względu na kończącą się datę ważności umieszczono w strefie pięćdziesięcioprocentowych obniżek. Zapamiętajcie ten fakt, gra on bowiem istotną rolę w przyszłym niekorzystnym rozwoju wypadków.

Objuczony różnymi wiktuałami, w tym papryką, salsą, kurczakiem i cebulą (jeśli nigdy sami nie próbowaliście, to dorzucicie do tego mieszankę przypraw i macie przepis na fajitas), wróciłem radośnie do domu, aby przystąpić do wyczynów kulinarnych.

Jak zwykle, gdy robię coś, w czym nie czuję się zbyt pewnie, przedobrzam. Zamiast po prostu przygotować te fajitas, postanawiam też przyrządzić nachos, ziemniaki w mundurkach z serem oraz sałatkę, na deser zostawiając ogromny czekoladowy tort. Pamiętacie tę afrykańską wioskę, którą mógłbym odziać dzięki moim zakupom w Primarku? Otóż tego wieczoru przygotowałem tyle jedzenia, że wystarczyłoby, by tych biedaków przez tydzień żywić.

Trochę się obawiałem, że sporządzenie wszystkich potraw okaże się czasochłonne i skomplikowane, tymczasem okazuje się, że wystarczy wrzucić wszystkie składniki fajitas na patelnię, zamknąć ziemniaki w piekarniku, nachos zaś potraktować mikrofalówką. Kaszka z mleczkiem.

O siódmej trzydzieści wszystko jest już ugotowane i zostawiam potrawy, by odstały, sam zaś idę na górę się przebrać. Tego popołudnia stawilem czoła dzikim tłumom w mieście, aby znaleźć jakieś nowe ciuchy na tę szczególną okazję, co dowodzi przynajmniej, że zależy mi na odpowiednim wrażeniu. Nie poszedłem nawet do Primarku. Uznałem, że Laura warta jest większego zaangażowania i zasługuje na coś z sieciówki Burton i Topman.

O dwudziestej rozlega się dzwonek do drzwi (tym razem Laura stawia się na czas, co bezsprzecznie stanowi dobry znak). Otwieram cały pachnący i odświeżony ubrany w czarną koszulę od Burtona i granatowe jeansy od Topmana. Laura ma na sobie prześliczną kremową sukienkę, wygląda fenomenalnie, aczkolwiek nie jest to chyba najlepsza kreacja do spożywania potraw kuchni meksykańskiej, którymi bardzo łatwo się ubrudzić. Rzecz jasna, zachowuję to spostrzeżenie dla siebie... *Takim* idiotą nie jestem.

Laura stosownymi odgłosami komplementuje aromat jedzenia, a gdy nalewam jej kieliszek wina, z wielką przyjemnością wysłuchuję jej pochwał dotyczących nakrycia stołu.

Cieszy mnie to bardziej, niżby się tego można spodziewać, ponieważ stół (razem z pasującą zastawą) byłem zmuszony pożyczyć od siostry. Przywiezienie tego cholerstwa samochodem sprawiło mi niemało kłopotów. Samotni mężczyźni nie odczuwają głębokiej potrzeby posiadania stołów, jako że o wiele łatwiej je się pizę na kanapie wprost z kartonu, a w żadnym razie nie zamierzałem kupować mebli specjalnie z myślą o tym obiedzie. Bardzo lubię Laurę, ale nie popadajmy w przesadę, dobrze?

Aby zwieńczyć przygotowania, zamierzałem kupić w Wilkinsonie parę świec, ale się rozmyśliłem, uznając, że na drugą randkę byłoby to trochę nadto.

Stół niestety jest dosyć mały, a przez to trudno na nim pomieścić całą tę absurdalną ucztę, jaką urządziłem. Muszę ratować się stolikiem do kawy, nic w tym złego, tyle że w zeszłym miesiącu mój kumpel Ryan, dokumentnie napruty tanim ginem, niezmywalnym flamastrem narysował na stoliku penisa.

Nim Laura cokolwiek spostrzeże, zakrywam obsceniczny organ miską z ziemniakami, po czym siadamy i zabieramy się do konsumpcji mnóstwa przygotowanych przeze mnie meksykańskich serowych wspaniałości. Sam posiłek przebiega bez problemu. Łagodne fajitas wyszły jak należy, Laurze smakują też moje serowe ziemniaki w mundurkach, zaś czekoladowy deser

zostaje pochłonięty bez baczenia na zawarte w nim kalorie.

Gdy kończymy posiłek, wciąż zostaje góra jedzenia, ale przecież od czego są pojemniki próżniowe i lodówki. Siedzimy dalej przy stole i gawędzimy sobie swobodnie przez dobrą godzinę. Laura nawet nie wydaje się zmieszana, gdy podnosi miskę z ziemniakami i dostrzega dzieło Ryana.

O wpół do dziesiątej jestem pewny, że wieczór upływa pomyślnie i że posiłek okazał się oszałamiającym sukcesem. Wyobrażam już sobie pocałunek, który otrzymam od Laury przed jej wyjściem w nagrodę za swe wyczyny kulinarne.

Boże kochany, jakże się myłę.

PAMIĘTNIK LAURY

5 VI, NIEDZIELA

Droga Mamo!

Wiedziałam, że to wszystko układało się aż za dobrze. Raczej nie spotkam się już z Jamiem.

W piątkowy wieczór doszło do sytuacji, którą dopiero teraz jestem w stanie ubrać w słowa.

Przez cały weekend byłam pogrążona w pełnym upokorzenia szoku i choć zazwyczaj ochoczo opowiadałam ludziom o perypetiach, jakie przytrafiają mi się na randkach, to zdarzenie pozostanie między mną, Tobą, Jamiem i ewentualnymi bóstwami niebieskimi, które mi się wówczas przyglądały (bez wątpienia zrywając ze śmiechu swe niebiańskie boki).

Wieczór rozpoczął się od zwyczajowej sesyjki nienawiści przed otwartą szafą. Doszło do tego, że czuję się nieswojo, gdy przed wyjściem na randkę nie spędzę dziesięciu minut na potępianiu w czambuł mojego wyczucia mody. Do włożenia nadawała się dosłownie *jedna* kreacja: urocza kremowa sukienka, którą kupiłam z myślą o ślubie Meliny z Travisem i której nie miałam okazji włożyć ze względu na „incydent”. No wiesz... ten, o którym kiedyś Ci pisałam. Kiedy to Melina znalazła w jego telefonie nagie zdjęcia swojej kuzynki. Afera, jaka się z tego zrobiła, zaczęła dopiero przycichać.

Tak czy owak, postanowiłam włożyć właśnie tę sukienkę. Był jednak pewien problem: zaproszono mnie na fajitas. Meksykańskie jedzenie, którym łatwo się ubrudzić, i kremowe sukienki niekoniecznie idą w parze.

Ale jaki miałam wybór? Albo ta, albo fioletowa do kostek, za wielka w cycach, może jeszcze koktajlowa sukienka z nieusuwalną plamą z absyntu czy wreszcie strój Elvisa, który kupiłam na przyjęcie halloweenowe dwa lata temu. Niemalże zdecydowałam się na Elvisa, aby tylko zobaczyć wyraz twarzy Jamiego. Być może gdybyśmy mieli już za sobą parę wspólnych miesięcy, wyszedłby z tego niezły żart, ale stawienie się na drugiej randce w kombinezonie z cekinami i z pieśnią *All Shook Up* na ustach było bez wątpienia złym pomysłem. Nie, jedyną dopuszczalną opcją była tak naprawdę kremowa sukienka. Będę musiała po prostu jeść bardzo, bardzo ostrożnie.

Gdy Jamie otwiera drzwi, staje się oczywiste, że postanowił tego wieczoru użyć całą puszkę dezodorantu Lynx. Daruję mu to (i wstrzymuję oddech), bo w mojej ocenie zbyt wielki wysiłek zawsze będzie lepszy od zerowego. Ale koszulę i jeansy wybrał ładne. Widać, że koszulę dopiero co kupił, znad kołnierzyka bowiem na plecach wciąż zwisa mu metka Burtona. W pierwszym odruchu chcę mu o tym powiedzieć, ale po co mam biedaka zawstydząć. Gdybym tylko wiedziała, co się tego wieczoru wydarzy, nie przejmowałabym się aż tak bardzo jego dyskomfortem.

Apetyczny zapach smażących się fajitas, który dochodzi z kuchni, okazuje się nawet silniejszy od dezodorantu Jamiego i czuję, że zaczyna mi burczeć w brzuchu. Aby mieć pewność, że będę głodna, praktycznie nic przez cały dzień nie jadłam. Nawet jeśli Jamie jest koszmarnym kucharzem, rzucę się na cokolwiek, co przede mną postawi. To efekt kolejnej cennej porady Tima – która na swój perwersyjny i masochistyczny sposób okaże się nawet jakoś tam sensowna.

Niepotrzebnie się obawiałam. Jamie gotuje bardzo dobrze – choć przyrządził tyle potraw, że mógłby nakarmić całą drużynę piłkarską. Czy naprawdę wyglądam na kogoś, kto aż tak się opycha? Nawet gdyby mi przyłożyli broń do głowy, jak temu biednemu grubasowi w filmie *Siedem*, nie zdołałabym pochłonąć góry jedzenia, którą przede mną stawia.

Dom Jamiego jak na lokum zajmowane przez faceta jest całkiem porządkny. Wiszący na ścianie plakat *Poszukiwaczy zaginionej Arki* to lekka przesada, ale przynajmniej go oprawił.

– Podpisany osobiście przez George'a Lucasa! – oznajmia z dumą, jak gdyby miało to coś dla mnie znaczyć. Lecz pomijając plakat, oraz ogromną kolekcję filmów na DVD, najwyraźniej wyłącznie takich, w których coś wybucha, kawalerska kwatery Jamiego jest więcej niż do przyjęcia.

Sądzę, że stan, w jakim mężczyzna utrzymuje swój dom, wiele o nim mówi. Był taki jeden facet, z którym spotykałam się przed laty, nazywał się Nathan. Jego zdaniem dobrym pomysłem na wystrój wnętrza była fioletowa tapeta imitująca zamsz, do tego czarna kanapa, czarne zasłony oraz, a jakże, czarny stolik do kawy. Zupełnie jakby człowiek mieszkał wewnątrz siniaka. Członek Nathana, podobnie jak jego talent do rozmowy, był niewielki.

Był też Terry, który bez skrupowania zapraszał dziewczyny do domu, pomimo że w rozmaitych miejscach poprzyklepał do ścian co najmniej *trzydzieści* plakatów z rozebranymi panienkami z tabloidów. Jeden wisiał

nawet na drzwiach toalety, aby mógł się na niego gapić za każdym razem, gdy szedł za potrzebą. Terry gadał jak najęty, ale również był mizernie wyposażony przez naturę, a na dodatek, kiedy za bardzo się śmiał, zaczynał wymiotować.

Wreszcie był Zach. Zachowi przyrodzenia pozazdrościłby i koń, poza tym był to facet nader bystry. Niestety, pod względem nawyków higienicznych przypominał świnię z chronicznym zapaleniem zatok. W jego kuchni rosły formy życia, na myśl o których jeszcze dzisiaj robi mi się niedobrze. Zach nieodwołalnie stracił więc okazję pokazania mi formy życia rosnącej w jego spodniach, gdy zaprosił mnie do zamieszkiwanej przez siebie nory.

Kiedy przygotowany przez Jamiego posiłek – w tym potwornie wielki tort czekoladowy, którego spalenie wymaga tygodni szaleństwa na bieżni – dobiega końca, siedzimy przy stole z satysfakcjonująco pełnymi brzuchami i przez ponad godzinę rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Wieczór upływa wspaniale, a konwersacja iskrzy. Mówimy o pracy, o naszych znajomych, o wakacjach, o religii, o sporcie, o polityce... naprawdę o wszystkim. Jeszcze nigdy tak łatwo nie komunikowałam się z mężczyzną, jak to robię z Jamiem Newmanem.

Pierwszy sygnał, że coś jest koszmarnie nie tak, przychodzi, gdy odczuwam nieprzepartą potrzebę, by pierdnąć. Właśnie z tego powodu prosiłam Jamiego, by nie doprawiał zbytńo fajitas. Pikantne jedzenie zawsze sieje spustoszenie w moim przewodzie pokarmowym. Potrawa była łagodna – lecz najwyraźniej niewystarczająco łagodna.

Tak więc kiedy Jamie rozwodzi się na temat swojej wyprawy kajakowej po rzece Kolorado, ja zaciskam pośladki i usiłuję zignorować nagłące burczenie w dolnych częściach ciała. Z powodzeniem wstrzymuję bąka do chwili, gdy Jamie wychodzi, by zrobić kawy. Z ulgą bezszelestnie wypuszczam gaz z organizmu. Bąk okazuje się jednakowoż straszonym śmierdzeniem.

Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo mi wstyd. Oto jestem na drugiej randce z mężczyzną, którego zdążyłam już bardzo polubić, i właśnie przekształcałam salon jego domu w gigantyczną wędzarnię. Kiedy wróci, jedyna moja nadzieja w tym, że jego zmysł powonienia okaże się fatalny.

Jamie stawia kawę i pociąga nosem.

– Ojej – mówi, podczas gdy ja pąsowieję na twarzy. – Wybacz, Laura, ale śmierci w kuble trochę śmierdzą. Skoczę je wyrzucić.

No więc widzisz... oficjalnie stwierdzono, że z mojego zadka cuchnie jak z kubła na odpadki. Jamie tłucze się po kuchni, ja zaś wyczuwam w żołądku *bardzo* nieprzyjemne poruszenie. Wtem przewala się przeze mnie oślepiająca fala mdłości.

– No, od razu lepiej – zauważa Jamie po powrocie do pokoju.

– Gdzie... gdzie jest toaleta? – pytam niepewnym głosem.

– Na górze. Drugie drzwi po lewej. Dobrze się czujesz?

– Tak, wszystko w porządku.

Nie, nic nie jest, kurwa, w porządku!

Podrywam się z krzesła jak wystrzelona z procy i dobiegam do schodów szybciej, niżbyś wymówiła słowo „rozwolnienie”. Wyczuwam poruszenie kolejnego potężnego pęcherza powietrza w jelitach i pędzę na pierwsze piętro.

Niestety, wbieganie po stopniach to już za wiele dla moich delikatnych trzewi i gdy jestem w trzech czwartych dystansu dzielącego mnie od piętra, puszczam następnego bąka – przeciągły, głośny, mokry pierd, który niesie ze sobą wszelkie oznaki nadciągającego niebezpieczeństwa sfajdania się w gacie. Był na tyle donośny, że Jamie z całą pewnością słyszał.

Chciałabym mieć czas, by umrzeć ze wstydu, lecz jelita wysyłają mi tak naglące sygnały awaryjne, że wypierają z mojej głowy wszelkie inne rozważania. W łazience z prędkością światła podciągam sukienkę i opuszczam majtki, po czym ląduję tyłkiem na sedesie Jamiego (usiadłam na nim z takim impetem, że do tej chwili mam na udach siniaki).

Następuje chwila błogiej i hałaśliwej ulgi.

Sytuacja przedstawia się tak fatalnie, jakby świat rozleciał mi się na kawałki – tyle tylko, że raczej to kawałki świata wylatują teraz ze mnie.

To mały domek, więc Jamie na pewno słyszy, co się tu dzieje. Zapewne wiedzą to również mieszkańcy sąsiednich budynków. Aż dziw bierze, że nie wezwali jeszcze straży pożarnej.

– Wszystko w porządku? – woła z dołu Jamie. – Bo wyglądałaś, jakbyś trochę pozieleniała, kiedy...

Urywa w pół zdania. Następnie słyszę ciężki i szybki tupot, a z kuchni rozlega się brzdęk garnków i patelni. Potem okrzyk przerażenia, parę westchnień, błagalny pisk, wreszcie potworna, *potworna* cisza...

Sama toczę swój śmiertelny bój przez dobre dziesięć minut. Wreszcie

przyptyw miłosiernie słabnie i mogę powoli podnieść się z sedesu. Nogi dygoczą mi bardziej niż podczas trzęsienia ziemi, czuję też w udach ukłucia maleńkich igiełek, bo oto powoli wraca w nich krążenie. Gdy nachylam się nad umywalką, nadal męczą mnie silne nudności, poza tym boję się, że w najbliższej przyszłości będę musiała bisować, ale teraz najgorsze już minęło.

Spuszczam wodę i myję ręce, oddychając głęboko, by odzyskać nieco panowania nad sobą. Drogę na parter pokonuję... ostrożnie. Jamiego nigdzie nie widać, przechodzę więc przez salon, przemierzam korytarz i wchodzę do kuch...

O Matko Przenajświętsza!

Jamie kuca nad kubłem ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Z przerażeniem podnosi na mnie wzrok.

– Przepraszam! – jęczę i wycofuję się tak szybko, jak potrafię.

Zszokowana, nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą widziałam, stoję w salonie i czekam, aż Jamie (Chryste) skończy i się oporządzi. W końcu wynurza się z kuchni i trzymając się za brzuch, powoli człapie do pokoju. Wygląda jak zombie z kolką jelitową. Jego odbicie wyraża tak głęboką rozpacz, że budzi we mnie nutkę współczucia. Mój wyraz twarzy z pewnością jest podobny.

Bijące z nas przygnębienie to z pewnością skutek ostrego zatrucia pokarmowego, które ewidentnie przed chwilą nas dopadło, lecz zarazem podświadomie obydwójce zdajemy sobie sprawę, że wszelka nadzieja na rozkwit naszej znajomości właśnie bezpowrotnie przepadła. Nie po tym, gdy usłyszał, jak pierdzą niczym zapaśnik sumo z zespołem jelita drażliwego.

Wybuchowej biegunki na drugiej randce nie można po prostu zignorować i udawać, że nic się nie stało.

Podobnie zresztą jak widoku człowieka srającego do kubła ze stali nierdzewnej.

Zapada milczenie. Wzajemne zażenowanie jest tak potężne, że żadne słowa tu nie pomogą. Przemykam obok Jamiego do przedpokoju i biorę swój płaszcz. Dolatuje mnie fetor z kuchni, więc mój żołądek ponownie się wywraca.

– Nie musisz... nie musisz iść – mówi Jamie.

– Naprawdę wydaje mi się, że powinnam – oponuję. – Całkiem możliwe, że to jeszcze nie koniec. Chcę wrócić do domu.

Przygnębienie widoczne na jego twarzy staje się jeszcze bardziej wyraźne.

– Ach. Rozumiem.

Otwiera drzwi wejściowe i wychodzę na błogo rześkie, nocne powietrze. Wiem, że powinnam się odwrócić i pożegnać, ale uczucie wstydu mnie powstrzymuje. Jedyne, do czego jestem teraz zdolna, to z opuszczoną głową podbiec do Rysia i czym prędzej wrócić do mieszkania (gdzie czeka cudownie czysta damska toaleta).

Kiedy wycofuję samochód z podjazdu, oglądam się na Jamiego, który nadal stoi na progu i z miną skopanego szczeniaka patrzy, jak odjeżdżam. Widzę, że ponownie chwyta się za brzuch i wykrzywia twarz – i wiem, że za chwilę pobiegnie na piętro, by ukoronować wieczór gromkimi fajerwerkami.

Czuję wzbierającą we mnie kolejną falę mdłości. Mam nadzieję, że zdążę wrócić do domu, nim zepsute fajitas ponownie przypuszczą szturm na końcówkę mojego jelita. Deskę rozdzielczą Rysia może bym jakoś doczyściła, lecz welurowego siedzenia z pewnością nie.

W ciągu dwóch godzin najlepsza w moim życiu randka przemieniła się w zdecydowanie najpotworniejszą. Szczerze mówiąc, dziwi mnie, że cały ten kataklizm nie wywołał u mnie poważnego wstrząsu emocjonalnego.

Zdążyłam do domu, Mamusiu. *Ledwie*. Około drugiej w nocy sytuacja wreszcie się uspokoiła, i wyczerpana zapadłam w sen.

Upłynęły już dwa dni i dziś wieczorem udało mi się zjeść do herbaty trochę sucharków. Sądzę, że jestem gotowa spróbować jutro czegoś bardziej ryzykownego, jak na przykład gotowanej fasoli z puszki. Natomiast z pewnością na długo odpuszczę sobie randki. Skoro w ich rezultacie otarłam się o śmierć i przeżyłam najbardziej upokarzający moment w życiu, znaczy to zapewne, że powinnam wziąć na wstrzymanie, prawda?

Kocham Cię i tęsknię, Mamo... jak zawsze.

Twoja wymęczona córka Laura

BLOG JAMIEGO

PONIEDZIAŁEK, CZWARTY LIPCA

Dziś mija miesiąc od najgorszego wieczoru w moim dorosłym życiu.

Wieczór ten przyćmiewa dzień, w którym popularna sieć restauracji zerwała ze mną lukratywną umowę, po tym jak w redagowanej przeze mnie ulotce reklamowej automatyczna korekta zamieniła „podniebienie” na „podniecenie”. Tysiące ludzi miało okazję przeczytać sobie o tym, jak wytworni kucharze „zaspokoją każde podniecenie”.

Jest też gorszy od sytuacji, kiedy skręciłem nogę w kostce, udając Spidermana na imprezie kostiumowej, po czym musiałem jako człowiek pająk spędzić osiem godzin w szpitalnej izbie przyjęć, ponieważ nikt ze znajomych nie był na tyle trzeźwy, by móc mi przywieźć ubranie na zmianę.

Więcej, wygrywa nawet z nocą, kiedy zostałem aresztowany za przewracanie śpiących na stojąco krów i utyłany w gnoju dwie godziny zasmradzałem wewnątrz radiowozu do czasu, dopóki gliniarz, który nas zwinął, nie poszedł po rozum do głowy i nas nie wypuścił.

Tak, na sam szczyt piramidy wstydu wlatuje wieczór, w którym zafundowałem ślicznej dziewczynie zatrucie pokarmowe, zmuszając ją do wysrania wnętrzości w łazience na górze, podczas gdy sam na parterze poddawałem się bolesnej defekacji do kubła na śmieci.

No ale czy miałem inne wyjście? Kiedy dobiegłem do kuchni, moje jelita dawały rozdzierające sygnały, bym natychmiast zrobił coś konstruktywnego. Musiałem wybierać: kubeł albo zlew, a kiedy podniosłem klapę kubła, *trochę* nawet przypominał sedes. Z doświadczenia nie polecałbym tego rozwiązania jako alternatywy dla wcześniej wymienionego tradycyjnego urządzenia. Starczy powiedzieć, że ryzyko obryzganania jest naprawdę znaczne, i na tym poprzestaną.

Dopiero w zeszłym tygodniu zdobyłem się na opowiadzenie komuś o przebiegu mojej drugiej (i ostatniej) randki z Laurą McIntyre.

Ryan jeszcze po godzinie ze wszystkich sił próbował przestać się śmiać, lecz ostatecznie musiał wyjść i ochlapać twarz wodą, żeby się trochę uspokoić. Czasami odnoszę wrażenie, że przyjaźni się ze mną tylko ze

względu na moje anegdotki z randek. Odkąd poznaliśmy się na studiach, liczba sytuacji, w których Ryan związał się ze śmiechu, wysłuchawszy opowieści o kolejnym moim podboju miłosnym, musiała osiągnąć wartość dwucyfrową. Jestem przekonany, że wszystko gdzieś sobie zapisuje, by po mojej śmierci wykorzystał to do napisania książki.

Przyjaźnię się z Ryanem, bo kiedy już skończy ryczeć ze śmiechu, dobrze jest wyplakać mu się w ramię.

– Kiedy coś spierdolisz, Newman, to już naprawdę na całej linii – mówi, pękając ze śmiechu. – Czy może teraz nazywasz się Kubłus?

Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie próbowałem kontaktować się więcej z nieszczęsną Laurą. Bo co niby, do cholery, miałbym jej powiedzieć? Wiadomość tekstowa wyglądałaby mniej więcej tak: *Cześć! Wybacz tę galopującą sraczkę. Wyskoczmy do kina? Popcorn powinien być bezpieczny!*

Jakaś drobniutka część mnie żywiła wciąż nadzieję, że Laura mimo wszystko się odezwie... lecz nadzieja ta jak na razie okazała się płonna. Upłynęły już ponad cztery tygodnie i jestem przekonany, że Laura (wraz ze swym przewodem pokarmowym) pozbiierała się już po nocy rozszalałej biegunki. Z pewnością chce po prostu zapomnieć o zajściu i skupić się na swoich sprawach. Oznacza to zaś, że stary, biedny Jamie Newman zostaje zepchnięty z powrotem do świata ludzi samotnych.

Aby pogłębić moją rozpacz, zaproszono mnie na ten weekend na kolację. Wiem, pozornie wygląda na to, że jestem jakimś niewdzięcznikiem. W końcu nie należy kręcić nosem, kiedy zapraszają cię na przyjęcie, świadczy to bowiem o tym, że pod względem towarzyskim nie jesteś jeszcze zupełnym pariasem. Musicie jednak mieć na względzie, że ludzie, którzy mnie zaprosili, są parą.

Pary zazwyczaj zapraszają na przyjęcia inne pary. Taka już kolej rzeczy. Podobnie ludzie samotni ściągają na swoje imprezy przede wszystkim innych singli. Myślę, czyby nie zadzwonić do Muzeum Historii Naturalnej i nie powiedzieć, że Darwin się pomylił. Koniec końców wychodzi na to, że nie wszystkie istoty ludzkie należą do tego samego gatunku. W rzeczywistości istnieją dwa odmienne gatunki, które lubią bratać się wyłącznie z przedstawicielami swojej grupy. Są to *Homo związkus* oraz *Homo singielus*.

Jasne, kiedy to konieczne, między obydwoma gatunkami dochodzi do interakcji, lecz często ma ona charakter formalny i niezręczny, a moment, w którym osobnik drugiego gatunku wreszcie się odpieprza i idzie zająć

własnymi sprawami, zawsze witamy z pewną dozą ulgi. Jako zadeklarowany członek zbiorowiska *Homo singielus* musiałem rozważyć wszystkie za i przeciw zaproszenia na przyjęcie, na którym niewątpliwie przeważać będą przedstawiciele obozu wroga.

Czy warto było zatem pogodzić się z dyskomfortem i ryzykiem towarzyskiego niedopasowania, aby uniknąć kolejnego niedzielnego wieczoru w samotności, spędzonego przy pierdołach, opowiadanych przez komediowy duet Anta i Deca? Uznałem, że tak.

Wystarczająco niedobrze byłoby, gdyby nieliczni przedstawiciele mojego gatunku *singielus* rozsiani byli tu i ówdzie pośród uczestniczących w przyjęciu par. Tymczasem jednak okazuje się, że tego wieczoru jestem *jedynym* singlem. Tak oto trzy pary w szczęśliwych związkach oraz jeden załosny Jamie Newman zasiedli wokół stołu i raczyli się chińszczyzną. Byłem piątym kołem u wozu. Czy raczej – wolnym fiutem na weselu.

Gospodarze to mój kumpel Dave i jego żona Katherine. Pobrali się siedem lat temu, tak więc dotarli do takiego etapu w związku, kiedy blask przygasł, a emalia już się wytarła. Ja cały ten proces obserwowałem z boku. Dave zakochał się w Katherine, kiedy obydwaj pracowaliśmy w sklepie muzycznym. Pewnego razu przyszła i poprosiła nas o znalezienie dla jej młodszego brata najnowszego albumu Iron Maiden. Dave uporał się z zadaniem szybciej niż ja, toteż zyskał pierwszeństwo.

Ale wygląda na to, że wciąż się kochają, a ich związek – pomimo brzemienia siedmioletniego małżeństwa – jest najbardziej stabilnym ze wszystkich mi znanych. Tym lepiej, bo skoro mam już wmieszać się w towarzystwo *Homo związkusów*, wolałbym, by nie przejawiali zbyt dużego entuzjazmu swoim położeniem. Nie ma nic gorszego niż związek, którym ktoś epatuje cię, gdy ty akurat jesteś sam.

Z kolei pary druga i trzecia to uosobienie przerażającego burżujskiego egocentryzmu, a obie zaproszone zostały z rozmysłem w celu zapewnienia dobrej rozrywki. Jedni są znajomymi Dave'a, drudzy przyjaźnią się z Katherine.

– Musisz przyjść, chłopie, będzie ubaw po pachy – namawiał mnie przez telefon Dave. – Wiesz, jacy oni wszyscy są okropni... a zwłaszcza gdy się spotkają.

Tak naprawdę to był argument, który przeważał szalę. Poważnie wątpiłem, by Ant i Dec zdołali wykoncypować coś równie zabawnego jak dwie pary z klasy średniej licytujące się pod względem zdobyczy

materialnych. Angela i Mitchell znają Dave'a i mnie z pracy, natomiast Sophia i Iain zostali wprowadzeni w nasz krąg towarzyski przez Katherine jakieś pół roku temu. Od tego czasu, kiedy tylko znajdą się razem w jednym pomieszczeniu, niemal widać przeskakujące między nimi iskry.

Ublągałem Dave'a, by tego wieczoru pozwolił mi zainicjować całą zabawę. Jak dotąd nie miałem po temu okazji i szczerze mówiąc, nie mogłem się doczekać. Tak więc gdy kolacja trwała już od jakiejś godziny, większość kurczaka kung-po została pochłonięta, a w pomieszczeniu zapanowała atmosfera sympatycznego odprężenia, zrzuciłem taką oto bombę:

– Słuchajcie wszyscy, wybieracie się może w najbliższych tygodniach na jakiś wakacyjny wypad?

Decyzja, by zacząć od takiego akurat gambitu, zajęła mi zaledwie parę sekund. Wiedziałem aż za dobrze, że obydwie pary jeszcze w tym roku nie były na wakacjach i planowały wyjazd, toteż był to idealny sposób na odpalenie wieczornego programu rozrywkowego.

Dave zdusza w sobie śmiech, a Katherine musi wstać po kolejny kieliszek wina, inaczej nie zachowałyby powagi.

– Och, tak! – oznajmia radośnie Angela. – Mitchell i ja pod koniec miesiąca lecimy na dwa tygodnie na Malediwy!

Gdy to mówi, Mitchell z zadowoleniem kiwa głową.

– Nam Malediwy nie odpowiadają – odparowuje Sophia. – Jak na nasz gust są zdecydowanie za bardzo skomercjalizowane. My lecimy na Seszele.

– Doprawdy? – ożywia się Mitchell, ledwie maskując malujący mu się na twarzy szydrczy uśmiech. – Nigdy nie wydawały mi się wystarczająco ekskluzywne.

– Ależ są – odparowuje Iain, poprawiając się na krześle. – Kiedy tam jeździmy, odczuwamy ten sam dreszczyk, co przy corocznych wypadach na narty do Val d'Isère.

– Kiedy nas nachodzi ochota na trochę *après-ski*, wolimy jednak Aspen – zauważa Angela, siląc się na uśmiech. Bardziej jednak wygląda, jakby właśnie przeżuwała psią kupę.

– Pfff! – prycha Sophia, wydając dźwięk niczym przebita opona. – Tam się aż roi od Amerykanów. I wszystko jest tak okropnie skomercjalizowane.

– Może akurat w miejscu, do którego wy jeździcie, słonko.

Dzyń! Rundę pierwszą wygrywają Angela i Mitchell.

– W przyszłym tygodniu jedziemy wozem kempingowym do Devon! – oznajmia raźnie Dave, dopijając zawartość kieliszka.

Takiej okazji nie wolno mi przepuścić.

– Naprawdę? Sam wybieram się na kemping do New Forest! W tym roku jadę wreszcie w miejsce, gdzie mają toalety, więc nie będę musiał robić do kubła!

Katherine krztusi się winem. Angela, Mitchell, Sophia i Iain jednocześnie spoglądają na Dave'a z ledwie skrywaną pogardą. Gdy przenoszą wzrok na mnie, pogarda staje się jawna.

Dave podkreśla zabawę o kolejny stopień, przechodząc do jeszcze bardziej elektryzującego tematu:

– Widziałem, Iain, że jeździsz teraz nowym mercedesem SLK. – Następnie odwraca się w stronę Mitchella. – Powiedz mi, Mitchell, ten wóz ma lepsze osiągi niż twoje bmw czy jednak nie?

Oj, to mu się udało...

Następnych dziesięć minut Mitchell i Iain spędzają na kłótni o to, który z samochodów ma lepszy system kontroli przyczepności, lepsze podgrzewane tylne siedzenia i komputer pokładowy. Zapewne powinni po prostu spuścić portki i sprawdzić, który ma większego – w ten sposób zaoszczędziliby kupę czasu. Mam jednak wrażenie, że w tej kategorii żaden nie zasłużyłby na szczególne wyróżnienie.

Iain wygrywa rundę motoryzacyjną, gdy słusznie zauważa, że jego przepłacony niemiecki luksusowy krążownik szos kosztuje o jakiś tysiąc więcej niż wehikuł rywala. Moim zdaniem Mitchell postąpił bardzo roztropnie, powstrzymując się przed wgrzyzieniem w kieliszek z winem.

– Moje punto przeszło w zeszłym tygodniu przegląd! – chwali nam się Katherine.

– To wspaniale – gratuluje jej. – Za każdym razem, kiedy ja moim fordem przejeżdżam po progu zwalniającym, zawieszenie wydaje odgłos rzygającego kota!

Dave niemal dławi się krewetkową kulką. Przychodzi kolej, by Katherine dołożyła do ognia, a gdy to czyni, jest już naprawdę pozamiatane:

– Widzę, Sophia, że masz nową torebkę. To Chanel, prawda?

Idealnie. Jeśli samochodami udało się sprowokować facetów, to torebki z

pewnością zadziałają na kobiety.

– Owszem! Wspaniała, nieprawdaż? – Sophia unosi koszarne brązowe brzydactwo z węzowej skóry, ozdobione dwiema złotymi klamrami nieco tylko mniejszymi od mojej głowy.

– Miałam taką w zeszłym roku – zauważa niby od niechcienia Angela.

– Naprawdę? To jaką masz teraz? – Sophia pyta głosem, którym można by ciąć diamenty.

Angela wyciąga smukły, jedwabiście szary egzemplarz, bez dwóch zdań przyjemniejszy dla oka aniżeli masywny produkt od Chanel, i macha nim przed nosem Sophii.

– Pradę.

Gem, set i mecz: Angela i Mitchell!

Zapada cisza. Da się prawie dosłyszeć, jak Sophia przeżuwa własną wątrobę. Oblicze Iaina przybrało cokolwiek niepokojący, brązowofioletowy odcień. Za każdym razem, gdy popijam łyk wina, z wielkim wysiłkiem powstrzymuję się od chichotu.

Wtem Angela wszystko psuje.

– Jamie, znalazłeś już sobie jakąś dziewczynę? Mógłbyś przecież ją zabrać na ten kemping do New Forest?

Suka.

– Jeszcze nie – odpowiadam i jednym haustem wlewam w siebie resztę merlota.

– Oj, to szkoda. Powinieneś spróbować tych randek błyskawicznych.

Gryzę się w język, żeby nie udzielić ostrej riposty, powstrzymuję też chęć, by rzucić się przez stół i zadusić bezwstydnie materialistyczną burżujkę Angelę wraz z jej *jakże pomocnymi* poradami w rodzaju tej ostatniej perełki.

– Albo czegoś w internecie – dodaje Sophia. – Moja asystentka Karen znalazła sobie kogoś na portalu randkowym, i dzięki Bogu. Zanim się na to zdecydowała, przez lata całe była sama. Nie jest to rozwiązanie, które sama bym kiedykolwiek rozważyła, ale chyba tej biedaczce się opłaciło.

Czy da się udusić dwie osoby naraz? Czy też powinienem od razu kupić dubeltówkę?

Wnet wyrzucam z siebie doskonale wypróbowane i wielokrotnie powtarzane kłamstwo, które każdy singiel zna na pamięć:

– Tak naprawdę to za nikim się teraz nie rozglądam. Szczerze mówiąc, cieszę się ze swobody.

Newman, ty żałosny, kłamliwy draniu...

Katherine dostrzega mój wyraz twarzy i czym prędzej wlewa do mojego pustego kieliszka więcej merlota. W jej oczach zauważam zawoalowane współczucie, co jest jeszcze gorsze niż kąśliwe uwagi pozostałych dwóch kobiet przy stole.

– Jak tam sprawy w twojej firmie, Iain? – pyta Dave, usiłując odciągnąć konwersację od pustkowia mojego życia osobistego. Iain i Mitchell stają do rywalizacji w kategorii „kto w swojej pracy zgarnia lepsze bonusy”, lecz szczerze mówiąc, przestało mnie to bawić. Po raz pierwszy dotkliwie zdaję sobie sprawę, że jestem jedyną samotną osobą przy stole. Pół butelki czerwonego wina, które zdążyłem do tej pory wypić, nie wpływa korzystnie na mój nastrój, więc kiedy zegar wybija wpół do jedenastej, informuję, że muszę już iść, i wstaję od stołu.

Udaje mi się stłumić potrzebę uduszenia Angeli i Sophii, które udają, że całują mnie na pożegnanie. Gdy kieruję się do drzwi frontowych, Dave klepie mnie po plecach, jeszcze bardziej pogłębiając mój zły nastrój. Współczucie innych tak mi jest potrzebne jak rady, bym spróbował randek przez internet, jak ta „biedaczka” Karen.

Mieszkam o pół godziny spacerem od domu Dave’a, toteż ruszam do siebie bez specjalnego pośpiechu. Chcąc podnieść się na duchu, oddycham świeżym powietrzem letniej nocy i skupiam myśli na czymś pozytywnym. Choć jest już prawie dwudziesta trzecia, na każdym kroku coś, rzecz jasna, przypomina mi o mojej potwornej samotności.

Zawsze tak jest. Tabuny szczęśliwych, kochających się par zawsze wylegają na ulice akurat wtedy, kiedy usiłujesz zapomnieć o tym, jak bardzo jesteś sam. Postanawiam liczyć wszystkie przykłady *Homo związkusów*, jakie napotkam podczas trzykilometrowego spaceru do domu.

Jedenaście. *Jedenaście* cholernych par od Kate i Dave’a do drzwi mojego domu. Dacie wiarę? Wychodziły z budynków, przejeżdżały samochodami, spacerowały za rączkę po ulicy. Trafiła się nawet jedna para wyprowadzająca psa. A konkretniej jednego z tych durnych piesków chihuahua. To po prostu nie fair. Kto, do cholery, wyprowadza psa o jedenastej w nocy? Czy to pieprzone bydlę lunatkuje, czy jak?

Dotaczam się z powrotem do domu, zamykam drzwi i siadam na kanapie,

by zobaczyć, co na sobotni wieczór proponują w telewizji. Kiedy tylko włączam dekodery, na ekranie pojawia się *Randka w ciemno*. Na szczęście wciąż jestem dosyć pijany, więc zawodzi mnie celność i pilot szczęśliwie nie trafia w telewizor.

Żałuję mojego wybuchu – i rozwalenia pilota – już dziesięć minut później, gdy zaczynają się *Cztery wesela i pogrzeb*, ja zaś nie mam jak tego cholerstwa wyłączyć. Dobrze, że poszedłem spać, nim przyszedł czas na program *Operacja: Stylówa*, bo nazajutrz w gazetach ukazałby się artykuł o tym, jak w nocnym ataku morderczego szału grasowałem po ulicach, zabijając wszystkich, którzy choćby sprawiali wrażenie trwania w związku... bądź też wyprowadzali pierdolone pieski chihuahua.

PAMIĘTNIK LAURY

14 VIII, NIEDZIELA

Droga Mamo!

Poparzenie słoneczne powoli mija i już mnie tak nie boli. Znowu wyglądam jak istota ludzka, a nie homar gotowany w ukropie. Wakacje były fantastyczne, ale drogo zapłaciłam za zlekceważenie włoskiego słońca. Niemniej jednak bardzo potrzebowałam tygodnia owego wygrzewania się w Toskanii, po wszystkim co przeszłam w tym roku.

Dzięki nowej umowie, którą wynegocjowałam z dostawcami, sklep zaczyna wychodzić na swoje, a Tilly jako asystentka sprawdza się wyśmienicie. Ze smutkiem przyjąłam decyzję Tima o odejściu z interesu. Do tej pory było mi bardzo przyjemnie pracować z jednym z moich najlepszych przyjaciół. Kiedy jednak trafiło mu się stanowisko w sieci sklepów Gap, tak naprawdę nie mogłam prosić, by został u mnie ze skromną pensją, jaką byłam w stanie mu zaoferować. Z moim błogosławieństwem wyruszył zatem w świat swetrów w serek i obcisłych jeansów.

Dzięki Bogu pojawiła się Tilly. Płacenie jej niższej pensji znacznie pomogło mi w zrównoważeniu budżetu – a przy tym pozwoliło nie zwariować. Chwała niech będzie nastolatkom i ich gotowości do pracy za grosze.

Mój entuzjazm do randek osłabiła seria kataklizmów – zwłaszcza zaś incydent z fajitas Jamiego Newmana. Parę razy byłam o krok od napisania do niego SMS-a, lecz gdy mój palec unosił się nad przyciskiem „Wyślij”, w myślach odzywały się gromkie pierdy ze schodów oraz obraz kosza na śmieci, toteż ostatecznie kasowałam wiadomość.

Rocznice zawsze są trudne, Mamo. Bez względu na to, ile lat minęło, wciąż boję się siedemnastego lipca. Nie jest mi łatwo bez Ciebie.

Kiedy Charlie zaproponowała, bym pojechała z nią do Włoch, byłam zachwycona. To urocza dziewczyna, nie dość, że w porę płaci swoją część czynszu, to jeszcze stała się dla mnie prawdziwą przyjaciółką. Miałam świadomość, że zamknięcie sklepu na tydzień nie jest najlepszym pomysłem, lecz przez ostatnie miesiące tak bardzo zasuwałam, że potrzebne mi było trochę wytchnienia, a w tym przypadku korzyści przewyższały ewentualne straty. Zresztą mało kto rzuca się w środku lata na ekskluzywne

czekoladki.

Wyruszyłam zatem z Charlie na kontynent, by spędzić siedem dni w willi jej kuzynki April, której mąż Gerard jest żeglarzem. Choć Charlie jest anachroniczną palaczką trawki rodem z Woodstocku, jej dalsza rodzina sprawia wrażenie snobów pierwszej wody.

Willa była przepiękna, jakby przeniesiona wprost z powieści romantycznej. W ciągu tygodnia wypiałam tyle pinota, ile sama ważę, a przy paru okazjach, gdy wraz z Charlie wypuściłyśmy się posmakować nocnego życia, wpadłam w oko temu czy owemu Toskańczykowi. Ostatniej nocy, jaką spędziłyśmy w willi, mogłam z łatwością wyrwać pewnego nader przystojnego gościa o imieniu Ezio, który snuł się za mną jak szczeniak, odkąd wpadłam na niego w najbliższej od domu trattorii. Niestety, za każdym razem, gdy rozważałam przyjęcie jego konkurów, natychmiast w myślach pojawiały mi się dwa obrazy: oślizgły lowelas Angelo z katastrofalnego wieczoru randek błyskawicznych oraz Jamie Newman przykucnięty nad nierdzewnym kubłem.

Nie miałam zamiaru zepsuć tak przyjemnie spędzanego tygodnia, komplikując sobie życie jakimś penisem, choćby i penis ów należał do kogoś, kto nadaje się na okładkę „GQ”. Zaloty czynione przez Ezia bardzo mi jednak schlebiały. Dzięki nim przypomniałam sobie, że poszukiwania Tego Jedynego mają swoje dobre strony. Pomimo karnacji à

la homar, z którą paradowałam przez dwa tygodnie od powrotu z wakacji, mogę z pewnością oznajmić, że był to jeden z najbardziej odprężających tygodni w moim życiu.

Gdy wróciłam, byłam tak zadowolona (i prawdę mówiąc, napalona, a to za sprawą Ezia), że zgodziłam się nawet umówić z Martinem – atrakcyjnym jasnowłosym sprzedawcą z hurtowni, z którą teraz współpracuję. To się stało zupełnie niespodziewanie. Przeprowadzaliśmy kontrolę stanu magazynowego i omawialiśmy ewentualne zwiększenie mojego miesięcznego zamówienia na trufle, gdy bez żadnych wstępów zapytał, czybym z nim nie poszła na drinka.

Nie wiedziałam nawet, że jest singlem. Ku własnemu zaskoczeniu zgodziłam się i parę dni później zjedliśmy razem bardzo przyjemny lunch w bistro przy miejscowym centrum handlowym. Za wszystko zapłacił, zdołał podtrzymać moje zainteresowanie rozmową, kiedy zaś podszedł do kontuaru, by uregulować rachunek, zauważyłam, że pod spodniami kryje się bardzo atrakcyjny tyłek.

Druga randka przebiegła równie sympatycznie, tym razem w pubie niedaleko ode mnie. Ponownie zapłacił za nas dwoje, po dwóch godzinach rozmowy nadal mnie nie nudził, a jego tyłek w opiętych niebieskich jeansach prezentował się jeszcze korzystniej. Dopiero kiedy dotarliśmy do trzeciej randki, sprawy przybrały spektakularny obrót... pociągając za sobą, trzeba to przyznać, *bardzo* niespodziewane konsekwencje. Nie jestem typem dziewczyny, która wierzyłaby w coś takiego jak przeznaczenie, ale po piątkowej nocy być może będę musiała zmienić zdanie.

W ramach odmiany Martin proponuje, byśmy wybrali się razem na miasto i odwiedzili parę klubów mieszczących się w centrum. Pomysł całkiem mi się podoba, nie sędzę bowiem, by moja niespokojna dusza zdzierżyła kolejną wizytę w kawiarni czy spokojnym wiejskim pubie. Spotykamy się pod The Frog and Figment – jednym z popularnych pubów w tej części miasta, uczęszczanym przez modnych i aktywnych młodych ludzi. Bez bicia przyznaję, że sama do aktywnych zaliczałam się jakieś osiem lat temu, niemniej jednak jestem gotowa ten jeden raz przypomnieć sobie intensywne piątkowe noce mojej młodości.

Każde z nas przyjeżdża taksówką, toteż możemy pić bez obawy o konsekwencje prawne. Martin zdecydowanie jest w nastroju, by wrzucić na luz, nim bowiem dochodzę do połowy pierwszej wódki z sokiem, wlewa w siebie dwie szklaneczki jacka daniel'sa.

– Fajnie jest tak wyjść w piątkowy wieczór, co nie? – przekrzykuje piosenkę Lady Gagi ryczącą z ogromnych głośników rozwieszonych tuż pod sufitem.

– Oj, bez wątpienia! – odpowiadam z entuzjazmem, starając się nastawić na zabawę.

– Rock'n'roll, kotku! – woła Martin, strzela sobie dopiero co kupiony kieliszek tequili i głośno klaszcze w dłoń.

Wygląda na to, że po paru głębszych Martin staje się cokolwiek odmienną partią. Na dwóch poprzednich randkach był z niego raczej poważny i cichy facet, toteż z pewnym zaskoczeniem odnajduję się teraz w towarzystwie gościa, który w miarę picia wykrzykuje rzeczy w rodzaju „rock'n'roll, kotku!” bez choćby krztyny ironii.

Zarazem jednak od czasu, gdy sama pozwoliłam sobie wyluzować, minęły już całe wieki, a Martin to przystojny facet, więc postanawiam wybaczyć mu nieco głupkowate zachowanie i robię, co mogę, by dogonić go w spożyciu. Okazuje się to niemożliwe, ze względu na tempo, w jakim Martin

opróżnia kolejne kieliszki. Można by pomyśleć, że za chwilę mają zdelegalizować sprzedaż alkoholu.

– Choźźmy do Szziiter Landź – proponuje mniej więcej godzinę później, obejmując mnie ramieniem. – Chsę sobie potańńczyć!

Cheetah Lounge z oczywistych powodów nie należy do moich ulubionych lokali, ale postanawiam się tym nie przejmować.

– W porządku! – odkrzykuję, by przebić się przez dźwięki Kings of Leon.

– Wspaniale! No to choźźmy!

Zeruje resztę piwa (ten chłopiec najwyraźniej nie boi się mieszać alkoholi), chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę wyjścia, zanim dopiję swojego drinka z wódką.

Minęła już dziesiąta, toteż kolejka chętnych, którzy chcą wejść do klubu, zaczyna pęcznieć.

Martin i ja ustawiamy się między młodszymi, lepiej ubranymi i bardziej rozrywkowymi od nas. Choć tak właściwie to ostatnie porównanie można w przypadku Martina wykreślić. Jedna noga mu podskakuje i widać, że nie może się doczekać, by dopaść parkietu i zademonstrować parę figur. Płaci za wejście za nas oboje (czym zaskarbia sobie wdzięczność mojego debetu na koncie) i wchodzimy do klubu pełnego imprezowiczów.

– Co powiesz na El Cheetos? – proponuje. – Przez całą noc serwują tanią tequilę!

– A moglibyśmy zamiast tego pójść do Jungle Baru? – odpowiadam.

Po paru mało komfortowych godzinach, które spędziłam w meksykańskiej części lokalu, wolałabym jej unikać. Poza tym Martin zdaje się wyjątkowo entuzjastycznym konsumentem tequili. Nie wydaje mi się, by przebywanie w pobliżu baru, gdzie sprzedają ją za bezcen, było dobrym pomysłem.

– W porządku! Rock'n'roll, kotku! – wydziera się i ponownie klaszcze w dłonie. Jeśli użyłby tych słów tylko raz, byłabym gotowa uznać je za niefortunny wypadek, ale dwa razy jednego wieczoru oznacza, że to jego sztandarowe powiedzonko, a to już go wedle moich reguł dyskwalifikuje. Szczególnie gdy gość wzmacnia efekt irytującymi klaśnięciami.

Ale wypiliśmy już cztery drinki na wódcę, więc ponownie bagatelizuję sprawę i kierujemy się w stronę Jungle Baru oraz parkietu tanecznego, bo Martin najwyraźniej aż się pali, by zakrecić tyłkiem.

I żebyś wiedziała, Mamo, że zakręcił. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś, kto jednocześnie zmagający się z napadem epilepsji i był drażniony prądem elektrycznego pastucha, ale i taki nieszczęśnik miałby lepszą koordynację niż biedny, spity Martin. Jego biodra wykonują dziwaczne szarpnięcia, czemu towarzyszy dzikie machanie ramionami, jak gdyby kierował ruchem samolotów podczas huraganu. Jestem pewna, że łamie w ten sposób co najmniej dwa fundamentalne prawa fizyki, trudno mi jednak orzec, które konkretnie.

Gdy utwór grupy Pendulum nabiera tempa, szaleńcze wymachy mojego partnera przybierają na sile. Pozostali tancerze na parkiecie robią mu teraz dużo miejsca. Jest bardzo prawdopodobne, że za moment strzeli się w czoło własnym kolanem.

– Pójdę po coś do picia! – krzyczę. – Tobie coś zamówić?

Przynajmniej na jakiś czas wyrwę się z zasięgu jego kończyn.

Martin na sekundę przerywa swe chaotyczne wyrzuty, by poprosić mnie o jägermeistra.

– Niech będzie podwójny! – dodaje.

– Okay!

– Rock'n'roll, kotku!

Kłaśnięcie w dłoń.

Jasny gwint. A zatem randka poszła w diabły. Trzecie użycie powiedzonka, a do tego styl taneczny, którym doprowadziły do płaczu dowolny zespół folklorystyczny, to już dla mnie zbyt wiele. Czekać na drinki, zaczynam układać w myślach plan odwrotu. Postanowiłam zamówić sobie dietetyczną colę, zdecydowanie bowiem przyda mi się przytomność umysłu. Zważ, proszę, że moim zdaniem Martin niekoniecznie w ogóle by zauważył, gdybym po prostu wymknęła się bez słowa, tak bardzo wszak pochłaniały go wyczyniane wygibasy. Niosąc z baru nasze napitki, postanawiam jednak sięgnąć po formułkę „złe się czuję i muszę wyjść”.

Jeśli będzie naciskał, powiem mu po prostu, że chodzi o sprawę kobiece. Po tym powinien się zamknąć. Wręczam Martinowi drinka, a on miłosiernie przerywa swój jednoosobowy zamach na sztukę tańca, by się napić.

– Uff! Ale jestem nagrany! – woła.

Hmmm... Włosy stoją ci dęba, twarz masz czerwoną jak dupa pawiana, a pod pachami plamy potu. Sama nie wiem, kolego.

– Laura, wyjdziemy na zewnątrz?

To akurat całkiem niezły pomysł. Sama nielecho się spociłam i przydałoby mi się trochę przewietrzyć. Poza tym, jeśli nie będę musiała przekrzykiwać Lady Gagi, łatwiej mi będzie wytłumaczyć Martinowi, dlaczego muszę się zbierać.

– W porządku! – odpiskuję i idę przodem na szeroką werandę na tyłach klubu.

Na tarasie roi się od palaczy oraz klubowiczów, którzy wyszli zaczerpnąć trochę świeżego (ha!) powietrza, lecz przeciskamy się między nimi i znajdujemy kąt, w którym da się stanąć. Panuje wspaniały chłodek, a Martin, z dala od parkietu tanecznego, ponownie zaczyna przypominać normalną istotę ludzką.

– Dobrze się bawisz? – pyta.

Na jego twarzy maluje się tak radosny uśmiech, że moja determinacja słabnie. Nie potrafię się zebrać, by rzucić obmyśloną wymówkę i się pożegnać. Niech szlag trafi moje dobre wychowanie!

– Jak najbardziej – kłamię.

– No, ja też. Ale w sumie niedługo moglibyśmy wyjść.

Wspaniale! Wygląda na to, że koniec końców nie będę potrzebować żadnej wymówki.

– Robi się nieco zbyt tłoczno i gorąco, chętnie przeniósłbym się w jakieś spokojniejsze miejsce.

Martin nachyla się w moją stronę. *Ojej.*

– Yy... to miło – mówię i usiłuję się odsunąć. Niestety, stoję tuż przy balustradzie werandy, toteż nie mam drogi ucieczki.

Wówczas Martin robi coś tak niewiarygodnego, że do tej chwili nie mogę w to uwierzyć. Opiera się o balustradę i zaczyna jednym palcem delikatnie masować sobie przez koszulę prawy sutek. Otwieram szeroko oczy w przerażeniu. *On chyba, kurwa, kpi.*

– A może byśmy tak podskoczyli do mnie? – proponuje i spogląda na mnie lubieżnie, w dalszym ciągu pieszcząc się po sutku powolnymi, „uwodzicielsko” krągłymi ruchami, od których robi mi się naprawdę niedobrze. Rozglądam się za kamerami. To musi być podpucha kogoś z moich przyjaciół. Tak, z pewnością. Pewnie Tim najął dorabiającego aktora o imieniu Martin, by odegrał przede mną rolę Sutkomana, a teraz nagrywa

to dla potomności. Za moment wyskoczy skądś z szerokim uśmiechem i wszyscy będziemy mieć ubaw po pachy.

Stoję i czekam. Nic się nie dzieje. Martin nadal wodzi wilgotnym palcem po swej zapoconej brodawce. *Dobry Boże, on to jednak robi na poważnie.* W ciągu dwóch godzin Martin z kandydata na partnera przemienił się w kandydata do otrzymania sądowego zakazu zbliżania się. Kiedy zaczyna pieścić obydwie sutki, muszę powstrzymać się, by nie wybuchnąć pełnym przerażenia śmiechem. Na dodatek idiota cmoka – wydyma wargi niczym uzależniona od botoksu przechodzona gwiazdka porno i przewraca oczami, najwidoczniej przekonany, że jest przekonujący. Istotnie, przekonuje... przekonuje mnie o tym, że w błyskawicznym tempie ulatuje z niego zdrowie psychiczne.

Czas uciekać.

– Przepraszam! Źle się czuję! Mam okres! Muszę lecieć! – wyrzucam z siebie i przemykam obok niego.

– Poczekaj! Laura! – woła za mną, podczas gdy ja gnam z powrotem do klubu, starając się jak najszybciej przebić przez tłum ludzi w stronę głównego wyjścia. Pomimo dudniącej muzyki słyszę, jak Martin woła mnie po imieniu, toteż wiem, że jest niedaleko. *Jeśli tylko zdołam prędko dorwać jakąś taksówkę, wszystko będzie w porządku.*

Wypadam z Cheetah Lounge i pędzę chodnikiem w kierunku postoju taksówek. Ale żadnej nie ma. *Niewiarygodne.* Martin znowu jest tuż za mną.

– Ej! A ty niby dokąd zmykasz, mała? Noc jeszcze młoda. – Chwyta mnie za ramię i obraca przodem do siebie. – Nie możesz tak po prostu spierdolić i mnie tu zostawić. – Zamroczony alkoholem dźga mnie palcem w twarz. W jego głosie słyszę coś, co sprawia, że serce zaczyna mi walić.

Dobra, sytuacja z dziwacznej stała się po prostu niebezpieczna. Spoglądam ponad jego ramieniem i widzę, że bramkarze spod klubu użerają się ze stadem skąpo odzianych pańienek. Nikt nie patrzy na mnie – ani na szaleńca, który wygląda, jakby mógł mnie w każdej chwili uderzyć.

– Sądzę, że powinnaś po prostu wrzucić na luz i mnie pocałować – oznajmia Martin i nachyla się do przodu. Jego oddech potwornie cuchnie.

– Puść mnie, Martin – mówię stanowczo i usiłuję mu się wyrwać. Waży jednak o dobre dwadzieścia pięć kilo więcej niż ja i ma bardzo silne ramiona, toteż nie mogę się wyswobodzić. – To boli.

– Nieee... Nic ci nie jest. Wszystko gra. Musisz tylko trochę wyluzować. –

Próbuje mnie pocałować, a ja z obrzydzeniem odwracam głowę. – Nie zachowuj się jak jakaś pieprzona suka! – syczy. Ponownie usiłuję się odsunąć. Teraz jestem już śmiertelnie przerażona.

– Puść ją, koleś – odzywa się spokojny głos po mojej lewej stronie.

Podnoszę wzrok i dostrzegam Jamiego Newmana.

– Odpierdol się, kutafonie – odpowiada Martin.

Wtem następuje coś strasznego, a jednocześnie wspaniałego. Jamie podchodzi, łapie Martina za gardło, przysuwa swoją twarz do jego twarzy i przewierca go absolutnie nienawistnym spojrzeniem.

– Powiedziałem, że masz ją zostawić, bo inaczej spuszczę ci zaraz dokumentny wpierdol... *kutafonie*.

Martin jest o jakieś osiem centymetrów wyższy od Jamiego, a przy tym kilkanaście kilogramów potężniejszy, lecz jad, z jakim Jamie wypowiedział groźbę, skłania Martina do natychmiastowego zwolnienia uchwytu. Odpycha Jamiego i robi krok w tył. Widać, że swym podtopionym w alkoholu umysłem stara się ocenić sytuację. Jamie wygląda na w stu procentach trzeźwego, toteż ewentualna walka byłaby raczej jednostronna. Zarazem jednak jeśli Martin ucieknie się do repertuaru swych ruchów tanecznych, sprawa może się okazać nie tak oczywista. Kiedy zacznie już wymachiwać ramionami, nie sposób przewidzieć, jakie zdoła poczynić spustoszenie.

Jamie wygląda naprawdę groźnie, a do tego jest trzeźwy, Martin słusznie więc uznaje, że w obecnym stanie najpewniej przegrałby konfrontację, i podnosi dłoń.

– Wyluzuj, koleś. Tak sobie tylko żartowałem.

– To idź sobie żartować gdzie indziej. – Nawet bez obcisłych rajtuzów i peleryny Jamie w moich oczach jest teraz superbohaterem.

Martin spogląda znów na mnie.

– Pierdolona suka – stwierdza i wskazuje mnie palcem.

Uroczo. Następnie pijany kretyń odwraca się i odmaszerowuje z powrotem do klubu.

Tracę go z pola widzenia pośród tłumu dziewczyn i zwracam się w stronę Jamiego.

– Bardzo ci dziękuję – mówię z wyraźną ulgą.

– Nie ma sprawy. Przechodziłem obok i cię zobaczyłem. Nie zamierzałem

cię niepokoić, ale wtedy zauważyłem, że facet zabiera się do rękoczynów.

– No tak. Cholernie się wystraszyłam. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdybyś się nie pojawił. Byłeś bardzo odważny. Dzięki.

– Odważny? Ty chyba sobie kpisz? Prawie narobiłem w gacie. – Emocje opadły, a Jamie jest teraz blady jak prześcieradło. – Cieszę się, że nie doszło do bijatyki. Zapewne spuściłby mi bęcki. Ostatni raz wygrałem bójkę, kiedy mój najlepszy kumpel popsuł mi ulubioną figurkę He-Mana.

– Zdawało mi się, że facet jest w porządku – przyznaję niepewnym głosem.

– He-Man? Bo jest. To Szkieletor jest tym złym.

– Nie... Martin. Ten gość, przed którym właśnie mnie uratowałeś.

– Ach. Najwyraźniej jednak nie jest. – Jamie wyciąga paczkę papierosów, wyjmując jednego i zapala. Spogląda na mnie i błędnie interpretuje mój wyraz twarzy. – Wybacz, ciągle zamierzam rzucić, ale jakoś nie mogę się do tego zebrać.

– Nie, nie. Mnie to nie przeszkadza. Mogę jednego?

Nie paliłam od siedmiu lat, lecz skoro przed chwilą prawie padłam ofiarą napaści seksualnej ze strony jednego faceta – i niewątpliwie zostałam wyratowana przez drugiego – uznaję, że w takiej sytuacji jeden papieros wielkiej szkody mi nie zrobi.

Okazało się, że Jamie był w okolicy tylko po to, by odebrać z centrum swojego kumpla Ryana i jego nową dziewczynę Isobel. Zaproponował, że podwiezie mnie do domu, ja zaś z wdzięcznością się zgodziłam.

Kiedy wygramoliłam się pod domem z samochodu, przystanąłam i spojrzałam na Jamiego. Oto mężczyzna będący przyczyną najbardziej upokarzającej chwili w moim życiu. Teraz jednak był też dla mnie rycerzem w lśniącej zbroi. Pamiętaj, że wciąż byłam jeszcze pijana, zapewne więc nie rozumowałam jak należy, ale uznałam, że drugi wyczyn przekreśla pierwszy.

– Jamie, chciałbyś może kiedyś jeszcze się ze mną umówić? – spytałam, wywołując jego szczere zdumienie.

Znowu ten uśmiech. Brakowało mi go.

– Tak, byłoby wspaniale. – Przez moment wygląda na strapionego. – Obiecuję, że nie będę gotować.

A zatem umówiliśmy się na drugą pierwszą randkę. Czy może raczej

będzie to trzecia randka? Nie podjęłam jeszcze decyzji.

Teraz, gdy wytrzeźwiałam i to wszystko spisuję, przyznam, że nie jestem pewna, czego naprawdę chcę, ale *wydaje mi się*, że dobrze zrobiłam, postanawiając spotkać się z nim ponownie. Jamie to od wielu lat jedyny mężczyzna, z którym nawiązałam nić porozumienia, i pomimo okropieństw Nocy Fajitas jestem całkiem świadoma, że taki facet jest w obecnych czasach i w moim wieku rzadziej spotykany niż kupa konia na biegunach.

Kocham Cię i tęsknię, Mamo.

Twoja doświadczona karmą córka Laura

BLOG JAMIEGO

NIEDZIELA, DWUDZIESTY PIERWSZY SIERPNI

Ponieważ żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, miałem wrażenie, że aby zainteresować swoją osobą przedstawicielkę płci przeciwnej, trzeba odkryć kobiecą stronę własnej duszy, otwarcie wyrażać uczucia i wykazywać się wobec innych osób „empatia” (cokolwiek to, u diabła, znaczy).

Tymczasem okazuje się, że aby ponownie umówić się z Laurą McIntyre, wystarczyło zagrozić innemu facetowi, że go pobiję.

I kto powiedział, że rycerskość nie jest w cenie?

Po katastrofie z fajitas usiłowałem przekonać samego siebie, że Laura i tak nie była warta zachodu, toteż nie ma znaczenia, że już jej nigdy nie zobaczę. Rzecz jasna, była to wierutna bzdura. Czy mi się to podobało, czy nie, naprawdę mi na niej zależało. Po raz pierwszy przyznałem to przed samym sobą tamtej nocy, gdy byłem w mieście z Ryanem i natknąłem się na Laurę napastowaną przez jakiegoś kutasa w tanim garniturze.

Nie jestem z natury człowiekiem brutalnym (ani też przesadnie odważnym), więc fakt, że nie zważając na niebezpieczeństwo, stanąłem w jej obronie, pokazuje, jak bardzo mi przypadła do gustu. Dzięki Bogu, facet nie okazał się jakimś mistrzem ju-jitsu, który pakowałby na siłowni po pięćset kilo i dupą łupał orzechy.

To strach, który dostrzegłem w jej oczach, zmotywował mnie do działania. Kiedy tylko zauważyłem jej spojrzenie, opanowała mnie jakaś piekielna, pełna oburzenia furia, dzięki której przeszedłem pomyślnie przez konfrontację, aby następnie wpłynąć na cichą i spokojną lagunę pełnej przerażenia świadomości, znaną także jako uczucie *Co ja, kurwa, właśnie zrobiłem?* No wiecie, kiedy uniknęliście jakichś poważnych obrażeń i wyobrażacie sobie, co by było, gdyby...

Kiedy moje serce się uspokoiło, odbyłem z Laurą całkiem miłą rozmowę. Ani razu nie wspomnieliśmy w niej o wybuchowych doświadczeniach gastrycznych bądź też kubłach na śmieci. Mój wizerunek rycerza w lśniącej zbroi uległ dalszemu wzmocnieniu, gdy zaproponowałem, że podwoję ją do domu. Dobre wrażenie trochę psuły niezbyt subtelne komentarze spitego Ryana i pijanej Isobel na temat Laury i mnie. Wydawały im się pewnie

szczytem przenikliwego komizmu, w rzeczywistości zaś były absolutnie żenujące.

Naprawdę nie powinienem był zapoznawać ich ze sobą nawzajem. Musiałem jednak coś zrobić, by Isobel przestała do mnie wysyłać SMS-y. Ryan zawsze gustował w „przyziemnych” dziewczętach, więc swego czasu uznałem, że to niezły pomysł. Szkoda tylko, że muszę wysłuchiwać opowieści o ich życiu erotycznym. Tracę przez nie apetyt.

Kiedy już wyrzuciłem Isobel i Ryana z samochodu pod domem jej matki – czemu towarzyszyły pożegnalne okrzyki „Juhuu! No, wejdz, Newman!” – przyszedł czas na o wiele przyjemniejszą przejażdżkę spokojnymi o wczesnym poranku ulicami. Laura pachniała perfumami, które miło pobudzały moje libido, przez co niełatwo było mi trzymać się właściwej strony jezdni.

Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo byłem zaskoczony, gdy zaprosiła mnie na następną randkę. Wydaje mi się, że sama siebie tym zdumiała, na to bowiem wskazywał wyraz jej twarzy, kiedy złożyła mi już propozycję. Nie chciałem jednak pozwolić jej się wycofać, zgodziłem się więc czym prędzej.

Wygląda na to, drodzy mieszkańcy blogosfery, że jeśli ześlecie na kogoś poważne zatrucie pokarmowe, aby wam wybaczył, uratujcie go przed pijanym obłapiaczem. Nie wiem, czy kiedykolwiek przyjdzie wam skorzystać w życiu z tej mądrości, jednak pamiętajcie, że to moja rada.

A więc przyszedł czas na trzecią randkę! Zazwyczaj ich organizacja nie nastrecza większych trudności. Na tym etapie podobacie się sobie wzajemnie, a trzecie spotkanie to tak naprawdę tylko pretekst, byście obydwójce znaleźli się w okolicznościach prowadzących do buzi-buzi. Moja sytuacja była jednakże dosyć nietypowa.

Istotnie miała to być trzecia randka, lecz zważywszy na kataklizm, do którego doszło podczas drugiej, przeczuwałem, że powinienem postarać się nieco bardziej, by mieć pewność, że Laura do końca wybaczyła mi nieszczęsne fajitas. Oznaczało to konieczność wydania niemałej sumy pieniędzy na ciekawą i ekscytującą rozrywkę, która zbliżyłaby nas do siebie – a jednocześnie nie spłoszyłaby jej swym zbyt ostentacyjnym romantyzmem. Może wyobrażacie sobie, że dobrym pomysłem byłaby wiejska przejażdżka rowerowa, a potem posiłek i napitek w jakimś pubie? A może jakieś przedstawienie w Londynie? Na przykład musical? Czy też coś mniej oczywistego, acz potencjalnie korzystnego, jak choćby kurs

garncarstwa? Koniec końców Patrick Swayze w *Uwierz w ducha* coś tym działał.

Być może rozważacie wszystkie te opcje i jeszcze jakieś inne, ani na moment nie zapominajcie jednak, że jestem *kompletnym kretynem*. W mojej nieskończonej mądrości postanawiam, że powinniśmy spędzić wieczór na gokartach. Tak, nie mylicie się, napisałem: *na gokartach*.

No bo wiecie, wpadłem w panikę. Pogoda nie była na tyle ładna, by wybrać się na rowery. Dobrego musicalu nie potrafiłbym rozpoznać, nawet gdyby ugryzł mnie w tyłek, a potem o tym zaśpiewał. Jeśli natomiast zabrałbym się do garncarstwa, bankowo koniec końców wyszedłby mi z tego gigantyczny gliniany penis.

Jakiś tydzień wcześniej uciałem sobie pogawędkę z ludźmi z pracy. Wspominali, jak wspaniale się bawili w zeszłym roku na firmowym wyjściu na gokarty. Wydało mi się to doskonałym pomysłem, więc zadzwoniłem zarezerwować dwa miejsca w ogólnodostępnej sesji jazd. Od czasu do czasu zdarza mi się oglądać Formułę 1, była to więc prawdopodobnie najlepsza okazja, by poczuć się trochę jak Jenson Button.

Zupełnie was nie zaskoczy, kiedy powiem, że Laura nie wydawała się równie podekscytowana tym pomysłem.

– Gokarty? – upewnia się, gdy dzwonię pochwalić się poczynionymi planami. Po tonie jej głosu mogę poznać, że niezbyt jej to odpowiada. Uparcie prę naprzód, bo kiedy już wbiję sobie do głowy jakiś pomysł, praktycznie nie sposób mi go wyperswadować.

– Tak! Będziemy się świetnie bawić.

– Yy... no dobrze – odpowiada, usiłując wykrzesać z siebie trochę optymizmu. – Zawsze to jakaś odmiana.

Słyszę w jej głosie niepewność i się wzdrygam. Podaję jej namiary na miejsce spotkania i rozmowa dobiega końca, po czym zaczynam nerwowo zacierać ręce. Oto kolejny z legendarnych randkowych impasów Jamiego Newmana. Jako że w rezultacie poprzedniego byłem zmuszony kupić nowy kubeł na odpadki do kuchni, nie jestem wcale taki przekonany, że tym razem zagrywka się opłaci.

W piątkowy wieczór spotykamy się przed ośrodkiem Gokartowa Zabawa. Wolny termin mieli dopiero o wpół do dziesiątej, więc bez względu na to, czy randka przybierze pomyślny obrót, czy też nie, na pewno będzie dosyć krótka. Laura sprawia wrażenie zdenerwowanej. Ja także. Domyślam się, że

powody mamy po temu zgoła odmienne.

– Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie robiłam – wyznaje.

– Ja też nie. Ale w końcu do odważnych świat należy, prawda?

– Hmm.

Podąża za mną do budynku, po czym podchodzimy do kontuaru. Ogromny metalowy hangar wypełnia brzęczenie gokartowych silników.

– Cześć – mówię do zarządcy toru, który stoi za ladą. Jest mniej więcej w moim wieku, a jego wyraz twarzy zdradza, że nie do końca wie, dlaczego znalazł się w tym miejscu.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta z nadzieją na odpowiedź przeczącą.

– Owszem. Zarezerwowałem godzinę jazdy dla dwóch osób. Na nazwisko Newman.

Facet podnosi długopis i prosi, byśmy się zarejestrowali. Podpisujemy kartkę papieru z paroma akapitami drobnym drukiem – z pewnością tak obmyślanymi, by zwolnić firmę z wszelkiej odpowiedzialności, jeśli podczas jazdy po torze któremuś z nas urwie głowę. Następnie wskazuje na mieszczącą się tuż obok przebieralnię i ruszamy, by odziać się w rajdowe kombinezony.

W odróżnieniu od strojów, które noszą kierowcy Formuły 1, te wyglądają jak ogromne śpiochy dla niemowląt. Jeszcze nigdy nie miałem na sobie kombinezonu jednoczęściowego, więc jest to dla mnie nowe doświadczenie. Laura prostuje się, krzyżuje ramiona na luźnym materiale i posyła mi nieokreślone spojrzenie.

– Nie czuję się zbyt jak Lewis Hamilton – zauważa. – No... chyba że jak Lewis Hamilton, kiedy miał dwa latka.

To powiedziawszy, wkłada kciuk do buzi i robi zeza.

– Nie wyglądamy w tym zbyt korzystnie, prawda? – pytam, robiąc parę szybkich przysiadów.

Laura dołącza do mojej zaimprovizowanej rozgrzewki i niebawem obydwójce zwijamy się ze śmiechu, rozciągając się i robiąc skłony w naszych ogromnych śpiochach.

Następnie do strojów dokładamy jeszcze kaski, przez co obydwójce wyglądamy jak figurki z głowami na sprężynach, które ustawia się na desce rozdzielczej w samochodzie. Zaczynam kręcić głową jak opętany, w dalszym ciągu wykonując energiczne wyrzuty. Obserwująca mnie Laura parę razy

prycha śmiechem.

– Gotowi do jazdy? – pyta zarządca toru, który wychylił głowę przez drzwi i patrzy na nas jak na parę wariatów. Szybko odzyskujemy panowanie nad sobą.

– Tak jest – odpowiadam. – Pełna gotowość bojowa!

Nie do końca wiem, dlaczego mówię jak pilot myśliwca, ale w całym tym stroju i kasku wydaje się to jak najbardziej na miejscu. Zarządca posyła mi miażdżące spojrzenie i rusza do wyjścia. My ruszamy za nim jak niesforne dzieci. Kiedy zmierzamy w stronę toru, Laura zaczyna kwilić jak niemowlę (czego na szczęście nie słyszeć spod kasku) i dreptać kaczym chodem. Ja się dołączam, budząc spory niesmak u gburowato wyglądających porządkowych, którzy stoją wkoło i czekają, aż zaczniemy.

Następuje ogłupiająca dziesięciominutowa pogadanka o kwestiach bezpieczeństwa, którą monotonnym tonem wygłasza nasz gospodarz. Kiedy zaczyna tłumaczyć, gdzie są toalety, niemalże tracę chęć do życia. Jednak wykład wreszcie dobiega końca i przychodzi czas, by się zabawić.

Przez następną godzinę (za którą, pozwolę sobie nadmienić, przyszło mi zapłacić skandaliczną sumę pieniędzy) dowiaduję się o wiele więcej na temat Laury McIntyre, niżbym się dowiedział, gdybyśmy spędzali czas na czymś bardziej prozaicznym, jak wycieczka rowerowa czy kurs garncarstwa. Jeśli chcecie poznać czyjąś prawdziwą osobowość, szczerze mogę wam polecić nieco rywalizacji z nutką niebezpieczeństwa.

Ledwie wyruszyliśmy z pozycji startowych, a Laura najeżdża na mnie od tyłu i popędza, bym jechał szybciej. Wszelkie oznaki podenerwowania, jakie zdradzała, gdy przybyliśmy na miejsce, zniknęły bez śladu. Najwyraźniej cierpi na jakąś przypadłość w rodzaju rozszczepienia osobowości, która ujawnia się na dźwięk odpalanego silnika dwusuwu. W jednej chwili jest radosną, piękną blondynką o szelmowskim uśmiechu, by zaraz przemienić się w nieumiejącego zapanować nad gniewem Mad Maxa.

– No dalej, zawalidrogo! – woła i wysuwa się, by mnie wyprzedzić, gdy ostrożnie wchodzę w ciasny zakręt. Nasze gokarty zderzają się, mój pojazd wpada w drgania, z których próbuję się wykaraskać, podczas gdy ona przemyka obok. Zważywszy, że wciąż pragnąłem wynagrodzić jej zatrucie pokarmowe, którego byłem sprawcą, powinienem zapewne pozwolić, by wyprzedzała mnie do woli. Jestem jednak heteroseksualnym samcem, co oznacza, że gdy siedzę w pojeździe o napędzie mechanicznym, nie potrafię ustąpić pola kobiecie. Czyniąc to, zawiódłbym cały rodzaj męski. Czuję

kopa adrenaliny i ruszam za moją towarzyszką – czy raczej moją *rywalką* – świadom, że stawką jest honor męskiej płci.

Następne trzy kwadransy mojego życia są tak upokarzające, że wręcz absurdalne.

Laura dubluje mnie. Dubluje mnie *dwanaście razy*. Najwyraźniej rozbudziłem w pannie McIntyre jakiś dotychczas skrywany talent do sportów motorowych, przy którym moje umiejętności kręcenia kierownicą są śmiechu warte. Idzie jej doprawdy fantastycznie. Podczas gdy ja niemal przy każdym wejściu w zakręt, niezależnie od prędkości, wpadam w poślizg, ona z wyśmienitym wyczuciem czasu dodaje gazu, perfekcyjnie objeżdżając wszystkie pachołki. W obliczu rywalizacji Laura staje się zgoła inną osobą... i to taką, której wolałbym nie spotkać w ciemnym zaułku. Za każdym razem, gdy przemyka obok, zwiększając swoją przewagę o kolejne okrążenie, częstuje mnie zniewagą lub prowokującym gestem, coraz to bardziej obraźliwym:

Pierwsze okrążenie: macha do mnie kpiąco.

Drugie okrążenie: „Przyspiesz trochę, Jamie!”

Trzecie okrążenie: „Gaz do dechy!”

Czwarte okrążenie: pokazuje mi język.

Piąte okrążenie: „Nawet moja babcia jeździ szybciej niż ty!”

Szóste okrążenie: „Dupa, nie kierowca!”

Siódme okrążenie: środkowy palec.

Ósme okrążenie: „Ciota!”

Dziewiąte okrążenie: „Dajesz mi się dymać!”

Dziesiąte okrążenie: Pokazuje jedną ręką, co mogę sobie zrobić tej nocy.

Jedenaste okrążenie: Pokazuje obydwoma rękami, co mogę sobie zrobić tej nocy.

Dwunaste okrążenie: Jak wyżej. Do tego wystawia język i rzuca: „Jesteś beznadziejny!”

Do momentu, gdy rozlega się brzęczyk oznaczający koniec jazdy, tak bardzo masakruje moje poczucie męskości, że jestem skłonny zapleść sobie warkoczyki i wskoczyć w sukienkę. Kiedy dotaczam się do mety, Laura wyskakuje ze swojego gokarta i zaczyna dziwaczny taniec zwycięstwa.

Oznacza to naprzemiennie kręcenie w moją stronę tyłkiem i podskakiwanie niczym zabawka na sprężynach, wraz z przyśpiewką o tym, jak wielkim jestem frajerem. Ja zaś stoję z pełnym politowania uśmiechem i przyglądam się jej wygłupom.

Powiniennem czuć się koszmarnie. Powiniennem czuć się upokorzony. Tymczasem jestem całkiem przekonany, że właśnie się zakochuję.

Oto ta przepiękna dziewczyna – która zdecydowała się dać mi drugą szansę po tym, jak nieomal ją otrułem – czuje się na tyle swobodnie, by zrobić z siebie kompletną idiotkę przed facetem, z którym widziała się trzy razy, oraz przed znudzonymi dozorcami toru.

Co tam, nawet podobały mi się jej wyzwiska, które rzucała, gdy byliśmy na torze. Nie znałem jak dotąd nikogo takiego jak ona. Jest wspaniała!

Ja pierdołę, to się wpakowałem.

Kiedy pozbywamy się kombinezonów i kasków, Laura w dalszym ciągu podśmiewa się z moich umiejętności kierowcy. Wychodzimy z budynku i zmieramy w stronę naszych samochodów, Laura zaś zaczyna kwestionować inne aspekty mojej męskości, w tym ogólne zdolności sportowe, moją siłę fizyczną, a nawet talenty łóżkowe. Odnoszę wrażenie, że odgrywa się za upokorzenie, którego doznała przy okazji incydentu z kuchnią meksykańską, toteż z (większą lub mniejszą) chęcią pozwalam jej tokować dalej. Poza tym robi to w sposób bardzo zabawny i nie umiem powstrzymać się od śmiechu.

– Udzielić ci może jakichś porad, Jamie, zanim odjedziesz do domu? – pyta, gdy otwieram drzwi od samochodu. – Nie chcielibyśmy przecież, żebyś się rozbił zaraz po wyjechaniu z parkingu, prawda?

– Ha, ha. Niezbyt pomagasz mi w budowaniu poczucia własnej wartości, kobieto.

Laura przywołuje na twarz całkiem odrażający wyraz cierpienia.

– Ojeejkuu. Czyżby malutki Jamie czuł się niekomfortowo? – pyta najgłupszym dziecięcym głosem, jaki kiedykolwiek dane było mi słyszeć.

– Odpuść już, McIntyre.

– Naprawdę? – Laura prostuje się do swoich metra sześćdziesięciu pięciu i robi krok naprzód. – A jeśli nie odpuszczę, to co mi zrobisz, Newman?

Opiera ręce na biodrach i hardo wypina pierś.

Jeszcze nigdy w moim życiu tak bardzo nie pragnąłem kogoś pocałować.

– Chyba będę musiał ci udowodnić, że moje zdolności gokartowe nijak się mają do mojej męskości.

– No dobra... a jak niby zamierzasz to...

Postanowiłem zaryzykować i ją pocałować. Szczęśliwie dla mnie (i dla przyszłych publikacji na tym blogu) pocałunek został odwzajemniony.

Nie jest to może najbardziej romantyczne miejsce na pierwszy pocałunek – stoimy na ciemnym parkingu, oparci o piętnastoletniego nissana micrę ze szramą na karoserii – a mimo to uznaję tę chwilę za jedną z najlepszych w moim życiu.

– No dobra – Laura rzuca wreszcie namiętym szeptem i odchyła głowę. – Na dziś, koleś, wystarczy tego dobrego.

Wydaję lekki jęk rozczarowania.

– W porządku.

W sumie należało się tego spodziewać. Kobiety już takie są – nie lubią zbyt prędko się odsłaniać. Działają jak w dobrym horrorze, w którym powolnie budowane napięcie i ujęcia sprawiają, że nie możesz usiedzieć w fotelu, prowadzą do ekscytującego punktu kulminacyjnego. Wtedy wreszcie można dokładnie przyjrzeć się rekinowi, a Robert Shaw zostaje przegryziony na pół. To akurat koszarne porównanie, ale mam nadzieję, że rozumiecie, o czym mówię.

– Spuszczenie ci łomotu strasznie mnie zmęczyło – mówi dalej Laura, odsuwając się ode mnie i od mojej gargantuicznych rozmiarów erekcji.

– No wiesz, zawsze możesz spuścić...

– Nawet nie myśl o tym, by kończyć to zdanie – przerywa mi.

Tak, zakochałem się. *Cholera*.

– Zmykam do domu, by się przed snem porządnie wykapać. Cała śmierdzą tym dieslem.

– Moim zdaniem pachniesz całkiem nieźle. Kiedy się znowu zobaczymy?

– Jeszcze nie wiem. Jestem zawałona robotą. Ale zadzwonię.

Laura wskakuje do samochodu i odpala silnik.

– Choć za kierownicą jesteś wolniejszy niż starszkwowie uprawiający seks, naprawdę podobał mi się ten wieczór, Jamie.

– Mnie też.

– Bez wątplenia całujesz lepiej, niż wchodzisz w zakręt. Na razie. –

Pokazuje mi język i na moment robi zeza. – Frajer!

I tyle ją widziałem. Dodając gazu, odjechała z parkingu swoim zarysowanym, malutkim nissanem, jak gdyby wciąż siedziała w gokarcie. Ja zaś stałem jeszcze przez parę chwil z durnym uśmiechem na twarzy. Zapewne pozostałbym tam nawet dłużej, gdyby nie fakt, że zarządca toru, który wyszedł zapalić, spoglądał na mnie spode łba.

Kobieta zawróciła mi dzisiaj w głowie – dosłownie i w przenośni. Niektórzy faceci pewnie byliby z tego powodu wściekli. Ja jestem najszcześliwszy na świecie.

PAMIĘTNIK LAURY

28 VIII, NIEDZIELA

Droga Mamo!

To mnie przypadło w udziale zorganizowanie czwartej randki.

Nie mogłam znowu zdać się na Jamiego. Bóg jeden raczy wiedzieć, co tym razem by wymyślił. Niezbyt uśmiechała mi się perspektywa spędzenia dnia na wspinaczce wysokogórskiej czy też połowie rekinów.

Może jestem trochę nie w porządku. Pomimo początkowych wątpliwości wyjście na gokarty koniec końców naprawdę mi się podobało. Po wiosennej przygodzie z Tomem i jego cholernym samolocikiem nie uważałam za wskazane brać udziału w jakichkolwiek aktywnościach, które wymagałyby ode mnie noszenia kasku. Dobrze, że jednak się zgodziłam, bo w sumie bawiłam się fantastycznie. Nawet jeśli przy okazji poznałam samą siebie z zupełnie nowej strony, której dotąd nie znałam – i wolałabym więcej nie oglądać. Od kilku dni muszę bardzo uważać, by nie zarobić mandatu za prędkość, a kiedy tylko widzę jakiś ostry zakręt, mam ochotę go ściąć z butem wciśniętym w pedał sprzęgła. Zauważyłam też, że przeklinam i częstuję obscenicznymi gestami innych użytkowników drogi. Możliwe, że w najbliższym czasie będę musiała zacząć się z tego leczyć.

Tak czy siak, zapowiedziałam, że na następną naszą randkę sama coś wymyślę. Koniec końców mamy przecież dwudziesty pierwszy wiek, a zatem kobieta powinna mieć prawo nadawać ton spotkaniom równie często jak mężczyzna. Niestety, za cholerę nie byłam w stanie wykombinować dla nas jakiejś aktywności. Wciąż wisiało nad nami widmo nocy z meksykańską kuchnią, a zatem wspólny posiłek odpadał. Nie znoszę kręgli, a jako że Jamie sprawia wrażenie typowego faceta, śmiem wątpić, by interesował go długi romantyczny spacer za miastem.

Hm. No to idziemy do kina! Owszem, nie jest to pomysł nazbyt kreatywny, ale tak naprawdę zależało mi po prostu na tym, by ponownie skosztować tych jego wspaniałe miękkich ust, więc to, gdzie pójdziemy, szczerze mówiąc, zupełnie mi zwisało. Nieistotny był wybór także samego filmu, rzuciłam więc tylko okiem na miejscowy repertuar i wypatrzyłam coś pod tytułem *Powiązani*. Wyglądało na to, że chodzi o thriller – idealnie. Żadna tam babska komedia romantyczna, której by nie zniósł, ani też głupi

film akcji, który w pięć minut zanudziłby mnie na śmierć.

Zdecydowałam się na niewielkie kino na nabrzeżu, pokazują w nim niezależne produkcje. Nie cierpię multipleksów – po części dlatego, że swąd zjeżdżającego popcornu wywraca mi żołądek na drugą stronę, po części zaś dlatego, że kłębi się w nich od ludzi chcących zaliczyć najnowszy naszpikowany efektami komputerowymi megahit. The Harbour Cinema to miejsce o wiele bardziej atrakcyjne.

Spotykamy się na parkingu przed budynkiem i muszę powstrzymać pragnienie, by z miejsca pocałować Jamiego – żadna dziewczyna nie lubi uchodzić za łatwą, więc pozwalam mu zaledwie na buziaka w policzek i wchodzimy. Kiedy proszę o dwa bilety na *Powiązanych*, kobieta za kasą dziwnie mi się przygląda. Już w tym momencie powinnam była się zorientować, że coś jest nie tak. Jej spojrzenie uchodzi jednak mojej uwadze, skupiona jestem bowiem na tym, jak ładnie Jamie dziś pachnie. Stoi tuż za mną, a woń, którą roztacza, sprawia, że trochę mięknią mi kolana.

– Recenzja brzmiała pozytywnie? – pyta mnie, gdy odchodzimy od kasy.

– Hm. Tak, całkiem nieźle – odpowiadam. Nie mam zielonego pojęcia, jak brzmiała recenzja. Zupełnie też mnie to nie obchodzi. O ile tylko będę mogła siedzieć w ciemnym pomieszczeniu u boku Jamiego, będę zadowolona.

Udajemy się na nasze miejsca. Poza nami w kinie jest zaledwie parę osób. W dodatku sami mężczyźni – to kolejna wskazówka, którą przegapiam za sprawą używanego przez Jamiego płynu po goleniu.

Nie puszczają żadnych zwiastunów, film zaczyna się od razu. Pierwsze minuty są całkiem zwyczajne. Śliczna dziewczyna idzie przez jakieś miasto w Europie Wschodniej. Gdy przechadza się po targu z kwiatami, w tle słychać odpowiednio lekką muzykę. Znienacka pojawia się duża czarna furgonetka i ktoś porywa ją z ulicy. Całkiem ekscytujące... aczkolwiek nie aż tak jak to, że noga Jamiego właśnie musnęła moją.

Na ekranie następuje ściemnienie. Po chwili naszym oczom znowu ukazuje się dziewczyna, tym razem przywiązana do krzesła. Jest naga. Muzyka nie jest już bynajmniej subtelna. Do pokoju wchodzi dwaj mężczyźni. Zbliżają się do dziewczyny i zaczyna się *akcja*. Następnym kilka minut jest co najmniej odkrywczym.

Jeśli nie jest to jeszcze ostra pornografia, to nagości, pomrukiwań oraz

płynów fizjologicznych jest z pewnością wystarczająco dużo, by uznać, że jesteśmy już na granicy. Do tego dochodzi paskudny akcent mizoginiczny, który sprawia, że wiercę się w fotelu bardziej niż podczas ataku hemoroidów w Cheetah Lounge. Cholera wie, co też sobie myśli Jamie.

Wyborowi filmu nie poświęciłam właściwie ani trochę uwagi, uznając, że to, na co pójdziemy, nie ma znaczenia. Wedle Jamiego zaś z pewnością świadomie uznałam, że najlepszym filmem na naszą czwartą randkę będzie jakieś obleśne europejskie sado-maso. Nie mam odwagi spojrzeć w jego stronę. Moja twarz jest pewnie czerwona jak burak. Czuję, jak wstyd rozpala mi policzki niczym piecyk konwekcyjny. Nie mam dokąd odwrócić wzroku, więc patrzę na ekran, na którym jeden ze wspomnianych gentlemanów najwyraźniej okłada nieszczęsną dziewczynę po czole swym penisem, podczas gdy drugi z niewiadomych przyczyn wsadza jej stopy do wiadra. Dlaczego – nie mam pojęcia. Być może mieszkańcy Europy Wschodniej uważają galwanizowaną stal za seksowną.

Okładanie penisem trwa jeszcze parę sekund. Nie do końca umiem stwierdzić, czy dziewczynie się to podoba, czy nie. Drugi z facetów zaczyna obmywać jej stopy w wiadrze lodowatą wodą. Jednocześnie zdaje się gorączkowo onanizować. Muzyka w tle przypomina teraz melodie, jakie spodziewalibyście się słyszeć na jarmarku. Ja zaś jestem już tak bardzo zawstydzona, że zapadłam się w fotelu na tyle głęboko, że kolanami uderzam w oparcie fotela przede mną.

Spójrz na Jamiego. Sprawdź, jaką ma minę. Nie! Nie mogę tego zrobić. Ale musisz, ty idiotko! Jeśli jest zniesmaczony, to niedobrze... Jeżeli się podniecił, to tym gorzej. Dyskretnie zerkam w bok, z przerażeniem wyobrażając sobie, że zobaczę, jak Jamie ślini się i zezuje – mniej więcej tak, jak robi to facet siedzący osiem miejsc dalej w tym samym rzędzie.

Jamie tymczasem płacze... ze śmiechu. Ma jeden z tych niemych ataków głupawki, które są niemal bolesne. Trzyma się za boki i wygląda, jakby ktoś wetknął mu w tyłek kij od miotły. Po policzkach ciekną mu łzy i ciągle wydaje z siebie wysokie piski, usiłując nie wybuchnąć śmiechem i nie zakłócić seansu wszystkim obecnym przygłupom, którzy bez wątpienia rozkoszują się każdą chwilą bicia dziewczyny członkiem.

Jak wszyscy wiemy, śmiech jest zaraźliwy. Moje policzki znów w jednej chwili czerwienieją, lecz już nie ze wstydu, ale z tłumionego rozbawienia. Powstrzymujemy się jeszcze przez kilka minut, lecz wtem gość machający penisem z mocnym polskim akcentem nazywa dziewczynę „fiutoholiczką”.

Jeszcze nigdy w życiu się tak nie uśmiełam. Jakby tego było mało, drugi facet ssie teraz palce stóp dziewczyny z uporem godnym lepszej sprawy, zarazem grzmocąc się po własnym mięsistym zadzie rakieta tenisową. Jamie i ja podrywamy się z siedzeń przy akompaniamencie syknięć otaczających nas przygłupów. Domyślam się, że nic tak nie wybija z rytmu masturbacji, jak para rechoczących idiotów.

Wybiegamy z sali, zataczając się ze śmiechu. Jamie, zgięty wpół, musi oprzeć się o ścianę i poczekać, aż obezwładniający atak radości nieco ustanie. Ja tymczasem siadam na pobliskim fotelu i staram się złapać oddech.

– Czemu... czemu uznałaś, że powinniśmy to zobaczyć? – pyta między napadami śmiechu. – Chyba mówiłaś, że recenzje były niezłe.

– Kłamałam! W ogóle... w ogóle nie czytałam recenzji.

– Doprawdy? Sam bym się nie domyślił. – Jamie ociera łzy. – Swoją drogą, chętnie bym na nie rzucił okiem – ciągnie, kreśląc w powietrzu słowa recenzji. – *Jeśli zamierzacie w tym roku zobaczyć tylko jeden film z facetem, który bije dziewczynę członkiem, niech to będzie ten. Pięć gwiazdek!*

Wywołuje tym u mnie kolejną falę rechotu i dopiero gdy zza winkła wypada kasjerka i każe nam się uspokoić, odzyskujemy panowanie nad sobą na tyle, by móc wyjść z budynku.

Ponieważ nasza przygoda z kinematografią urwała się niespodziewanie prędko, postanowiliśmy zajrzeć do pobliskiego pubu, gdzie Jamie niemiłosiernie naśmiewa się z tego, że zabrałam go na pornosy. Po tym, jak przy poprzedniej okazji wykpiłam jego zupełny brak umiejętności rajdowych, cieszy go, że może się teraz odegrać.

– Posłuchaj, Laura – powiedział, nachylając się do przodu i biorąc mnie za rękę. – Nie musiałaś w ten sposób dawać mi do zrozumienia, że lubisz, gdy ktoś ci ssie palce u stóp, trzeba było po prostu powiedzieć.

– Odwal się.

– I naprawdę, jeżeli cię to podnieca, mogę pójść kupić kiełbasę i bić cię nią po głowie. To niezupełnie to samo, ale jesteśmy wszak dopiero na czwartej randce.

Przez kolejny kwadrans wymyśla podobne żarciki, aż w końcu zaczyna mnie to nudzić, więc przysuwam się do niego i uciskam go namiętym pocałunkiem, który bez wątpienia budzi jego kiełbasę. Szczerze mówiąc, już w tym momencie miałam ochotę na seks, ale jeśli kobieta posiada w swoim

arsenale zagrywkę pozwalającą poznać wartość faceta, to polega ona na sprawdzeniu jego reakcji, gdy z manewrami łóżkowymi każe mu się *jeszcze troszeczkę* poczekać.

Żegnaliśmy się na parkingu, przez dziesięć minut niemalże kopulując w ubraniach oparci o jego forda mondeo. Zachowywaliśmy się jak dwoje napalonych nastolatków, którzy nie mają dokąd w *tym* celu pójść. Każdy osobnik z widowni *Powiązanych* zapewne z wielką chęcią poobserwowałby nasze działania. O ile tylko włożylibyśmy sobie na głowy wiadra.

W drodze do domu byłam pewna, że następnym razem, gdy zobaczę się z Jamiem, wreszcie pójdziemy na całość. Musiałam tylko wybrać najlepszy sposób na doprowadzenie do tej chwili, by wszystko odbyło się na moich warunkach.

Jak zawsze kocham Cię i tęsknię, Mamo.

Twoja bardzo rozproszona córka Laura

BLOG JAMIEGO

WTOREK, SZÓSTY WRZEŚNIA

Rany boskie, skwar dzisiaj gorszy niż w piecu. Nie jest to pogoda, jakiej można by się spodziewać po wrześniu na Wyspach Brytyjskich, ale jeśli liczycie na przewidywalny klimat, to pomyliliście kraje. Ludzie wysychają na ulicach. Psy ani na chwilę nie chowają ozorów. Miejscowi żule popodwijali nogawki dresów i chwilowo ograniczyli kradzieże sklepowe do supermarketowego działu z mrożonkami.

Nadspodziewany upał stanowił odpowiednie tło, by w niedzielny wieczór skonsumować mój związek z Laurą McIntyre. Podczas gdy cały naród zalewał się potem z powodu skwarne go babiego lata, my pociliśmy się w okolicznościach zgoła przyjemniejszych. Nie martwcie się, nie jestem aż tak głupi, by pisać tu o tym, uprzednio nie skonsultowawszy sprawy z Laurą. Mam na tyle rozumu, by wiedzieć, że chwalenie się całemu światu swoim pierwszym stosunkiem seksualnym z nową kobietą bez jej zgody nie jest zachowaniem premiowanym.

Zatem Laura dała mi swoje błogosławieństwo... a nawet stwierdziła, że sama chętnie kiedyś to przeczyta. Nie ma więc czym się stresować.

Okazuje się, że ona sama pisze pamiętnik, choć niechętnie o tym mówi. Pali mnie ciekawość. Jeszcze nigdy nie spotykałem się z kobietą, która tak jak ja lubiłaby pisać. Poważnie mnie niepokoi, że może być w tym lepsza ode mnie. Moje i tak już wrażliwe ego pisarza nie zniosłoby tego. Z jednej strony naprawdę chciałbym zajrzeć do jej pamiętnika, z drugiej wolałbym tego unikać, gdybym miał tam przeczytać coś zabawniejszego niż to, na co stać mnie samego.

Odniosłem wrażenie, że Laura jest gotowa posunąć się nieco dalej poza fazę publicznego okazywania uczuć, gdy zaproponowała, bym odwiedził ją wieczorem w domu. Kiedy kobieta zaprasza cię do siebie, zazwyczaj oznacza to, że sprawy zmierzają w pomyślnym kierunku. Choć wolałem nie chwalić dnia przed zachodem słońca, zadbałem o to, by w moim portfelu na wszelki wypadek znalazła się świeża prezerwatywa. Serce waliło mi szybciej niż zwykle, gdy zapukałem do jej drzwi. Naprawdę żywiłem sporą nadzieję, że tym razem będę miał okazję, no, wiecie... zapukać.

– Dobry wieczór, przystojniaku – z szelmowskim uśmiechem wita mnie

Laura.

– Chryste, wyglądasz olśniewająco – odpowiadam.

Nie ma w tym ani krztyny kłamstwa. Laura jest ubrana w klasyczną „małą czarną”. Jeżeli ktoś kiedyś wymyślił jakiś seksowniejszy strój, to mnie nie było dane go zobaczyć. Co więcej, kobieta w małej czarnej ma figurę wartą grzechu.

Sięgając po zgrane do bólu powiedzonko: „napalam się jak szczerbaty na suchary”. Czym prędzej powstrzymuję się od spekulacji na temat tego, co też może mieć na sobie pod sukienką, w przeciwnym razie spędziłbym zapewne następnych pięć minut na progu, śliniąc się i gapiąc na nią. Wręczam jej dopiero co kupiony w Tesco bukiet kwiatów i daję całusa.

Już się tak nie krzywcie. W moim mniemaniu kwiaty z Tesco są jak najbardziej do przyjęcia jako prezent na ostatnią chwilę. Myśl, że powinienem stawić się z bukietem, naszła mnie dopiero, gdy wyszedłem z domu. Przyznaję, powinienem był wpaść na to znacznie wcześniej i zajrzeć do któregoś z bezzasadnie drogich okolicznych studiów florystycznych, ale przynajmniej nie podjechałem na najbliższą stację Shella i nie zgarnąłem jakiegoś przesiąkniętego smrodem benzyny wiechcia.

Mieliśmy w planach zamówić jedzenie z dostawą, jednak Laura niespodziewanie informuje mnie, że przygotowała spaghetti bolognese.

– Nie bój się – uspokaja, gdy widzi wyraz mojej twarzy. – Zadbaliśmy, by mięso było świeże i należycie wysmażone. A gdyby nawet coś się stało, mamy tu dwie łazienki.

– Bardzo śmieszne.

– Na później mam też dla nas film. Mojej współlokatorki nie ma, więc będziemy mogli obejrzeć go w salonie.

Film? Salon? Nie są to słowa, które napalony gentleman spodziewałby się słyszeć, gdy właśnie na tę randkę zaplanował pierwsze bzykanko. Seans filmowy (no i konsumpcja przygotowanego posiłku) pochłona większość wieczoru, co pozostawi niewiele czasu na ciachanko. Ale być może taki jest właśnie zamysł Laury. Może woli stopniowo posuwać się do przodu, a nie od razu zabrać się do świńtuszonka.

Tak, to ostatnie określenie sam wymyśliłem.

Taki rozwój wypadków nie spotyka się z aprobatą ze strony mojego penisa. Nie jest on ani trochę zachwycony, a gdyby miał twarz, malowałby się teraz na niej wyraz głębokiego zawodu. Zarazem mój żołądek wyraża

pełną aprobatę dla dobywających się z kuchni Laury zapachów. Mnie samemu zupełnie wystarczyłaby miska makaronu z kurczakiem od lokalnego Chińczyka, ale domowa strawa zawsze stanowi lepszą opcję – chyba że o drugiej w nocy jesteś napruty jak messerschmitt, wtedy bowiem sprawdza się wyłącznie żarcie obfitujące w glutaminian sodu.

Wchodzę do salonu i siadam przy stole, a Laura szykuje posiłek. Zmaga się z makaronem, a tymczasem przez okienko łączące pokój z kuchnią wymieniamy się spostrzeżeniami dotyczącymi minionego dnia. Zanim oskarżycie mnie o bycie leniwym mizoginem, uprzedzę, że zaproponowałem jej pomoc, lecz powiedziała, że sobie poradzi. Najprawdopodobniej miała rację, gdy bowiem ostatnio pozwolono mi poszaleć w kuchni, dla nas obojga skończyło się to nieomal zgonem.

Uprzedzając wszelkie wasze podejrzenia co do ewentualnej powtórki z meksykańskiego kataklizmu, spaghetti okazuje się wyśmienite i nie pociąga za sobą żadnych negatywnych skutków (jeśli nie liczyć konieczności późniejszego wypuszczenia licznych gazów – tak już działa na mnie czosnek).

Podczas posiłku kontynuujemy pogawędkę o wszystkim i o niczym, choć muszę przyznać, że nieco rozprasza mnie miękki szept pończoch, jaki słychać za każdym razem, gdy Laura krzyżuje nogi. Słowa „Agent” oraz „Provocateur” moszczą mi się w głowie i bardzo trudno mi jest je wyprzeć. Jeśli mój penis miałby głos, wyśpiewywałby je teraz coraz to donośniej.

– A co to za film? – pytam.

Niech tylko będzie to coś krótkiego. Niech tylko będzie to coś krótkiego.

– *Slumdog. Milioner z ulicy.* Nigdy tego nie widziałam. A ty?

– Też nie, ale słyszałem wiele dobrych opinii.

A przede wszystkim obilo mi się o uszy, że skubaniec trwa dobre dwie godziny. *Szlag by to jasny trafił.*

– Wspaniale!

– Jak mniemam, absolutnie brak tam policzkowania penisami.

Odstawiamy talerze i siadamy oglądać film.

Chcąc oddać sprawiedliwość opowieści Danny’ego Boyle’a o życiu w bombajskich slumsach, należy przyznać, że udało nam się wytrzymać całe trzydzieści siedem minut, nim nasza uwaga skupiła się na bardziej ekscytujących działaniach. O ile gra aktorska, fabuła tudzież praca kamery

przedstawiają się całkiem przyzwoicie, o tyle nie mogą się równać z prześliczną kobietą, która ma na sobie obcisłą czarną sukienkę, wypila trzy kieliszki wina i czuje się nieco wstawiona.

Kiedy Slumdog (jego prawdziwe imię umknęło mojej uwadze) zbliża się do zgarnięcia wygranej liczącej dwadzieścia milionów rupii, sam również jestem coraz bliżej zdobycia nagrody głównej. Kiedy w końcu odkryłem, co też Laura chowa pod swą króciutką czarną sukienką, mój penis odbył metaforyczną rundę honorową i przybił piątkę moim jądom: czarne pończochy, frywolne czarne majteczki oraz podwiązki z czerwonymi kokardkami, jednym słowem, marzenie każdego pełnokrwistego mężczyzny. Jeśli z jakiegoś koszmarnego powodu miałbym po tej nocy nigdy już nie spotkać się z Laurą McIntyre, jej dzisiejsza kreacja zostanie zachowana na wieczne czasy w moim banku pamięci onanisty, by regularnie czynić z niej użytek.

Nie jestem pewien, czy w równym stopniu urzekły ją moje bokserki z Primarku, ale przynajmniej mam je dzisiaj pierwszy dzień na sobie, co, mam nadzieję, też się liczy. Trzeba przyznać, że Laura bez problemu wślizguje rękę pod ich elastyczną gumkę. Dziesięć kolejnych wysoce satysfakcjonujących minut później mówi coś, czym motywuje mój członek do kolejnej rundy honorowej.

– Chodźmy na górę – szepcze mi do ucha. W dziejach ludzkości zdarzały się już świetne pomysły, poczynając od „A może byśmy tak zeszli już z tych drzew?”, aż po „A gdyby tak polać to czekoladą i sprzedawać dwa razy drożej?”. Mimo to odważę się stwierdzić, że sugestia Laury McIntyre, byśmy udali się na górę, jest najgenialniejszą propozycją, jaką jeden przedstawiciel gatunku ludzkiego kiedykolwiek złożył drugiemu.

Nie jest to kiepska komedia romantyczna z lat osiemdziesiątych, toteż nie biorę Laury na ręce i nie zanoszę do sypialni. Pozwalam, by o własnych siłach wdrapała się po schodach na piętro – co bardzo mi odpowiada, ponieważ podążam tuż za nią i mogę dobrze przyjrzeć się jej tyłczkowi. Nie poprawiła podciągniętej sukienki, dzięki czemu dostrzegam górę jej pończoch. Mój penis otwiera teraz szampana i podskakuje na podium z rozbrzmiewającym w tle hymnem narodowym.

W sypialni panuje upał. Laura otwiera okna i wpuszcza przyjemny wiaterek. Zaciąga też zasłony, by nie urządzać sąsiadom darmowego seansu. Wieczór wciąż jest dosyć wczesny i z ogródków pobliskich domów dobiegają nas głosy.

Minutę po tym, jak znalazłem się na łóżku, jestem już goły, jeśli nie liczyć tanich gatek z Primarku. Laura pozwala, bym rozebrał ją z większości bielizny, co najwyraźniej przyniosło jej ulgę.

– Nieźle wygląda, ale przy takim skwarze cholernie się człowiek w tym męczy – przyznaje, ściągając pończochę z długiej i opalanej nogi.

– Mhm – to właściwie jedyna odpowiedź, na jaką mnie stać. Mój mózg był gotów eksplodować, kiedy przyglądałem się zsuwanej po udzie pończosze. Nie potrafiłbym oderwać od niej wzroku, nawet gdyby do pokoju wparował nagle trzytonowy byk z odbezpieczonym granatem w zębach.

Jest taki moment, gdy po raz pierwszy leżysz z kimś w łóżku i zdajesz sobie sprawę ze swojej całkowitej nagości. Zazwyczaj czuje się wtedy dziwną kombinację seksualnego podniecenia i neurotycznej niepewności. Przyglądanie się czyjemuś nagiemu i spoconemu ciału to zupełnie coś innego niż świadomość, że ten ktoś także widzi *twoje* ciało – ze wszystkimi jego skazami i niedoskonałościami. Na szczęście podniecenie seksualne zwykle w dziewięciu przypadkach na dziesięć bierze górę, a zmartwienia dotyczące własnego wyglądu znikają w rozpoczynającej się po chwili plątaninie ciał.

Gra wstępna nie trwa długo. Oboje tak chcemy. W przyszłości będzie jeszcze (mam nadzieję) mnóstwo czasu na sesje długiego i niespiesznego seksu, teraz jednak jesteśmy w stanie takiego podniecenia, że opóźnianie rozkoszy naprawdę nas nie interesuje. Mój członek jest doprowadzony do szału, więc szanse na zabawę dłuższą niż parę minut są mniej więcej takie jak na to, że Megan Fox zdobędzie Oscara za najlepszą rolę żeńską.

Wdrapuję się na Laure, spoglądam w jej ciemnoniebieskie oczy, składam delikatny pocałunek na jej ustach, a następnie powoli wsuwam się do środka i oboje wydajemy głębokie westchnienie. W dalszym ciągu patrzymy sobie w oczy, ja zaś przebiegam dłonią w dół jej długiej opalanej nogi, zachwycając się, jak miękko i zmysłowo...

– ŁAPEK!

Co to, do kurwy nędzy, było?

– GDZIE JESTEŚ, ŁAPEK?!

Przeraźliwe wołanie małej dziewczynki, dochodzące, zdawałoby się, wprost spod okna, rozbija nastrój niczym taran ciśnięty w szklaną tafelę.

– Co tu się, u diabła, wyrabia?! – krzyczę.

– Rany boskie... to dziewczynka z bloku po drugiej stronie ulicy – wyjaśnia Laura. – Ma kota. Cholerny sierściuch ciągle się gubi.

Na parę chwil wstrzymujemy się, nasłuchując kolejnych nawoływań zza okna.

Nic nie słysząc, więc znowu spoglądam w oczy Laury i wznawiam ruchy bioder, obserwując jej reakcję, podczas gdy...

– ŁAPEK!

Cholera.

– ŁAPEK, CHODŹ DO DOMU!

Teraz już naprawdę zaczynam wypadać z rytmu.

Ponownie hamuję... i obydwójce raz jeszcze czekamy na kolejny krzyk.

Tym razem cisza trwa dobrych kilka minut.

– Myślisz, że się poddała? – pytam.

– Tak. Zazwyczaj dość prędko sobie odpuszcza.

– No dobra.

Całuję Laurę i znowu zaczynam poruszać biodrami w tył i w przód.

Początkowo spodziewam się, że zaraz ktoś mi przerwie, lecz po chwili odzyskuję trochę rytmu, zapominam o Łapku i w pełni skupiam się na robocie. Niebawem Laura zaczyna głośno pojękiwać. Zbliża się do orgazmu, a moje ruchy stają się coraz szybsze. Z każdym pchnięciem jej jęknięcia przeradzają się w posapywanie.

Poruszamy się oboje, szybciej i szybciej... orgazm jest coraz bliżej, bo oto nasze ciała współdziałają w harmonii i...

– ŁAPEK!

Laura zaczyna się śmiać – trochę z idealnego wyczucia chwili dziewczynki, trochę zaś ze wściekłości i frustracji malujących się na mojej czerwonej i spoconej twarzy.

– Astrid? – odzywa się głos mężczyzny. – Przystaniesz wreszcie wołać tego durnego kota? Wróci, kiedy będzie miał ochotę.

Wnosząc po tym, jak irytująca zdaje się Astrid, strzelam, że Łapek dał w długą, aby tylko nie ogłuchnąć, i szybko nie zjawi się z powrotem.

– Ale, tatusiu! Ktoś go może przecież przejechać!

– Raczej nie. Już do domu, jestem pewien, że kot niedługo wróci.

Gość naprawdę zaskarbiłby sobie moją sympatię, zabierając hałaśliwą córunię do środka, gdyby nie to, że jak ostatni idiota postanowił dać jej na imię Astrid.

Nastrój nieco się ulotnił, zatem złążę z Laury i kładę się obok, podczas gdy ona przestaje wreszcie chichotać.

– Wybacz – mówi, obejmując moje ciało jedną nogą. – Gęsta tutaj zabudowa. Wszystko słyhać.

– Nie ma sprawy. Miejmy tylko nadzieję, że *nas* nikt nie słyhał.

– Staralam się być możliwie cicho. Ale nie było mi łatwo... Znasz się, Newman, na robocie.

Wybornie.

– Odnoszę wręcz wrażenie, że to ja powinnam teraz bardziej oddać się sprawie.

Choć raz cieszy mnie zamięłowanie, jakie Laura przejawia względem współzawodnictwa, oto bowiem zsuwa się w dół i zaczyna robić mi najlepszego loda od lat. Co prawda nie potrafi zmieścić w ustach moich jąder, jak to umiała Isobel, ale zarazem nie hałasuje jak tuzin zakatarzonych świń, przez co koniec końców należy jej się palma pierwszeństwa.

Jestem w siódmym niebie. Niebawem czuję, że ponownie zbliżam się do szczytowania. Kiedy Laura mnie liże, zanurzam się w fali obezwładniającej rozkoszy. To najwspanialsze uczucie, jakiego doznałem od miesiący, i chcę, by nigdy się nie...

– ŁAPEK!

Koniec końców obejrzelismy resztę *Slumdog. Milionera z ulicy* na przenośnym telewizorku Laury, uznając, że kiedyś Astrid pójdzie spać i da nam wreszcie spokój. Około dwudziestej trzeciej na ekranie pojawiła się lista płac i w końcu nieniekajeni mogliśmy się trochę zabawić. Zdołałem jakoś uwolnić się od myśli o Astrid i Łapku, muszę jednak przyznać, że zupełne odprężenie osiągnąłem dopiero, gdy należycie wykonałem zadanie, a Laura wtuliła się w moje ramiona w postkoitalnej błogości.

Zostałem u niej całą noc i następnego dnia spóźniłem się do pracy. Nic tak nie poprawia nastroju w poniedziałkowy poranek jak pobudka obok cieplej i miękkiej kobiety.

Podsumowując, noc była fantastyczna, aczkolwiek wydaje mi się, że już

nigdy nie spojrzę z sympatią na dzieci grające w łapki.

PAMIĘTNIK LAURY

19 IX, PONIEDZIAŁEK

Droga Mamo!

W chwilach właśnie takich jak ta naprawdę brak mi Twoich rad. Stało się coś, co sprawiło, że w głowie kręci mi się bardziej niż w pralce nastawionej na program „bardzo brudne”. Już wyjaśniam. Może gdy przeleję całą sytuację na papier, mój umysł się rozjaśni i pomoże mi to podjąć jakąś decyzję.

Kiedy ostatnio do Ciebie pisałam, opowiadałam o moim pierwszym razie z Jamiem. Pomimo uporczywych wysiłków dziecka sąsiadki, by zrujnować nam wieczór, kochaliśmy się z Jamiem – i było to doświadczenie naprawdę wyjątkowe. Nic tak nie podkreśla libido jak gorący, parny letni wieczór – nawet jeśli oznacza to mimowolne uczestnictwo we wszczętych przez pewną małą dziewczynkę poszukiwaniach zagubionego kota.

Mając już za sobą ten trochę niezręczny pierwszy raz, Jamie i ja rozpoczęliśmy coś, co da się jedynie opisać jako nieokiełznany seksmaraton. Przez kolejne siedem dni szliśmy na całość każdego wieczoru. Niekiedy dwukrotnie. Pod koniec tygodnia byłam tak wyczerpana usiłowaniami połączenia nowo odkrytego życia erotycznego z pracą, że oczy same mi się zamykały.

Zawsze kiedy jestem niewyspana, mam skłonność do nadmiernego ulegania emocjom, tak więc obawiam się, że w minioną środę trochę się zapomniałam, kiedy leżeliśmy po wszystkim w łóżku Jamiego, a ja się rozpłakałam.

– Co się stało? – spytał spanikowanym głosem. – Czy coś ci zrobiłem? Na pewno nie zapaściłem się w nie tę dziurkę, więc...

– Nie – uspokoiliam go, ocierając łzy z twarzy. – Nie chodzi o ciebie. Dzisiaj są urodziny mojej mamy.

– Ach. – Bo też co innego mógłby powiedzieć.

Jamie wiedział już, że Cię straciłam, Mamo, lecz nigdy nie zagłębialiśmy się w szczegóły tematu. Teraz jednak nastał dobry moment do rozmowy, toteż przez następnych kilka minut wyjaśniałam mu, co się stało.

– Mniej więcej trzy lata temu mój przyjaciel zmarł na raka – powiedział,

gdy wytłumaczyłam okoliczności, w których mi Ciebie odebrano. – Wiem, że nie może się to równać z tym, przez co sama przeszłaś, ale było to coś koszmarnego.

Delikatnie pocałował mnie w czoło. Rozpłakałam się ponownie – tym razem z odmiennych powodów.

– Jaka była? – spytał, obejmując mnie ramieniem.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak bezpiecznie. Opowiedziałam mu o Tobie wszystko. O sprawach dużych i małych. O tym, że wychowałam mnie samotnie, po tym, jak opuścił nas tata, i że zaharowywałam się, bym mogła pójść na studia. O tym, jak uwielbiałam jeść czekoladę i z nią eksperymentować, o godzinach spędzanych razem w kuchni, kiedy byłam małą dziewczynką i przygotowywałyśmy przeróżne słodkości... Co, gwoli ścisłości, sprawiło, że przed trzydziestką mam już trzy wielkie plomby. Opowiedziałam mu nawet o moich dwudziestych pierwszych urodzinach, kiedy zrobiłaś mi niespodziankę i zabrałaś mnie na wycieczkę do Rzymu.

– Dlaczego akurat do Rzymu? – spytał.

– Zawsze chciałam tam pojechać, odkąd tylko obejrzałam *Rzymskie wakacje*. Kiedy byłam jeszcze dziewczynką, Audrey Hepburn była moją idolką. Rzym to naprawdę cudowne miasto. Mama zaczęła chorować zaraz po powrocie z wycieczki, więc był to ostatni raz, kiedy mogliśmy miło spędzić czas ze sobą. To był najszczęśliwszy weekend w moim życiu.

– Miałaś świetną mamę – przyznał Jamie. – I zostały po niej takie dobre wspomnienia.

Przestaną już o tym pisać. Jest mi coraz trudniej, bo prawie nic nie widzę przez łzy.

A zatem zmiana tematu. Mówiąc krótko, sprawy z Jamiem układały się jak na razie wyśmienicie. Pierwsze parę potknięć naszej kwitnącej relacji udało się zamieść pod dywan (czy jak wolisz – wyrzucić wraz z metalowym kubłem) i wchodziliśmy oto w etap, zwykle określany przeze mnie drugą fazą działań, oznaczający najczęściej mnóstwo ciekawego seksu, rozrywkowe noce poza domem i szampańskie samopoczucie, dzięki któremu nawet w najbardziej stresujące dni chodzisz z przyklepionym do ust idiotycznym uśmiechem. Byłam bardzo szczęśliwa, a jest to uczucie, którego w ostatnich latach dojmująco mi brakowało.

Wtem na scenie pojawił się mój cholerny były Mike i postanowił wszystko zepsuć. Nie widziałam się z nim od ponad półtora roku i

osiągnęłam już etap, kiedy emocje po rozstaniu przeistoczyły się z nieustannego cierpienia, jakie odczuwałam przez pierwsze miesiące po tym, jak mnie porzucił, w delikatny sentyment. W zeszły piątek Mike Adams pojawił się w moim życiu i wywrócił je do góry nogami. *Po raz kolejny.*

Była pora lunchu i stałam za kontuarem, ciesząc się mniejszym ruchem. I nie skarżę się na to, że zbyt wielu klientów przychodzi do mojego sklepu, by zostawić część wypłaty, ale jeśli stoję na nogach przez pięć bitych godzin, miło od czasu do czasu urządzić sobie przerwę.

Popijałam właśnie kawę, przeżuwałam kanapkę z krewetkami i majonezem od Marksa i Spencera i marzyłam o bezceństwach, jakich wieczorem będę się dopuszczać z Jamiem. Moje myśli krążyły wokół kostiumu pokojówki, który od czterech lat tkwił na dnie szafy, oraz zagwozdki, czy do jego przedniej kieszonki zmieści się tubka żelu nawilżającego.

Marzycielski uśmiech ulotnił mi się z oblicza, gdy spojrzałam w stronę wejścia i dostrzegłam tam Mike'a. Był opalony i wyglądał irytująco zdrowo. Poczulałam się, jak gdyby trafił mnie piorun.

– Cześć, ptysiu – rzucił i podszedł w moją stronę.

Coś podskoczyło mi w żołądku. Ostatni raz odezwał się tak do mnie tego wieczoru, kiedy mnie porzucił. Tego samego wieczoru, po rozpaczliwym seksie, usiadł w pogniecionej pościeli i opowiedział mi wszystko o Le-Anne, która pracowała z nim na siłowni.

– Nic jeszcze ze sobą nie robiliśmy – zapewnił, jak gdybym miała się od tego poczuć lepiej. – Ale naprawdę przypadliśmy sobie do gustu. Nie wiem, co takiego w sobie ma. Po prostu świetnie się nawzajem rozumiemy.

...A przynajmniej na tyle świetnie, by rzucić w diabły nasz pięcioletni związek.

Wystarczy! Wszystko to opisałam na tych stronach już w zeszłym roku. Nie ma po co urządzać teraz powtórek. Nie muszę tłumaczyć, że wspomnienia wyplakanych łez i rozpachy napływają falą, gdy Mike podchodzi do kontuaru z tym swoim *jakże* uroczo nierównym uśmiechem na ustach.

– Co ty tu robisz, Mike? – z dystansu jakichś dziesięciu tysięcy kilometrów dobiega moje pytanie.

– Chciałem przyjść już wcześniej. Po prostu tak długo zbierałem się na odwagę.

– Co masz na myśli? – Upuszczam niedojedzoną kanapkę. Jakoś odszedł mi apetyt.

– Już od kilku tygodni przechodzę obok twojego sklepu. Za każdym razem, kiedy mam ochotę wejść, obsługujesz akurat klientów, więc nie wchodzę. Jak ci idzie interes?

– Idzie... idzie dobrze, dziękuję. A *dlaczego* w ogóle przechodzisz obok sklepu?

– Żeby cię zobaczyć, kotku. – Mike wygląda na autentycznie zasmuconego. – Tak bardzo za tobą tęsknię.

– Ty za mną tęsknisz?

– Oczywiście. Jak najbardziej.

– A co z *Le-Anne*?

Zdobywa się na minę świadcząca o poczuciu winy.

– Cóż, koniec końców jakoś nam się nie ułożyło. – Jego wielkie zielone oczy Irlandczyka patrzą głęboko w moje oczy. – Po prostu ona to nie ty, skarbie.

Nie sposób opisać mieszanki uczuć, które mnie w tym momencie dopadają.

Kilkakrotnie otwieram i zamykam usta niczym wygłodniały gupik, aż wreszcie zbieram się w sobie na tyle, by odpowiedzieć.

– Spotykam się z kimś – oznajmiam zdecydowanie zbyt gorączkowym tonem. W myślach pojawia mi się szczere i przyjazne oblicze Jamiego. – Na ciebie i na mnie jest już za późno.

Mike wygląda, jakby autentycznie miał się za chwilę rozplakać.

– Bałem się, że coś takiego powiesz. Powinienem wiedzieć, że ktoś cię zaraz zgarnie. Tak mi przykro, że cię zostawiłem. Byłem idiotą.

– Tak, byłeś.

– Ale teraz zdałem sobie z tego sprawę. Kocham cię, Laura. Zawsze cię kochałem. Czy tamten facet aż tak bardzo ci się podoba? Czy istnieje *jakakolwiek* szansa, byśmy byli razem?

Bóg mi świadkiem, że *nie mam pojęcia*. Powinam wywalić go za drzwi. Powinam mu powiedzieć, że ten pociąg już odjechał, powinam wykopać go za próg. Ale, niech mnie szlag, jednak tego nie robię.

Obraz twarzy Jamiego zastępuje w moich myślach wspomnienie pięciu

lat spędzonych z Mikiem: wakacje w Tajlandii; to, jak masował mi stopy; długi weekend w Paryżu; to, jak całował mnie po szyi tuż za uchem; Gwiazdka spędzona w domu jego rodziców w Donegal; dotyk jego dłoni przesuwających się po moich piersiach; jego uśmiech; jego zielone oczy...

Żeby to jasny szlag!

– Zostawiłeś mnie dla innej kobiety, Mike. – Staram się, by mój głos brzmiał choć trochę chłodno. Nie wychodzi.

– Wiem. Jestem idiotą. Zniszczyłem najlepsze, co przytrafiło mi się w życiu. – Obchodzi kontuar, podnosząc dzielącą nas przegrodę. – Laura, proszę cię. Umów się ze mną. Porozmawiajmy. A jeśli potem będziesz tego chciała, zostawię cię w spokoju.

Jakimś sposobem chwycił mnie za dłoń. Sama nie spostrzegłam kiedy.

– Nie wiem.

– To chociaż przez wzgląd na dawne czasy?

– Może, Mike. Może. Daj mi trochę czasu do namysłu. – Wygląda na cokolwiek rozczarowanego. – Ale pomysł brzmi nie najgorzej – dodaję i wtedy ponownie się uśmiecha.

W myślach z powrotem widzę twarz Jamiego. Czuję się potwornie.

– Świetnie. Zadzwoń do ciebie – oznajmia Mike. – Masz ten sam numer, prawda?

Oszołomiona rozwojem wypadków, kiwam głową.

– Wspaniale. – Odwraca się i dostrzega wchodzącą do sklepu parę starszków. – To ja już nie przeszkadzam.

Nawet nie drgnę, gdy nachyla się i całuje mnie w policzek. Co, u diabła, się ze mną dzieje? Facet przepuścił mnie przez emocjonalną wyżymaczkę, a teraz oto rozważam, czyby przypadkiem nie wpuścić go z powrotem do mojego świata. Zachowuję się jak ćpun, który spędził lata na odwyku i dopiero co uporządkował sobie życie, gdy wtem ktoś podsuwa mu skręta pod nos.

Wciąż osłupiała przyglądam się, jak Mike wychodzi. Wprost niewiarygodne wycucie czasu. Wreszcie spotkałam mężczyznę, który naprawdę, ale to naprawdę mi się podoba – a wnet z powrotem wtarabania się poprzedni i wywraca wszystko do góry nogami. Zżera mnie poczucie winy, że też w ogóle postanowiłam rozważyć spotkanie z Mikiem. Gardzę sobą, że tak łatwo mu uległam. Jamie nie zasłużył na takie traktowanie.

Ale jak niby miałam w takiej sytuacji zareagować? Przez pięć lat Mike był *całym moim życiem*. Jamiego znam od paru tygodni. Nie łączy nas podobna przeszłość... ani podobne wspomnienia. No i nie zapominajmy, że to przez niego nabawiłam się zatrucia pokarmowego.

No więc co jest gorsze, McIntyre? Złamać ci serce czy zafundować artyleryjską sraczkę? Dobre pytanie... *Cholera.*

Jestem podenerwowana, podekscytowana, zniesmaczona, zawstydzona i wkurzona – a wszystko to w równym stopniu. Jeśli istotnie postanowie spotkać się z Mikiem, przyjdzie mu naprawdę gęsto się tłumaczyć, muszę jednak przyznać, że pomimo upływu czasu chyba chcę wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. Miałam się jutro zobaczyć z Jamiem, ale raczej spróbuję się z tego wywinąć. Biedak zasługuje choćby na to, bym przemyślała wszystko na spokojnie, nim podejmę jakiegokolwiek związane z nim działania.

I co mi teraz, Mamo, poradzisz?

Twoja zdeorientowana córka Laura

BLOG JAMIEGO

ŚRODA, DWUDZIESTY PIERWSZY WRZEŚNIA

Kiedy tylko Laura odebrała telefon, wiedziałem, że coś z nią jest nie tak.

W jej głosie dało się słyszeć wahanie, którego nie była w stanie ukryć. Brzmiało to, jak gdyby tylko czekała na okazję, by się rozłączyć.

Aż do wczoraj za każdym razem cieszyła się z rozmowy ze mną, lecz kiedy po południu zadzwoniłem do niej do pracy, zauważyłem ewidentną zmianę. W przeszłości zdarzyło mi się już słyszeć podobny ton i zawsze był on oznaką nadchodzących złych wieści. Carla odzywała się tak przez cały miesiąc, nim wreszcie zebrała się na odwagę, by zakończyć nasz związek. Pod wieloma względami był to miesiąc gorszy od tych, które po nim nastąpiły. W przypadku Laury mogło być jednak inaczej, toteż starałem się stłumić ogarniające mnie poczucie paniki i usiłowałem się zdobyć na beztroski ton.

– To co byś chciała robić dziś wieczorem? – spytałem.

– Hm. Nie wiem. Właściwie to chyba zostanę w domu. Jestem dość zmęczona.

Hm. Kiedy rozmawialiśmy ostatnio w niedzielę, sprawiała wrażenie zainteresowanej kolejnym spotkaniem. Nie ulegało wątpliwości, że coś się stało.

– W porządku. No to może po prostu wpadnę i spędzimy razem trochę czasu?

– Sama nie wiem, Jamie.

Zimne, lepkie przeczucie, które zbierało mi się gdzieś na karku, przybrało na sile. Próbowałem je zignorować.

– Nie będę siedział długo, skoro jesteś zmęczona. Naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Nno dobra... Wpadnij jakoś tak wpół do ósmej.

Głos miała przytłumiony.

Może rzeczywiście była po prostu zmęczona. *A może doszła do wniosku, że ma ciebie dość.* Pożegnałem się i rozłączyłem z uczuciem ssania w żołądku. Nie miałem pojęcia, co też zrobiłem nie tak. Niczym jej już drugi raz na

pewno nie podtrułem. Z mojego punktu widzenia seks wychodził nam fenomenalnie – a jeśli sądzić po odgłosach, jakie z siebie wydawała, ona była podobnego zdania. Nie dopuściłem się żadnych towarzyskich faux pas (czym sam siebie zadziwiłem) i przy każdym nowym spotkaniu wznosiłem się na wyżyny uroku osobistego. Naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, w czym może tkwić problem. Kiedy więc wieczorem pojawiłem się pod jej drzwiami, towarzyszyła mi trwoga.

– Siema – mówi Laura z wymuszonym uśmiechem.

– Siema – odpowiadam. Sam jestem zbyt zaniepokojony, by silić się na uśmiech.

– Wejź, Jamie.

Dość formalne użycie mojego imienia nie wróży pomyślnie. Podobnie jak to, że gdy nachylam się, by ją pocałować, nader delikatnie odsuwa się w tył.

– Czy coś się stało, Lauro? – Ja też mogę się bawić w tytułowanie. Odpowiedź nie pada natychmiast, lecz wiem, że zniechęcony zwrot „musimy porozmawiać” pędzi w moją stronę jak cysterna, która oderwała się od naczepy.

Powiedz cokolwiek innego, dziewczyno. Powiedz, że dopadła cię opryszczka. Powiedz, że musisz wyjechać z kraju, bo namierzyło cię KGB. Powiedz, że kontaktowałaś się ze swoją rodzimą planetą i przyzywają cię z powrotem do Mgławicy Oriona.

– Musimy porozmawiać.

Kurwa mać.

– W porządku. – Wzdycham głęboko i idę do salonu niczym skazaniec prowadzony na szubienicę. Laura siada w fotelu po drugiej stronie pokoju, co jasno dowodzi, że zaraz powie coś nieprzyjemnego.

– Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że wygrałaś w totolotka, prawda?
– rzucam, usiłując rozładować sytuację.

Uśmiecha się bez przekonania.

– Nie.

– No to dawaj. Zakończ moje cierpienia. – Wskazuję na nią palcem. – Ale jeśli nie chcesz się już ze mną spotykać przez ten cholerny przypał z fajitas, to nie będę zadowolony.

– Chcę się dalej z tobą spotykać.

Cóż, tego akurat się nie spodziewałem. Nieśmiały, durny promyk nadziei zapala się w moim sercu.

– No to czemu masz minę jak buldog ciamkający obeszczane osty? – Nic na to nie poradzę. Kiedy się denerwuję, robię się ordynarny.

– Chodzi o to, że... Muszę... Nie chcę... ożeż kurwa mać.

Chowa twarz w dłoniach.

– Nie baw się w przędzarkę i przestań owijać w bawełnę. – Wiem, że to nie najlepszy moment na tego typu żarty, ale to silniejsze ode mnie.

– Mike, mój eks, zajrzał niedawno do sklepu. Chce się ze mną znowu zobaczyć. Mówi, że za mną tęskni i pragnie do mnie wrócić – oznajmia Laura bardzo szybko i na jednym wdechu, jak gdyby chciała czym prędzej to z siebie wyrzucić.

W takiej sytuacji mężczyzna bardziej panujący nad swoimi emocjami (i bardziej zaznajomiony z tajnikami kobiecego umysłu) poradziłby sobie o wiele lepiej. Ja spotykam się z Laurą dopiero od paru tygodni, tymczasem ten gość – o którym wspomniała mi dopiero jakiś tydzień temu podczas jednej z tych typowych licytacji „kto miał gorszego partnera”, jakie mają miejsce na początkowym etapie związku – był częścią jej życia przez pół dekady.

Oczywiście, że wciąż nie jest jej obojętny. *Oczywiście*, że nie mogła tak po prostu zignorować jego chęci powrotu. *Oczywiście*, że powinienem pozwolić jej się wytłumaczyć. Koniec końców najlepszym sposobem, by dowieść, że wymarzoną mężczyzną dla niej jestem właśnie ja, a nie facet, który bezceremonialnie porzucił ją półtora roku wcześniej, jest wykazanie się zrozumieniem i dojrzałością.

– CO, kurwa?! – niemal wrzeszczę.

– To skomplikowane, Jamie. On prosił mnie o spotkanie, a ja zgodziłam się, żeby móc to wszystko sobie poukładać w głowie... jego, ciebie... wszystko. Proszę, nie gniewaj się.

– *Nie gniewaj się?* Twój pieprzony były pakuje się z powrotem do twojego życia, a ty od progu nie wywalasz go na kopach?

– Jak mówiłam, to skomplikowane. – W jej głosie słychać teraz napięcie.

– Z mojego punktu widzenia sprawa wygląda całkiem prosto. Wolisz dać kolejną szansę palantowi, który cię zostawił, zamiast dalej spotykać się ze mną.

– Tego nie powiedziałam! Dalej chcę się z tobą spotykać. Po prostu muszę wiedzieć, co takiego Mike ma mi do powiedzenia. Byłam z nim przez lata.

Wstyd i upokorzenie wzmagają mój gniew. Zdecydowanie za bardzo się już nakręciłem, by teraz tak po prostu odpuścić.

– Aha, w porządku! To zupełnie logiczne, że powinienem siedzieć i czekać, aż się, kurwa, zdecydujesz, czy wolisz mnie, czy może jednak swojego byłego.

W mgnieniu oka podrywam się z kanapy i ruszam do wyjścia. Laura podąża za mną.

– To nie w porządku, Jamie!

– Wiesz, co jest nie w porządku? Nie w porządku jest, gdy już ci się wydaje, że naprawdę się dziewczynie spodobałeś, lecz okazuje się, że grzejesz tylko miejsce do czasu, aż wybranek jej serca powróci tryumfalnie na scenę. Mam nadzieję, że będziecie ze Wspaniałym Mikiem przeszczęśliwi.

– To nie tak!

– Gówna prawda! Suka z ciebie!

Otwieram drzwi i wypadam na zewnątrz.

Wiem, że zdrowo przesadziłem z reakcją. Zaczynam tego żałować już w chwili, gdy wchodzę na ulicę i kieruję się w stronę samochodu. Powinienem zawrócić, przeprosić i spróbować załagodzić sytuację. Wiem, że ta dziewczyna warta jest zachodu. Niestety, czuję się skrzywdzony, upokorzony i zły, toteż logiczne myślenie poszło w diabły. Wściekły odpalam silnik i odjeżdżam spod jej mieszkania. Laura stoi na progu ze łzami w oczach. Moje oczy również się zaszklily.

Od tych zdarzeń minęły dwie godziny, a ja wciąż jestem roztrzęsiony. Laura się nie odzywa, ja zaś ani myślę telefonować do niej. Za każdym razem, gdy nachodzi mnie ochota, by zadzwonić i przeprosić, przypominam sobie, że zgodziła się spotkać ze swoim byłym, choć podobno spotyka się przecież ze mną. To wprost niewiarygodne, że tak po prostu dopuściła go z powrotem do siebie! Jak mam konkurować z gościem, który może skrzywdzić Laurę, może porzucić ją dla innej kobiety, a mimo to i tak ma otwartą drogę powrotu, choć zniknął przecież na ponad rok? Laura ewidentnie chce sprawdzić, czy się zmienił – a jeśli nie, wrócić biegusem do mnie.

W takim razie niech się wypcha, bo ja za opcję rezerwową robić nie będę!

Pobieżna kwerenda w Google'u wykazuje, że istnieje wiele sposobów, by zostać mnichem. Myśl, że mógłbym mieszkać na zboczu jakiejś góry, setki kilometrów od najbliższej kobiety, wydaje mi się niezwykle atrakcyjna. Może nauczę się przy okazji wschodnich sztuk walki, a po dziesięciu latach powrócę i skrećę Mike'owi kark.

Moje życie jest do dupy.

PAMIĘTNIK LAURY

23 IX, PIĄTEK

Droga Mamo!

Jestem skończoną idiotką. Kretynką na medal. Pięciogwiazdkowym jełopem. Multimedialnym i wielowymiarowym ćwokiem najwyższego sortu.

Spotkanie z Jamiem przebiegło tak, jak się tego spodziewałam: zupełnie mu odwaliło.

Ale czy naprawdę mogę go za to winić? Żaden facet nie chciałby usłyszeć, że kobieta, z którą się spotyka, chce pogadać w cztery oczy ze swoim byłym. Chociaż nie spodziewałam się, że będzie *aż tak* świrował. Przyznam, że melodramatyczna scena, która zakończyła się tym, że wypadł z mojego mieszkania, wyszła mu całkiem widowiskowo.

Jeśli mam być szczerą, to poczułam się wtedy wyjątkowo podle. Kiedy obserwowałam, jak jego samochód z rykiem odjeżdża spod domu, wiedziałam, że prawdopodobnie zrujnowałam dobrze zapowiadający się związek tylko po to, by domknąć historię z Mikiem. Ale czy tego właśnie chciałam? *Domknięcia*? Czy może jakaś część mnie nadal kochała Mike'a i rzeczywiście była gotowa pozwolić mu do siebie wrócić? Wiem, że zgadzając się z nim spotkać, postąpiłam właściwie. Naprawdę szkoda, że musiałam przy tym skrzywdzić Jamiego.

Kiedy zamykałam frontowe drzwi, przeleciało mi przez głowę: oby Mike Adams naprawdę okazał się odmienionym człowiekiem wartym całego tego zamieszania.

Mike oczywiście zaproponował, byśmy się spotkali w rezerwacie przyrody Langtree Lakes. To cudowny park, w którym jeszcze jako para spędzaliśmy mnóstwo czasu. Wciąż zaliczam je do najpiękniejszych miejsc, w jakich dotychczas byłam, i pielęgnuję bardzo przyjemne wspomnienia długich spacerów, po których chodziliśmy do pubu The Langtree Arms na jakiś odświeżający napitek. Od momentu odejścia Mike'a nie byłam tam ani razu.

Istotnym problemem w rozstaniach jest to, że wiele ulubionych miejsc zniemacka staje się absolutnie niedostępnych. Często odnosiłam wrażenie, że lepiej byłoby chodzić z ukochanym po samych najgorszych spelunach.

Wówczas, nawet jeśli związek nie wypali, nie traci się wszystkich pięknych zakątków w okolicy, a jedynie faceta.

Wjeżdżam micrą na niewielki parking wysypany żwirem. Park wygląda dokładnie tak jak niegdyś. Ostatnie nitki babiego lata połyskują w zachodzącym słońcu, wieczór jest niezwykle ciepły. I wreszcie dostrzegam go...

Mike Adams. Siedzi na tej samej ławce, na której zawsze na mnie czekał. Całowaliśmy się na tej ławce. Raz w pewien gorący letni wieczór zdarzyło nam się nawet zrobić na niej coś więcej. Zupełnie jakbym cofnęła się w czasie.

Cyniczna część mojej osobowości podpowiada, że wszystko to stanowi jak najbardziej świadomy zabieg ze strony Mike'a, mający na celu przywołanie u mnie szczęśliwych wspomnień, bym nie myślała o karczemnych awanturach, w które obfitowała końcówka naszego pięcioletniego związku. Staram się jednak o tym nie myśleć. Rozdrapywanie przeszłości do niczego nie prowadzi, ja zaś pragnę przystąpić do tego spotkania z otwartym umysłem. Mike podnosi się z ławki i podchodzi do mojego samochodu.

– Cześć, śliczna – mówi z tym swoim zniewalającym irlandzkim zaśpiewem i jak prawdziwy gentleman otwiera mi drzwi.

– Cześć, Mike.

Dopadają mnie niepewność i podenerwowanie, dużo ryzykuję, zakładając, że Mike istotnie się zmienił. Teraz wszystko zależy od niego. Nie ulega wątpliwości, że pod względem fizycznym jest dokładnie taki sam. Gęste kasztanowe włosy ma zmierzwiłone jak zawsze. Wciąż nosi koszulę w kratę i czarne jeansy. Wciąż ma sylwetkę instruktora i porusza się z doskonałą gracją i opanowaniem.

Uspokój się, kobieto. Napalanie się nie wpłynie w najlepszy sposób na przebieg tego spotkania.

– Wspaniale znów tu z tobą być – przyznaje, zamykając za mną drzwi samochodu. – Przespacerujemy się tą trasą co zawsze?

– Czemu nie.

Mijamy pierwsze z jezior, którym rezerwat zawdzięcza swoją nazwę. Za piętnaście siódma słońce wciąż stoi na tyle wysoko, by spokojne wody były skąpane w leniwym blasku. Postanawiam przejść wprost do sedna sprawy.

– Więc dlaczego miałabym dać ci drugą szansę, Mike?

- Bo cię kocham.
- To nie wystarczy. W zeszłym roku złamałeś mi serce.
- Wiem... i bardzo mi przykro.

Przystaję i spoglądam na niego.

- Dlaczego, Mike? Dlaczego uciekłeś ode mnie do tej dwunastolatki?
- Ona miała dwadzieścia jeden lat – oponuje.
- Wiem. Świadomie przesadziłam.

Oto jeden z irytujących nawyków Mike'a. Nie umie się powstrzymać przed skorygowaniem błędu, nawet jeśli dobrze wie, że został popełniony z rozmysłem.

– Byłem głupi. Po prostu ona cały czas była obok mnie... a ty pracowałaś do późna.

– Staralam się rozkręcić własny interes!

– Ja wiem. Ale w rezultacie nie widywałem cię praktycznie całymi dniami, a Le-Anne zawsze mnie wspierała.

– Ale już nie wspiera, co? Miała cię dość, więc teraz chcesz wrócić do mnie, tak?

Odchodzę obruszona. Dogania mnie i łapię za rękę. Z jakiegoś powodu z przerażeniem przypominam sobie konfrontację z handlowcem Martinem na zewnątrz Cheetah Lounge. Tym razem jednak nie mam co wyglądać Jamiego Newmana.

– To nieprawda, kotku. Jak już mówiłem, z nią sprawa jest skończona.

– Dlaczego?

– Wiesz, kiedy już minęła pierwsza faza fascynacji seksualnej, odkryłem, że w tej dziewczynie nie było nic specjalnego. Dopiero mogąc cię z kimś porównać, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jesteś wyjątkowa.

Prawdopodobnie to najbardziej szczywany tekst rzucony w dziejach ludzkości. Jeśliby mu się przyjrzeć przez mikroskop elektronowy, nie znajdzie się w nim najmniejszej skazy.

– To nie tak, że tylko ja byłem zajęta – przypominam. – Ciągle gdzieś wychodziłeś ze swoimi kumplami. Wciąż pamiętam kłótnie, gdy zataczając się, wracałeś o drugiej nad ranem.

– Tak, byłem samolubny. Wiesz, po prostu trochę za bardzo... wyluzowałem. Uznałem związek z tobą za coś pewnego.

– Owszem. Tak właśnie było.

– Już nigdy nie będę się tak zachowywał. Jest mi koszmarnie bez ciebie. Nie ma dnia, żebym nie żałował, że sprawy nie ułożyły się inaczej.

– Masz na myśli to, że postanowiłeś zorganizować sobie namiętne bzykanko ze swoją asystentką?

– Przecież powiedziałem, że nigdy cię nie zdradziłem!

I oto powraca dawny gniew Adamsa. Tylko raz zdarzyło się, by eskalował do przemocy fizycznej, wtedy Mike popchnął mnie na ścianę i uderzył w głowę. Skrucha, którą wówczas wyraził, była równie głęboka jak ta, której wysłuchuję teraz.

– W porządku, Mike. Uwierzyłam ci wtedy, gdy mi to powiedziałeś, i w dalszym ciągu wierzę – zapewniam.

Bierze mnie za rękę i kieruje się na niewielki drewniany pomost, który prowadzi w głąb największego z jezior w rezerwacie. To kolejne nader romantyczne miejsce z naszej przeszłości. Zaczynają napływać wspomnienia. *Dobre* wspomnienia. A w miarę jak te głęboko zakorzenione powracają, z przykrością muszę przyznać, że te świeższe, dotyczące biednego Jamiego Newmana, stopniowo blakną.

– Wszystko, o co cię proszę – mówi Mike, spoglądając na mnie – to jeszcze jedna szansa. Zapomnijmy o przeszłości. Nie chcę odzyskać dawnego związku, chcę zbudować nowy.

Boże wszechmogący, jaki z niego nadal przystojny facet.

– Sama nie wiem, Mike. Musielibyśmy działać powoli.

– Wiem! Nie mam nic przeciwko. Zrobimy to na twoich warunkach.

Podjęcie decyzji zajmuje mi zdecydowanie mniej czasu, niżbym tego sobie życzyła.

– W porządku. Jeszcze jedna szansa – oznajmiam.

Nie jestem pewna, czy to słuszna decyzja, ale zieleń jego oczu, złoty blask słońca i niebieska toń jeziora robią, co mogą, by przekonać mnie, że i owszem.

Mike nachyla się i pozwalam mu się pocałować. Nie jestem pewna, czy robi to lepiej niż Jamie Newman.

– A zatem w sklepiku idzie ci nieźle, tak? – pyta, odsuwając się po pocałunku. Dosyć nagła zmiana tematu, lecz w pierwszej chwili nie zwracam na to większej uwagi.

– Nie najgorzej. Ostatnimi czasy sprzedaż wzrosła, lecz wciąż przydałaby się większa stabilizacja.

– Czyli jesteś nad kreską?

– Tak. Nareszcie.

– Świetnie to słyszeć. Z wielką chęcią znowu się do ciebie przyłączę.

Co?

– Co?

– No wiesz, w sklepie. Kiedy myślałem, by do ciebie wrócić, tego szczególnie nie mogłem się doczekać.

– Co przez to rozumiesz?

Czuję się zdezorientowana. Jedyne wkład Mike'a w działalność sklepiku to pięć tysięcy, które dał mi, kiedy zaczynałam. Od tej pory nawet przez chwilę nie wykazywał zainteresowania. Raz nawet przyznał, że jego zdaniem firma Thorntons sprzedaje lepszej jakości czekoladę. Tamtej nocy spał na kanapie.

– No wiesz, pomocy w sklepie. Ostatnio cienko u mnie z forszą. Zamknęli siłownię, więc od paru miesięcy jestem bez pracy.

Nie wierzę w to, co słyszę.

– A zatem czego ode mnie oczekujesz?

Mike nie zdobywa się na to, by spojrzeć mi prosto w twarz.

– Wiesz, jednak włożyłem w ten interes mnóstwo kasy, kiedy go otwierałaś. W pewnym sensie sklepik częściowo należy do mnie.

– Naprawdę?

Leniwe przedwieczne słońce nie jest w stanie stopić lodu w moim głosie.

– No. Nie sądzisz, że uczciwie byłoby, gdybym teraz coś z tego miał?

W tym właśnie momencie zdaję sobie sprawę, jaką jestem kompletną kretynką. Robi mi się słabo.

Zostałam koncertowo wycyckana. Mike'owi nie chodzi o to, byśmy byli razem. Jemu chodzi o robotę. Jemu chodzi o część moich dochodów. Ten odrażający skurwieli stracił pracę (i pewnie w tym samym momencie też dziewczynę), a teraz szuka u mnie wsparcia. Całe to gadanie o przeszłości, spacer między jeziorami, przeprosiny, urzekający uśmiech, głęboka zieleń oczu – wszystko to *gówno prawda*.

A ja łyknęłam tę ściemę jak pelikan cegłę. Dokładnie tak jak za każdym razem, kiedy wracał późno do domu i tłumaczył, że był z kumplami. Wówczas mu wierzyłam, ale teraz? Teraz to wreszcie do mnie dotarło! *Bywał wtedy u niej, durna cipo.*

Jestem bliska łez. Ogarnia mnie pełne beznadziei poczucie zdrady, frustracji i żalu nad sobą. Zupełnie jakby ponownie mnie rzucił. Za chwilę pewnie w tym jakże pięknym miejscu rozpłaczę się przed mężczyzną, który przemienił moje życie w koszmar. Przed mężczyzną, któremu ponownie zaufałam, robiąc z siebie zupełną idiotkę.

W myślach znów widzę szczere, uczciwe oblicze Jamiego Newmana... a przede wszystkim jego oczy, w których pojawił się ból, gdy powiedziałam mu, że spotkam się z Mikiem. Jeśli miałabym pod ręką lusterko, założę się, że taki sam wyraz twarzy pojawiłby się teraz w moim odbiciu.

Żal i wzgarda dla samej siebie natychmiast przeradzają się w gniew. Pozwoliłam Mike'owi zrujnować najwspanialsze, co mnie spotkało w życiu. Dobrego faceta (przyznaję, o koszmarnych zdolnościach kulinarnych) zamieniłam na żalosego tchórze.

– Wszystko w porządku, kotku? – pyta mnie rzeczony tchórz. – Przyznasz, że to, co mówię, ma sens, prawda? – ciągnie, nieświadom zamętu w mojej głowie. – To spróbujemy? Mogę być w sklepie już od poniedziałku. Będzie wspaniale!

Wiesz, Mamo, że do tej pory nie zdarzyło mi się jeszcze uderzyć nikogo pięścią w twarz? To całkiem satysfakcjonujące doświadczenie. Nawet jeśli oznacza, że ze względu na pulsujący ból w ręce poczynienie wpisu w pamiętniku zajmie potem całe wieki.

Odciągam ramię w tył i usiłuję sobie przypomnieć, jak to robią goście w filmach akcji. Układam dłoń w pięść i z rykiem wściekłości wyprowadzam cios, który trafia Mike'a prosto w lewy policzek. Nie jest to najpotężniejsze uderzenie w dziejach. W innych okolicznościach Mike otrząsnąłby się po nim bez problemu, ale teraz udało mi się kompletnie go zaskoczyć. Wydaje z siebie pisk i przewraca się do tyłu... przez co spada z pomostu wprost do jeziora.

Nachylam się i patrzę, jak szamocze się w wodzie.

– Pierdol się, parszywy gnojku! – drę się najgłośniej jak umiem. – Nie mogę uwierzyć, że dałam ci jeszcze jedną szansę!

Ptaki z pobliskich drzew podrywają się z trzepotem skrzydeł.

– Jesteś najżałośniejszym, najbrzydliwszym chujkiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam!

– Oszalałaś! – wyje Mike, jedną ręką trzymając się za żuchwę, drugą zaś usiłując się chwycić pomostu.

– Chyba tak. Bo jak inaczej mogłam uwierzyć choćby w jedno twoje słowo! Przez ciebie zrujnowałam naprawdę dobrze zapowiadający się związek z Jamiem!

– Kim, do cholery, jest Jamie?

Gdybym mogła go walnąć jeszcze raz, na pewno bym to zrobiła. Gdybym mogła urwać mu penisa i wsadzić go w tyłek, na pewno bym tak uczyniła. Z braku wspomnianych możliwości pokazuję mu jak najwścieklej dwa środkowe palce i zabieram się z pomostu. Nie zwracając uwagi na jego nawoływania, żebym wróciła i pomogła mu wydostać się z wody (później przypomniałam sobie, że nie umie pływać – jakaż to ogromna szkoda), odchodzę znad jeziora, kierując się w stronę parkingu.

Nim docieram do Rysia, gniew trochę słabnie, ustępując miejsca łzom, które napływają mi do oczu, gdy odjeżdżam. Płacę tak rozpaczliwie, że kawałek dalej muszę zjechać na pobocze, aby to wszystko z siebie wyrzucić. Czuję się wykorzystana, łatwowierna i głupia... ale to nie dlatego płacę. Płacę na myśl o uśmiechu Jamiego Newmana, płacę wobec faktu, że prawdopodobnie nigdy więcej już go nie zobaczę, i to przez Mike'a, kurwa, Adamsa.

Przelanie tego na papier zajęło mi, Mamo, dobre trzy godziny. Czuję się wykończona. Na dodatek napieprza mnie ręka. Środki przeciwbólowe przestały już działać. Położę się spać i spróbuję zapomnieć o całym tym tygodniu. Jutro zobaczę się z Timem i jest nadzieja, że trochę terapii zakupowej na mieście sprawi, że poczuje się lepiej. Mam tylko nadzieję, że nie natknę się na żadne fikusy. Na ich widok pewnie bym się zabiła.

Już dawno nie tęskniłam za Tobą tak bardzo jak teraz, Mamo.

Twoja zrozpaczona i wyczerpana córka Laura

BLOG JAMIEGO

NIEDZIELA, TRZYDZIESTY PAŹDZIERNIKA

Płacz w obecności kobiety, która dzierży w dłoniach twój interes, nie jest najlepszym sposobem świętowania Halloween, lecz w piątkowy wieczór to właśnie stało się moim udziałem. Doświadczyłem też nader istotnego objawienia co do przyszłości swojego życia... ale dojdziemy do tego w odpowiednim momencie. W pierwszej kolejności niechaj wyjaśnię sprawę z płaczem.

Zaczęło się od imprezy. Ściślej mówiąc, od imprezy *w pracy*. W tego typu zbiegowiskach uczestniczy zazwyczaj zbieranina przeróżnych istot ludzkich, które w innych okolicznościach nie spędzałyby razem czasu wolnego. Jednak w tym przypadku zostają wmanewrowane w spotkanie towarzyskie, zaaranżowane przez szefostwo w celu umacniania atmosfery współpracy i krzewienia dobrych relacji między współpracownikami.

Zamiary organizatorów, co oczywiste, nigdy się nie spełniają, toteż tego typu imprezy *zawsze* okazują się całkowitą porażką. Jeśli jednak kadra kierownicza organizowałaby podobne eventy w pełni świadomie, mając na celu doprowadzenie tłących się od dawna konfliktów do pijackiego apogeum, wywołanie zniszczeń wśród drogocennego sprzętu biurowego oraz stworzenie niewiarygodnego wręcz poziomu zażenowania nastającego w poniedziałek rano, imprezy te należałoby uznać za pierwszorzędny sukces.

To akurat przyjęcie firmowe jest wymysłem Alexa, redaktora działu wiadomości. Alex jest typem gościa, z którym nikt nie chciałby utknąć w jednej windzie. Morale w redakcji od miesiący dołowało, Alex postanowił więc, że się postara, byśmy wszyscy znowu poczuli się jak doceniani członkowie jednej drużyny. Rzecz jasna, impreza musi mieć charakter balu przebierańców. Oto pewien fakt, który moim zdaniem nie podlega dyskusji: nikt tak naprawdę nie lubi balów przebierańców. Jeśli jutro władze ogłosiłyby zakaz ich organizowania, nikt by się tym nie przejął. Dlaczego? Ponieważ całe tygodnie poprzedzające taką imprezę zamartwiasz się wyborem stroju i tym, ile będzie cię kosztował. Dochodzi do sytuacji, że albo każdego popołudnia grasujesz po sklepach dobroczynnych, aż w końcu znajdziesz skórzaną kurtkę, choć trochę przypominającą tę noszoną przez

Indianę Jonesa, albo też poddajesz się i kupujesz któryś z paskudnych, masowo produkowanych kostiumów, sprzedawanych w paczkach. Badziewie rozpada się, nim dotrzesz na przyjęcie. Następnie zdajesz sobie sprawę, że każdy ma strój sto razy lepszy od twojego i że wyglądasz jak dziecko specjalnej troski, które na szkolnych występach zawsze stoi gdzieś z tyłu i patrzy tęsknie w kierunku wyjścia ewakuacyjnego.

Następnym razem, gdy będziecie na balu przebierańców, policzcie, ile osób o wpół do dziesiątej w dalszym ciągu ma na sobie kompletne stroje. Jeśli więcej niż połowa, to moje gratulacje, bo znaczy, że pracujesz w przemyśle rozrywkowym. Rozważałem, czy na tę akurat imprezę nie stawić się w zakrwawionym kaftanie bezpieczeństwa z zawieszoną na szyi tabliczką z napisem „Alex po załamaniu nerwowym”, ale koniec końców jednak się rozmyśliłem.

Z braku inspiracji (i z powodu lodowatego zimna za oknem) decyduję przebrać się za Neo z *Matrixa* – co wymaga przyodziania cudownie grubego, długiego czarnego płaszcza, czarnych jeansów, czarnej koszulki oraz pary tanich okularów przeciwsłonecznych, które upolowałem w supermarkecie. Wyglądam jak ostatni palant. Ale jestem przynajmniej dobrze opatulonym palantem, a to się liczy.

Najbardziej przygnębiającym aspektem przyjęć biurowych jest to, że urządzi się je w *biurze*. W pracy. W ostatnim miejscu na świecie, które można skojarzyć ze słowem „zabawa”. Nieważne, jak wiele ślicznych dekoracji zawieszają, by zakryć białe tablice i szafki na dokumenty, czy też jaka muzyka taneczna będzie ryczeć pośród pracowniczych boksów, i tak dalej tkwi się w tym samym cholernym miejscu, w którym spędziło się już tego dnia bitych osiem godzin. Kiedy docieram na imprezę, muszę zwalczyć w sobie chęć sprawdzenia skrzynki e-mailowej i przekonania się, czy ostatnio poczynione przeze mnie sugestie marketingowe spotkały się z powszechną akceptacją.

Inni poświęcili wymyśleniu swoich kostiumów więcej wysiłku. Jest więc dwóch piratów, jeden ninja i jeden Doktor Who. Nieznośnie irytujący tercet z personalnego przyszedł poprzebierany za Harry’ego Pottera, Rona oraz Hermionę. Pete, chudy asystent na pół etatu z działu poligrafii, zdecydował się na strój Wolverine’a z komiksu *X-Men*, co w jego wypadku oznaczało postawienie swych rudych kudłów na sztorc i przymocowanie do rąk za pomocą taśmy izolacyjnej paru rozprostowanych wieszaków na ubrania. Clare, masywna panna pisząca o stylu życia, najwyraźniej nie może się

pogodzić z odejściem lat dziewięćdziesiątych, przyszła bowiem w kostiumie Lary Croft. Alex, który ostatnimi czasy balansuje na granicy zdrowia psychicznego, przebrał się za Jokera z *Mrocznego Rycerza*, który to strój w powszechnym przekonaniu *bardzo* do niego pasuje. Podsumowując, mamy do czynienia z różnorodną zbieraniną niedopracowanych, skleconych na ostatnią chwilę strojów. Pobliskie sklepy dobroczynne miały najwyraźniej prawdziwe żniwa.

Ponieważ wyglądam jak starszy i grubszy brat Keanu Reevesa oraz ponieważ jest piątkowy wieczór, wpół do dziewiątej, a ja przebywam w biurze otoczony ludźmi, których z ledwością znoszę nawet za dnia, postanawiam upić się tak straszliwie, jak to tylko możliwe.

I trzeba przyznać, że wychodzi mi to koncertowo. Do dwudziestej drugiej udaje mi się wysuszyć trzy czwarte butelki jacka daniel'sa i zaczynam nabierać przekonania, że w płaszczu i okularach przeciwsłonecznych wyglądam naprawdę fajnie. Wysłałam e-maila do redaktora naczelnego, w którym żądam, by natychmiast zatwierdzono moje genialne pomysły marketingowe, w innym bowiem wypadku spoliczkuje jego żonę.

Chichocząc, wciskam „Wyślij”. Wątpię, czy będę tak samo chichotał, kiedy w poniedziałek rano stawię się w robocie. Niemniej jednak w tym momencie nastrój mi dopisuje i dobrze się bawię... o ile za zabawę można uznać to, że stoję na biurku w grubym skórzanym płaszczu, od którego poci mi się tyłek, i pociągając raz po raz z butelki whiskey, wyśpiewuję na całe gardło *Poker face*.

Clare, przebrana za Larę Croft ekspertka od stylu życia, dołącza do mnie na blacie biurka i w kiepsko skoordynowanym tańcu ociera się o moją nogę, wywołując tym aplauz pośród zgromadzonych wokół imprezowiczów. Dziewczę nie jest bynajmniej zwiewne, toteż biurko w każdej chwili może się pod naszym ciężarem załamać. Zachowuję jeszcze na tyle trzeźwości umysłu, by stwierdzić, że powinniśmy zejść na ziemię, nim przyjdzie nam spędzić parę godzin na wypełnianiu protokołów z wypadku, tak więc pomagam mojej spontanicznej tanecznej partnerce w opuszczeniu się na podłogę.

– Dziękuję, Neo! Ty mój bohaterze! – skamle i zarzuca mi ramiona na szyję. – Bardzo seksownie w tym wyglądasz – dodaje.

Wszelkie zarazki czy bakterie, które mogły do tej pory czaić się w zakamarkach mojej twarzy, zostają natychmiast unicestwione jej alkoholowym tchnieniem.

– Dzięki. – Staram się odpowiedzieć na komplement uwagą, która byłaby choć na poły prawdziwa. – Ładny masz warkocz.

Clare się śmieje i parokrotnie uderza mnie nim po twarzy.

– Niegrzeczny chłopczyk.

Nie do końca wiem, co takiego niegrzecznego jest w komentowaniu czyjeś fryzury, ale nie wdaję się w szczegóły. Stężenie alkoholu w mojej krwi jest już sporawe, a co za tym idzie, Clare w swych króciutkich szortach zaczyna wyglądać *naprawdę nieźle*... o ile przymknąć oko na cellulit tudzież nieco niepokojące zachowanie jej obfitej lewej piersi, która usiłuje wydostać się na wolność spod błękitnego topu.

Tak. Macie absolutną rację. Stało się właśnie to, czego można się było spodziewać. Pewne rzeczy są w życiu nieuniknione. Jedną z nich jest spicie się na biurowym przyjęciu i migdalenie z kimś absolutnie niewłaściwym.

Mija następne pół godziny, nim moje upojenie alkoholem osiąga stopień, w którym Clare zaczyna się wydawać *naprawdę seksowna*. Patrzę, jak stoi obok faksu i zabawia się wieszakami Pete'a. Co chwila puszcza mi przelotne spojrzenia o wiadomym wydźwięku. Widać, że jej plany dotyczące mojej osoby na ten wieczór zakładają coś więcej niż tylko tańce na biurku. A zresztą, co mi szkodzi, hm? Koniec końców jestem młody, wolny i z nikim niezwiązany!

Jasne, Clare nie jest najszcuplejszą dziewczyną na świecie (jestem całkiem pewien, że chłopaki w dziale dostaw przezywają ją „ciężarówką”), ale ma atrakcyjną buzię i fajny warkocz... o czym już zresztą była mowa. Od ostatniego spotkania z Laurą upłynęło już niemal sześć tygodni, nie ma więc powodu, żebym nie mógł spróbować czegoś z Clare. Zabawienie się z nową kobietą powinno mi dobrze zrobić. Może zdołam się dzięki temu wydobyć z oparów przygnębienia, które duszą mnie od ponad miesiąca. Tęsknię za Laurą jak pies i mam już tego serdecznie dosyć. Przygoda z Clare będzie zatem idealnym sposobem, by się otrząsnąć.

Każdy, kto kiedyś został porzucony i podobnie jak ja szukał pocieszenia gdzie indziej, będzie wiedział, że ten sposób rozumowania *zawsze* jest konstruktywny – i że przelecenie prawie nieznannej laski parę tygodni po tym, jak złamano ci serce, to *zawsze* najlepszy sposób na uporanie się z bólem. *Taa...*

Podchodzę do Pete'a, który właśnie tłumaczy Clare, że szpony Wolverine'a zbudowane są z metalu zwanego *adamantium*. Puszczam mu

spojrzenie naładowane sporą dawką *idźstądPeteantium*. Pete łapie aluzję.

– Czyżbyśmy wrócili w nadziei na kolejny taniec? – zagaduje Clare.

– A i owszem. Troszkę ocierania jeszcze nikomu nie zaszkodziło, prawda?
– odpowiadam, niepewnie poruszając biodrami.

To zdumiewające, jak nadmierna ilość alkoholu jest w stanie przemienić człowieka w kompletnego dupka. Na trzeźwo nigdy w życiu nie wyskoczyłbym z odzywką jak powyżej. W rzeczy samej był to tekst tak potworny, że jestem przekonany, iż zaburzył tkankę rzeczywistości i wysłał we Wszechświat falę uderzeniową. Dziwni pozaziemscy naukowcy z planety po drugiej stronie galaktyki odczuwają skutki tej fali za parę tysięcy lat i dojdą do wniosku, że jeśli moje zdolności konwersacyjne uznać za reprezentatywne dla całej rasy ludzkiej, to dobrze się stało, że w 2134 roku całą naszą cywilizację zniszczył wirus przeziębienia.

Beznadziejność mojej odzywki zdaje się nie robić wrażenia na Clare. Zarazem Clare kończy właśnie dziewiątą butelkę bacardi breezera, co wiele wyjaśnia.

– Jesteś pewien, że nie chciałbyś zrobić czegoś jeszcze? – pyta i zaczyna dotykać moich genitaliów. – A może poszlibyśmy w jakieś bardziej ustronne miejsce?

– Jasne – odpowiadam, a mój członek udaje się na zwyczajową rundkę honorową. Ponieważ Clare nie do końca równać się może z Laurą, rundka jest o wiele powolniejsza i nie obejmuje dekoracji na podium.

– Jest tu schowek z zaopatrzeniem – sugeruje Clare. – Albo moglibyśmy się zakraść do biura Alexa. Zaproponowałabym wycieczkę na dach, ale o tej porze wszystkie wyjścia są już zamknięte.

Jej rozeznanie w dyskretnych zakątkach budynku każe podejrzewać, że nie pierwszy raz zdarza jej się planować biurowe igraszki po godzinach pracy.

– Niech będzie schowek – odpowiadam z zaśpiewem. Perspektywa zaskoczenia przez Jokera, podczas gdy będę bzykał Larę Croft na jego ergonomicznej klawiaturze, jakoś mi się nie uśmiecha.

Clare łapie poły mego płaszcza chwytem walczącego o życie rozbitka i bezceremonialnie ciągnie mnie w kierunku schowka na tyłach biura.

Moja towarzyszka nie wykazuje co prawda oznak agresji seksualnej na poziomie Isobel, ale niewiele jej brakuje. Gdy przemykamy przez pomieszczenie, kilku innych uczestników imprezy posyła mi pełne

współczucia spojrzenia. Da się także słyszeć parę stłumionych chichotów. Wygląda na to, że reputacja Clare ją wyprzedza. Schowek ukryty jest na końcu krótkiego korytarza, więc dzięki Bogu mamy choć trochę prywatności. Nie będę musiał mieć do czynienia ze stadem czyhających za drzwiami narąbanych kolegów z pracy, którzy wsłuchiwaliby się uważnie w każdy odgłos i przyznawali mi oceny za styl i wytrzymałość w skali od jednego do dziesięciu.

Kiedy drzwi się za nami zamykają, Clare rusza w głąb schowka i przywołuje mnie, kiwając palcem. Wykonuję polecenie. Koniec końców co innego miałbym niby zrobić? Obejmuję ją w pasie (jej talia jest znacznie szersza niż talia Laury) i nachylam głowę do pocałunku. Ona odczeka i nim się spostrzegam, nasze twarze wpijają się w siebie nawzajem. Clare całuje ostrzej niż Laura, lecz nie jest to bynajmniej nieprzyjemne i już po chwili mój wacek dopomina się, żeby go wypuścić z jeansowego więzienia.

– Pragnę cię we mnie – dyszy mi do ucha Clare. Przypominam sobie, jak coś podobnego przed paroma miesiącami powiedziała mi w łóżku Laura.

Clare rozpina rozporek i zaczyna mi walić konia. Chwyty ma całkiem mocny i brak jej finezji Laury, niemniej jednak...

Nie mogę przestać myśleć o Laurze.

Wszystko, co robi Clare, przypomina mi tylko, że nie jest tą dziewczyną, którą po raz ostatni widziałem, gdy płakała na progu swego domu. Stoję w biurowym schowku z absolutnie przyjemną (aczkolwiek nieco pulchną) babeczką i nie mogę uwolnić się od myśli o innej kobiecie. Mój członek, który wraz ze mną zanurzył się we wspomnieniach, zaczyna wiotczeć.

Przestań o niej myśleć! To już skończone! Jeszcze łapczywiej całuję Clare, przebiegając dłońmi po jej piersiach, które są większe od biustu Laury, ale nie tak jędrne.

No do jasnej cholery! Erekcja szybko znika. Podobnie jak ogólne podniecenie.

– Co się stało, skarbie? – pyta Clare, spoglądając na mojego coraz bardziej oklapłego fiuta. – Dopadł cię piwny flaczek? Czy po prostu nie pociąga cię Lara Croft? – Posyła mi smutny uśmiezek. Wygląda z nim całkiem uroczo, aczkolwiek nie tak uroczo jak Laura, gdy akurat rzuci jakiś sarkastyczny komentarz na temat...

Ja płaczę. Ratujcie mnie, święci pańscy. Ubrany jak Neo z *Matrixa* stoję w

schowku zaopatrzeniowym otoczony wkładami do drukarek w towarzystwie pulchnej Lary Croft – i płacząc.

– Co się stało? – pyta Clare. – Pociągnęłam za mocno?

– Nie, nie. Z nim wszystko w porządku. – Upycham małego z powrotem do nory, gdzie z pewnością spędzi w smutku resztę wieczoru.

– Nie jesteś chyba gejem, co? Bo już raz coś podobnego zdarzyło mi się z facetem. Też się przede mną rozpląkał. Okazałam się jego sposobem na *coming out*.

– Nie, nie jestem gejem. – Opieram się o jakąś półkę i ocieram oczy. – Po prostu niedawno się z kimś rozstałem i jeszcze mnie to boli.

– Ach.

– Nie sądziłem, że aż tak mnie to złomotało.

– Cóż, Jamie, moim zdaniem jeśli wybuchasz płaczem przed kobietą, która wali ci konia, to niechybnie znaczy, że i owszem, złomotało.

– Wybacz.

Clare wzdycha i ociera mi oczy.

– Nie przejmuj się. Takie rzeczy się zdarzają. Jak ona ma na imię?

Wszedłem do tego schowka, licząc na bzykanko. Tymczasem trafiła mi się sesja terapeutyczna, za którą większość ludzi zapłaciłaby kupę forsy. Nie wiem, dlaczego Clare pisuje te bzdury o stylu życia dla gazety. Powinna zająć się pisaniem poradników dla par. Zarobiłaby na tym fortunę.

– Przesadziłeś z reakcją – mówi mi. – Widywaliście się dopiero od paru tygodni. Oczywiście, miało ci się to prawo nie spodobać, ale powinieneś wówczas po prostu wyjść bez słowa i zadzwonić do niej parę dni później. Żelzenie jej niczego nie załatwiło.

– To moje ego doszło do głosu.

– Oczywiście. Ja wcale nie mówię, że ona miała więcej racji niż ty. Ale to ty mogłeś wykazać się rozsądkiem.

– Teraz to i tak już nie ma znaczenia – mówię i zwieszam głowę.

– A więc tak? Nie zamierzasz się już do niej odezwać?

– Niby po co? Pewnie wróciła do tego swojego Mike'a.

– Możliwe. A może nie. – Clare spogląda mi prosto w oczy. – Mam tylko jedno pytanie.

– Jakie?

– Kochasz ją?

Cholera, zaraz znowu się rozpłaczę.

– Tak, kocham.

– To powinieneś coś w tej sprawie zrobić.

– Co? Mam narazić się na upokorzenie, gdy powie, że ona i Mikey zamierzają się pobrać?

– Twój wybór. Ale jeśli naprawdę ją kochasz, powinieneś coś przedsięwziąć, zanim będzie za późno. Trzeba zaryzykować, chłopcze.

– Sam nie wiem.

– Ja tym bardziej nie wiem. Ale zawsze lepiej coś zrobić, niż pochlipywać jak mała dziewczynka, kiedy ktoś wali ci konia, prawda?

Z tak logicznym wywodem nie sposób przecież polemizować. Wróciliśmy na imprezę, która powoli już dogasała. Resztę wieczoru spędziłem, siedząc w kącie i rozmyślając nad tym, co powiedziała mi Clare. Kiedy wytoczyłem się przez drzwi wejściowe budynku, dostrzegłem, jak Clare odchodzi, obejmując ramieniem Pete'a. Zauważyła mnie i pomachała.

– Powodzenia, Jamie! – zawołała i posłała mi szeroki uśmiech.

Spojrzałem na nią, a następnie na Pete'a.

– Nawzajem.

– To nie ja go będę potrzebować – odparła i złapała Pete'a za tyłek, na co ten zareagował piśnięciem.

Biedny X-Man Pete nie wiedział, czy powinien być pode-X-cytowany, czy też e-X-tremalnie przerażony. Pewne jednak było, że jego wieczór zakończy się lepiej niż mój. Byłem przekonany, że w porównaniu z zadurzonym po uszy Neo-durniem wypadnie korzystnie, nawet jeśli na czas bzykania nie pozbędzie się kostiumu Wolverine'a.

Nie spałem do trzeciej nad ranem, myśląc cały czas o Laurze. Było jasne, że musiałem coś zrobić, żeby ją odzyskać... żeby pokazać jej, co czuję. Kiedy wreszcie zmęczony zapadłem w sen, do głowy przyszedł mi pomysł, który moim zdaniem powinien zaradzić sytuacji.

Tak więc o poranku opracowałem konkretny plan. Jeśli Laurze i mnie dane jest być razem, to zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby tak się stało!

PAMIĘTNIK LAURY

11 XI, PIĄTEK

Droga Mamo!

Mam za sobą *naprawdę* wielki dzień. Tak wielki, że zupełnie nie wiem, od czego zacząć opowieść. Dochodzi północ, a ja wciąż jestem podekscytowana. Muszę wszystko zaraz spisać, inaczej nie będę w stanie zasnąć.

W zeszłym tygodniu wspomniałam Ci, jak obawiam się moich urodzin. Nie jest żadną frajdą kończyć dwadzieścia dziewięć lat, gdy jesteś singielką, wszyscy bliscy znajomi są na urloпах, nie masz najbliższej rodziny, a do tego o dziewiątej rano czeka cię spotkanie z dostawcami, na którym z pewnością poinformują, że ceny hurtowe idą w górę, co jeszcze bardziej ograniczy twoje profity.

Zresztą to wszystko nieistotne – ważne, że kończę *dwadzieścia dziewięć lat!* Jak to niby, u diabła, możliwe? Zdaje się, że dopiero co cała byłam w nerwach, gdy usiłowałam się dostać na film od lat osiemnastu, a teraz sama jestem w takim wieku, że mogę spoglądać zniesmaczona na nieletnich, którzy chcą się wślizgnąć na wieczorny seans *Piły*.

Pewnego dnia musiałam wyłączyć Radio 1, bo nadawana muzyka zbyt mnie irytowała. Prawdę mówiąc, to muzyka irytuje mnie już od jakichś pięciu lat, ale to był pierwszy raz, kiedy naszła mnie determinacja, by natychmiast zmienić stację. Teraz słucham Hitz FM. To tandetna lokalna rozgłośnia, ale puszczają wyłącznie muzykę z końca lat dziewięćdziesiątych i początku nowego stulecia, więc bardzo mi odpowiada.

Nie zdarza mi się już pić kawy z kofeiną po godzinie osiemnastej, bo nie śpię potem do drugiej w nocy. Czy trzeba jakichś innych dowodów na to, że rzeczywiście się starzeję?

Możesz sobie wyobrazić, z jakim zachwytem powitałam tego ranka dźwięk budzika. Stękniecie, które mi się wyrwało, było głośniejsze niż zwykle.

– Sto lat, sto lat – zaśpiewałam do lustra, myjąc zęby. – Niech żyje, żyje nam. Sto lat, droga frajerko... stara, ze zmarszczkami na czole i bez jakichkolwiek szans na seks, o ile nie zaczniesz się ubierać jak dziwka na

cracku... niech żyje nam!

No dobra, od uzalania się nad sobą samą nie stanę się bardziej atrakcyjna, ale to silniejsze ode mnie. Nastrój poprawia mi parę SMS-ów oraz pięć kartek z życzeniami wrzuconych na wycieraczkę.

Podświadomie liczyłam na to, że odezwie się do mnie Jamie Newman, to jednak nie nastąpiło. Nie powinnam raczej czuć się zaskoczona.

Kiedy docieram do sklepu, obydwaj przedstawiciele dostawców już na mnie czekają. Serce mi zamiera, gdy zauważam, że jeden z nich to Martin, Król Sutka.

Wyraz jego twarzy przywodzi na myśl borsuka z zatwardzeniem, domyślałam się więc, że on również nie cieszy się z tego spotkania.

– Dzień dobry panom – mówię, otwierając sklep. – Przepraszam za spóźnienie.

W istocie nie jest mi ani trochę przykro. Tim zadzwonił do mnie z życzeniami urodzinowymi z wypadu na narty do Francji i wobec tak serdecznego gestu ani myślałam go pospieszać, by dotrzeć do pracy na czas.

– Nie ma sprawy – rzuca Aamir, wysoki i przyjemny w rozmowie handlowiec, z którym prowadziłam większość negocjacji w ostatnich miesiącach. Martin się nie odzywa. Kiedy jesteśmy już w środku, proponuję im kawę i siadamy do omawiania interesów. Dotarła też Tilly, która stoi teraz za kontuarem i obsługuje klientów.

Negocjacje mnie męczą. Nie jestem specjalistką w targowaniu się i wolałabym raczej mieć do wyboru parę konkretnych możliwości. Całe to przeciąganie liny przyprawia mnie o zgaę. Nie da się ukryć, że Martin wciąż chowa do mnie urazę za to, co stało się latem. Za każdym razem, gdy mam już nadzieję, że zbliżamy się do porozumienia co do cen na następnych dwanaście miesięcy, Martin się wtrąca i usiłuje bądź to podnieść cenę, bądź też obniżyć wielkość zamówienia. Po jakimś czasie nawet Aamir zaczyna posyłać mu zdziwione spojrzenia.

Zaczynam się wkurzać nie na żarty. Zarówno na siebie, jak i na Króla Sutka. Jego obecność przypomina mi o tym, jak Jamie wyratował mnie z opresji, co z kolei przypomina mi o głupocie, którą się wykazałam, rozważając powrót Mike'a. Kiedy Aamir idzie do łazienki, postanawiam zdusić problem w zarodku, nim się rozrośnie i przyprawi mnie o wrzody żołądka.

– Posłuchaj, Martin – syczę, gdy tylko Aamir znalazł się poza zasięgiem

słuchu. – W tej chwili przestań zachowywać się jak ostatni dupek. To, co się stało tamtej nocy, to już przeszłość. Zdążyłam o tym zapomnieć, a teraz ty powinienes postąpić tak samo. Nie zachowujesz się fair.

– Wal się, suko – odpowiada tym samym tonem. – Po tym, jak twój chłoptaś złapał mnie za gardło, przez jakiś czas miałem kłopoty z mówieniem.

– No to może nie trzeba było mnie napastować na rogu ulicy.

– Masz dowody? – rzuca z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

Punkt dla niego. Za cholerę nic mu nie udowodnię. Martin może mnie wyrolować w dzisiejszych negocjacjach, jak tylko będzie chciał, a ja nie mam jak mu się odpłacić. Czas na blef.

– Dwie sprawy, Martin... jeśli w dalszym ciągu będziesz usiłował mnie wyrolować, pójdę wprost do twojego szefa i zrelacjonuję mu ze szczegółami twoje zachowanie pod klubem. Z dowodami czy bez, opowieść o tym, jak mnie sponiewierałeś, raczej nie zrobi dobrego wrażenia, co? A... a ten mój chłoptaś? Jest gliniarzem. Lekko mu odwała, lubi przyłożyć miejscowym opryszkom. – Martin robi wielkie oczy. – Czy to, co mówię, dociera ci pod tę pustą czaszkę, popieprzony sutkokręcie?

Blef się udaje. Twarz Martina przybiera nader satysfakcjonujący odcień bieli.

– *Proszę cię*, nikomu ani słowa – błaga. – Jestem w kolejce do awansu, a jeśli tylko coś powiesz, żona mnie zabije.

– Żona?! Ty, kurwa, jesteś żonaty???

Martin zdaje sobie sprawę, że za dużo chlapnął, i staje się jeszcze bledszy. W sumie nie mam co się dziwić. To oczywiste, że taki łajdak jak on gotów był kłamać co do swojego stanu cywilnego.

– Dobrze się czujesz, Martin? – pyta po powrocie z łazienki Aamir. – Wyglądasz trochę blado.

– Może zaszkodziło mi jedzenie – bąka w odpowiedzi Martin.

Moje pogróżki najwyraźniej poskutkowały. Dobrze wiedzieć, że stara prawda, wedle której ci, którzy lubią się znęcać nad innymi, sami okazują się największymi tchórzami, wciąż jest aktualna. Trochę żałuję, że nie mam numeru do jego żony. Konstruktywny anonimowy telefon mógłby jej oszczędzić całych lat cierpienia – a także katastrofalnych popisów tanecznych.

Dochodzimy do porozumienia, w wyniku którego nie zostanę oskubana do ostatniego pensa, po czym z ulgą żegnam Króla Sutka i Aamira. Aamir zostawia mi mnóstwo darmowych próbek, którymi raczę klientów napływających niespiesznym strumieniem przez resztę dnia. O wpół do szóstej jestem wykończona i gotowa zabierać się do domu.

– Urządzasz coś z okazji urodzin? – pyta mnie Tilly, kiedy zamykamy.

Kupiła mi uroczą kartkę z życzeniami oraz talon do Body Shopu, który zamierzam w całości wydać na możliwie dużo produktów relaksacyjnych.

– Nie dzisiaj. W niedzielę będą moi znajomi, to wyskoczmy razem na jakieś curry.

– Oj, to szkoda. Zawsze przyjemnie jest coś zrobić konkretnie tego dnia – stwierdza i poklepuje mnie po ramieniu. – Tak czy inaczej, miłego wieczoru.

Cudownie. Przyjmuję wyrazy współczucia od osiemnastolatki.

– Dobranoc, Tilly – odpowiadam znacznie weselej, niż się naprawdę czuję.

Droga do domu nie poprawia mi nastroju. Z powodu nieprzerwanych jesiennych deszczy na głównej ulicy doszło do wypadku, toteż pół godziny tkwię w korku. Dzięki temu mam mnóstwo czasu na rozmyślanie nad tym, że zbliżyłam się o rok do trzydziestki... fakt ten *zawsze* podnosi mi ciśnienie.

Kiedy wreszcie podjeżdżam pod dom, mój nastrój można przyrównać do chmury burzowej. Solenizantka, Mamusiu, zupełnie nie wczuwa się w okazję.

Kiedy sięgam do torebki po klucze, palce mam śliskie od deszczu, tak więc szamoczę się z otwarciem zamka przemoknięta już do suchej nitki. Na szczęście drzwi otwierają się od wewnątrz.

– Dzięki, Charlie – mówię do współlokatorki. – Klucze mi...

Ale nie jest to Charlie. Tylko Jamie Newman. Nieśmiało do mnie macha.

– Cześć.

Zapominam o deszczu.

– Co ty tu robisz? I gdzie jest Charlie?

– Wyszła. Poprosiłem, by dała nam trochę czasu sam na sam. – Wygląda na zewnątrz. – Hej, może jednak wejdiesz? Zaraz się zaziębisz.

Wciąż nieco oszołomiona przekraczam próg domu. Jamie zamyka za mną drzwi. Na jego twarzy maluje się zdenerwowanie.

– Jamie, co ty tutaj robisz? – powtarzam pytanie.

– Cóż. Są twoje urodziny i uznałem... zaczekaj, przejdźmy do salonu, dobrze?

– Dobrze. – Nie mam pojęcia, co się dzieje. Widzę się z Jamiem po raz pierwszy od naszej konfrontacji. Gdyby był moją dziewczyną, zaczęłabym się martwić, że zaraz oznajmi, że jest w ciąży.

Idę za nim do salonu. Przecieram oczy ze zdumienia. Cały pokój przemienił się we włoski placyk. W miejscu zazwyczaj zajmowanym przez komplet jadalniany z IKEA stoi kawiarniany stolik z kutego żelaza wraz z parasolem i krzesłami. Na stoliku czekają dwa kieliszki do wina oraz butelka pierwszorzędnego pinot grigio. Lwią część jednej ze ścian zajmuje ogromna plansza przedstawiająca Piazza Navona w Rzymie. Jest naprawdę wielka – ma spokojnie ponad dwa metry wysokości i z pięć szerokości. Podobno Piazza Navona to najpiękniejszy z placów Wiecznego Miasta.

Z podłużnej niskiej donicy pod przeciwną ścianą wyrastają cztery pędy winorośli, roztaczając wkoło świeży zapach roślinności. Z głośników wieży płynie muzyczka typowa dla włoskiego bistro. Jestem całkiem przekonana, że to śpiewa Dean Martin.

– Wiem, że popadłem troszkę w stereotyp – przyznaje Jamie, odsuwając dla mnie krzesło – i nie do końca jestem pewien, czy ta winorośl to taki dobry pomysł. – Posyła roślinie wątpliwe spojrzenie. – Ale tak czy owak... Laura, wszystkiego najlepszego!

Siadam, wciąż przecierając oczy ze zdumienia.

– Zamówiłem też kucharza, no bo sama znasz moje osiągi kulinarne. Będzie pizza... rzecz jasna.

Nalewa mi kieliszek wina.

– Ale czemu to wszystko zrobiłeś? – pytam mechanicznie.

– Bo są twoje urodziny!

– Ale przecież nazwałeś mnie suką – uznaję za istotne o tym napomknąć.

– No tak. Wiem. Lekko mnie poniosło. Wybacz.

– Ale czemu to wszystko zrobiłeś? – powtarzam się jak zdarta płyta, lecz wciąż jestem w szoku i nic na to nie poradzę.

– Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o tej wycieczce, na której byłaś z mamą? Na twoje dwudzieste pierwsze urodziny? – Wskazuje teraz na planszę. – Wiem, że to nie do końca to samo, ale powiedziałaś, że to był

najszczęśliwszy weekend w twoim życiu, toteż...

W oczach stają mi łzy. Więc pamiętał.

Do pokoju wchodzi gruby mężczyzna w białym fartuchu. Jeszcze zanim otworzy usta, wiem, że będzie mówił z silnym włoskim akcentem.

– Pizza gotowa, proszę pana! – informuje Jamiego, po czym spogląda na mnie. – Miło mi panią poznać, panno Lauro! – oświadcza, całując mnie w rękę.

– Dzięki, Giorgio – odpowiada Jamie, nalewając sobie kieliszek wina. – Głodna? – pyta.

– Ee... owszem.

– Doskonale. Wiem, że nie lubisz niczego ostrego, toteż wybrałem dla ciebie quattro stagioni.

Giorgio wraca z kuchni i stawia przed nami dwie przepysznie wyglądające pizze. Spoglądam na nie. Następnie spoglądam na Jamiego. Wreszcie obrzucam spojrzeniem cały pokój.

– Ile to wszystko kosztowało? – jestem tylko w stanie zapytać.

Jamie się uśmiecha.

– Wcinaj!

Nim ponownie odzyskuję przytomność umysłu, pochłaniam większość pizzy i dwa kieliszki najdelikatniejszego wina, jakie kiedykolwiek piłam.

– Dzięki za to wszystko, Jamie. To cudowne.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie mogę uwierzyć, że pamiętałeś o wycieczce, na której byłem z mamą.

– Byłaś taka szczęśliwa, gdy mi o niej opowiadałaś. Twarz ci się cała rozpromieniła. Czegoś takiego szybko bym nie zapomniał. – Wlewa w siebie pokaźny łyk wina, odstawia kieliszek na stół i spogląda na mnie. – Przepraszam, ale muszę ci coś powiedzieć. Lauro, kocham cię.

Jeszcze nikt nigdy nie przeproszał mnie za to, że mnie kocha.

– Nie powinienem był tak wypaść z domu, kiedy powiedziałaś mi o Mike'u...

– Nie! Nie przepraszaj – mówię, wchodząc mu w słowo. – To moja wina. To ja... ja byłem zagubiona... dezorientowana. – Prawdę mówiąc, tak też się trochę czuję w tym momencie. – Kochasz mnie?

Jamie oblewa się rumieńcem.

– Tak. Tak bardzo mi ciebie brakowało. Musiałem spróbować cię odzyskać. – Rozgląda się po otaczającym nas miniaturowym Rzymie. – Kiedy Charlie powiedziała mi, że nie spotykasz się z Mikiem, poczułem się tym bardziej zdeterminowany, by wszystko naprawić.

– Charlie ci powiedziała?

– Tak. Była niezwykle pomocna. – Robi szelmowską minę. – Ale dzisiaj musiałem jej zapłacić, żeby poszła do kina.

– I naprawdę mnie kochasz? – wraca motyw ze zdartej płyty.

– Kocham cię od chwili, kiedy pierwszy raz na ciebie spojrzałem... choć to akurat mogło być wynikiem uderzenia domkiem dla lalek.

Na jego twarzy z powrotem pojawia się ten szelmowski uśmiech, którego mogłam już nigdy nie zobaczyć.

– Ja też cię kocham. – I proszę. Tak łatwo to powiedzieć, a tak trudno zdać sobie z tego sprawę.

– Naprawdę?

Dłużej nie jestem w stanie powstrzymać łez.

– Tak. Dziękuję, że wróciłeś.

Jamie wstaje, obchodzi stolik, nachyla się i mnie całuje.

Zawahał się.

– Jesteś pewna, że nie chcesz już Mike'a? – pyta niepewnie.

– Absolutnie. – Moja odpowiedź zdaje się mu nie wystarczać. – Walnęłam dupka w mordę – dopowiadam jakby mimochodem, po czym obejmuję Jamiego za szyję i całuję tak namiętnie, jak tylko potrafię.

Przyznaję z ręką na sercu, że była to najbardziej romantyczna niespodzianka, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie przygotował. Resentymenty związane z tym, że próbował mnie otruć i nazwał suką, minęły bezpowrotnie. Charlie wróciła do domu grubo po dwudziestej trzeciej, natomiast Giorgio wyszedł niebawem po kolacji z uśmiechem na twarzy i hojnym napiwkami w kieszeni, tak więc Jamie i ja mieliśmy mnóstwo czasu na rozmaite ekscytujące działania, za które na prawdziwym rzymskim placu zostalibyśmy z miejsca aresztowani.

Po wszystkim padliśmy razem na kanapę błogo wyczerpani.

– Odnoszę wrażenie, że te winorośle spowodowały u mnie katar sienny –

zauważył Jamie i pociągnął nosem.

– Stanowią miły akcent.

– Dzięki.

– Podobnie jak plansza.

– Szkoda, że nie widziałaś twarzy dziewczyny w punkcie poligraficznym, kiedy powiedziałem, w jakim rozmiarze mają mi to wydrukować.

– A skąd miałeś ten stolik?

– Powiedzmy, że cieszę się, że Ryan jest zastępcą kierownika w centrum ogrodniczym, i na tym poprzestańmy. – Zmarszczył brwi. – A zresztą przestań zadawać tyle pytań. Psujesz cały nastrój.

– Spokojnie, Newman. Twoje wysiłki opłaciły się... *całkowicie*.

– I dzięki Bogu. Rozważałem, czyby nie poduczyć się trochę włoskiego, ale uznałem, że to już chyba przesada.

– Moim zdaniem utrafiłeś akurat. – Pocałowałam go i ledwie zdążyłam cofnąć głowę, gdy potężnie kichnął.

No i masz, Mamusiu.

Od przygnębiającego i samotnego urodzinowego poranka po wspaniały, błogi urodzinowy wieczór. Kto powiedział, że świat się nie może odmienić w jeden dzień?

Kocham Cię i tęsknię, jak zawsze.

Twoja dwudziestodwuletnia córka Laura

BLOG JAMIEGO

PONIEDZIAŁEK, DWUDZIESTY SZÓSTY GRUDNIA

Gdyby ktoś kiedyś wynalazł wehikuł czasu i ten ja sprzed sześciu miesięcy mógłby przenieść się w przyszłość i pogadać ze mną teraz, to tamten udusiłby obecnego mnie już po pięciu minutach wysłuchiwania opowieści, jaki to jestem teraz szczęśliwy – w porównaniu z tym, jak nieszczęśliwy byłem wtedy.

Zdaję sobie sprawę, że poprzednie zdanie nie ma zbyt wiele sensu, ale szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi, ponieważ w chwili obecnej jestem szczęśliwszy niż dzieciak w kałuży i kwestie tak trywialne jak precyzja gramatyczna czy składniowa mam w głębokim poważaniu. Nie chcąc popadać w banał, a zarazem w pełni świadom, że i tak się to stanie, przyznam, że ostatnich kilka tygodni stanowiło prawdziwy zawrót głowy.

Od wieczoru w domu Laury, kiedy to wreszcie wyznaliśmy sobie wzajemnie uczucia, poprzez następujące później szczęśliwe razem spędzone dni i noce, historia miłosna Newmana i McIntyre osiągnęła taki poziom zasłodzenia, że aż dziw bierze, że obydwójce nie zmarliśmy jeszcze na cukrzycę typu drugiego.

Dacie wiarę, że na cały dzień poszliśmy razem do spa? Przecież to jakiś, kurwa, koszmar! Koszmar, że ja, Jamie Newman – urodzony cynik i marudny drań – spędziłem całe popołudnie, poddając się eksfoliacji naskórka, w tym samym czasie opowiadając mej nowej dziewczynie, jakiego szczeniaka od zawsze chciałem mieć. A do tego przez cały czas świetnie się bawiłem! Zzerałaby mnie pogarda do samego siebie, gdyby nie fakt, że bzykam praktycznie każdej nocy i od tygodni nie musiałem kupić ani jednego dania błyskawicznego.

Ostatnio Laura i ja ochoczo wzięliśmy się do realizacji wszystkich ogranych sposobów romantycznego spędzania czasu, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wskoczyliśmy na weekend do hotelu na wsi, gdzie w każdym pokoju mieli prawdziwy kominek na drewno opałowe. Spacerowaliśmy zamglonym brzegiem morza, trzymając się za ręce. Byliśmy w kinie na dwóch komediach romantycznych. Poszliśmy nawet razem na zakupy i wybieraliśmy sobie nawzajem ciuchy.

A ukoronowanie tego do porzygania słodkiego obrazka? Pewnego dnia

wpadliśmy na Angelę i Mitchella – parę snobów, jakich mało. Po krótkiej pogawędce, podczas której Laura oczarowała ich do szaleństwa, zostaliśmy zaproszeni do ich domu na kolację jakoś po Nowym Roku... i się zgodziłem. I autentycznie nie mogę się tego doczekać.

Aaaaarrrgghh! Stałem się takim typem, jakimi zawsze najbardziej pogardzałem. Niektórzy mawiają, że miłość jest jak narkotyk, i zaczynam im wierzyć. To potężny, wpływający na pracę mózgu specyfik, który zrównoważonego osobnika przemienia w ostatniego kretyna pozbawionego resztek rozumu. Jeśli miłość udałoby się skroplić do butelki, byłaby to substancja surowo zabroniona, a przyłapanych na jej posiadaniu czekałby wyrok długoletniego więzienia.

I wtedy właśnie się to stało. Panie, miej mnie w swojej opiece. Przytrafiło mi się to, przed czym każdy wolny mężczyzna na świecie broni się aż do czasu, gdy napotka Tę Jedyną i podda bitwę o swoją duszę. Mniej więcej trzy tygodnie temu zrozumiałem, że w głębi serca *pragnę się ożenić*. Pojąłem, że chcę spędzić z Laurą resztę moich dni i jak najszybciej włożyć na jej palec obrączkę. Ostatnimi czasy nie poznaję samego siebie. Oczywiście nie mam najmniejszego pojęcia, jak poprosić Laure o rękę w sposób, który mógłby konkurować z rzymską maskaradą z ubiegłego miesiąca.

Postanowiłem zatem zadać kluczowe pytanie w Boże Narodzenie i przez kilka poprzedzających je tygodni łamałem sobie głowę, usiłując wymyślić, jak by tu sprytnie wykorzystać dla mego celu sezon świąteczny. Nie byłem jednak w stanie wykoncypować niczego, co nie byłoby bądź to koszmarnie kiczowate, bądź też po prostu durne. Wynajęcie sań z czterema reniferami odpadło na wstępie, podobnie jak zorganizowanie chóru, by przed drzwiami frontowymi wyraził moją wieczną miłość poprzez rymowane kuplety. Napis na niebie niekoniecznie sprawdziłby się w pochmurny grudniowy dzień, z kolei ewentualna odmowa na oczach trzydziestu tysięcy widzów podczas jakiegoś ważnego wydarzenia sportowego mogłaby spowodować, że umrę ze wstydu. Szczerze mówiąc, również budżet na cele romantyczne miałem bardziej ograniczony niż w ubiegłym miesiącu. Odtworzenie w czyimś salonie Rzymu wydawać by się mogło cudownym pomysłem, ale spróbujcie to wytłumaczyć debetowi na moim koncie. Musiałem wykombinować coś na znacznie mniejszą skalę i na tym właśnie polegał problem.

Wielkie przedsięwzięcia zwykle mnóstwo kosztują i wymagają czasu, żeby je przygotować, ale zazwyczaj samo ich obmyślenie nie przysparza

większych trudności. O ile tylko poświęcisz danemu projektowi wystarczająco dużo kasy i godzin, masz szansę zrobić na kimś wrażenie – w najgorszym razie ogromem pracy, który w to włożyłeś. To w drobnych, szczerych i subtelnych gestach czuję się zupełnie zagubiony. Jestem facetem, toteż subtelność nie leży w mojej naturze. Niestety, jedyną osobą, do której zwróciłbym się o radę w tej sprawie, jest właśnie Laura – ale to uczyniłoby cały wysiłek daremnym.

Choć planowanie oświadczyn wpędzało mnie w stres, przyznaję, że cieszyłem się, że w ogóle muszę się zmierzyć z takim wyzwaniem. Moja zagrywka w urodziny Laury mogła przynieść zupełnie odwrotny skutek. Laura mogła mnie znienawidzić za przypomnienie jej o śmierci matki, a zresztą po wcześniejszej kłótni mogła w ogóle nie chcieć mnie widzieć na oczy. No i do tego dochodziła kwestia Mike'a.

Niepotrzebnie się martwiłem, zwłaszcza zaś jej byłym. Laura opowiedziała mi o ich wypadzie nad jeziora i o tym, jak niemal została oskarżona o napaść fizyczną. Zanotowałem w myślach, by przy naszej kolejnej kłótni trzymać się poza zasięgiem jej rąk.

W poszukiwaniu inspirującego pomysłu na oświadczynę zajrzałem do internetu. Nie był to najbardziej romantyczny sposób uporania się z wyzwaniem, ale kiedy sytuacja nagli, cel uświęca środki. Nie znalazłem tam jednak nic ciekawego. Włożenie pierścionka do świątecznego puddingu odrzuciłem, gdy tylko przeczytałem historię dziewczyny, która nieomal przypłaciła taki pomysł śmiercią przez udławienie. Zapakowanie pierścionka w formie prezentu byłoby bardziej przewidywalne niż filmy Michaela Baya, natomiast klękanie przed Laurą w przebraniu Noddy'ego, Nagiego Świątecznego Skrzata, raczej jednak nie pasowało do podniosłości tej chwili.

Przyszła Wigilia, a ja wciąż nie miałem pomysłu. Laura i ja spędziliśmy wieczór w jej mieszkaniu. Charlie po raz kolejny zachowała się wspaniale, wyjeżdżając na święta. Laura parę razy spytała mnie, dlaczego sprawiam wrażenie tak zamyślnego, lecz zdołałem jakoś ją zbyć, mówiąc, że po prostu jestem wykończony wytężoną pracą w okresie przedświątecznym. W istocie zaś niepokoił mnie wciąż nierozwikłany problem oświadczyn. Zanim dałbym się ponieść panice, postanowiłem zaryzykować i nazajutrz zdać się na wyczucie. Koniec końców poproszenie o rękę można obmyślać w nieskończoność, tymczasem sprawa sprowadza się do bardzo prostego pytania i jeszcze prostszej odpowiedzi. Nie ma po co owijać w bawełnę,

prawda?

Bóg (czy dowolne inne niebiańskie bóstwo) najwidoczniej zgadza się z moim tokiem rozumowania, oto bowiem nastaje przepiękny świt pierwszego dnia Bożego Narodzenia. Z nieba prószy lekki śnieg. *Idealnie!* Na tyłach budynku, w którym mieszka Laura, znajduje się niewielki i malowniczy ogródek, który teraz nakryła nieskazitelnie czysta pierzyna z białego puchu. Czyż istnieje lepsze miejsce, aby poprosić kobietę, którą kochasz, by za ciebie wyszła?

– Wyjdziemy pobawić się na śniegu? – pytam od niechcienia Laure, która uprząta resztki porozrywanego papieru prezentowego. – Na zewnątrz jest tak pięknie.

– Świetny pomysł. Poczekaj, tylko wrzucę na siebie coś cieplejszego.

Kiedy wychodzimy z mieszkania i zmierzamy ścieżką prowadzącą do ogródka, serce wali mi jak młotem. Czy to aby nie za szybko? Czy nie działam pochopnie? I co, do licha, mam niby zrobić, jeśli powie „nie”? Jedno jest pewne, atmosferę świątecznego obiadu diabli wezmą. Odmowa na pewno odbierze mi apetyt na kiełbaski w cieście.

Laura siedzi na ławeczce pośrodku zasypanego śniegiem trawnika. Przechyla głowę w tył i wyciąga język, chichotem reagując na padające na nią płatki śniegu. W tym momencie wszelkie moje wątpliwości ustają. Niezależnie od tego, jaką usłyszę odpowiedź, wiem, że muszę się oświadczyć.

– Co? – pyta, widząc mój wyraz twarzy.

– Nic – bąkam, siadając obok niej na ławce.

– Co się stało, Jamie?

To jest to. Nadeszła ta chwila. To jest moment, który nieodwracalnie odmieni nasze życie.

– Laura, chciałem cię tylko spytać...

Nie mogę wykrztusić słowa. Z nerwów odebrało mi głos.

Laura chwyta mnie za dłoń.

– Chciałem cię tylko spytać, czybyś...

– ŁAPEK!

Kurwa mać!

PAMIĘTNIK LAURY

26 XII, PONIEDZIAŁEK

Szczerze powiedziawszy, Mamo, to spodziewałam się, że Jamie poprosi mnie o rękę. Chociaż jesteśmy razem dopiero od kilku miesięcy, zaczynam już odgadywać jego mimikę i język ciała. Wiem, kiedy się czymś martwi. W okresie poprzedzającym Boże Narodzenie zdawał się czymś wyjątkowo strapiony i czułam, że ma to związek ze mną. Byłam pewna, że nie zamierza mnie rzucić, toteż jedyna możliwość znajdowała się na przeciwległym biegunie związkowej skali, że tak pozwolę sobie to ująć.

Zamierzałam oczywiście odpowiedzieć „tak”. Gdybym mogła, powiedziałabym mu, żeby się tak nie zamartwiał. W Wigilię stało się ewidentne, że zbiera się, by zadać mi TO pytanie. Widać było po tym, jak co mniej więcej pół godziny jego twarz wykrzywiała się w grymasie niezdecydowania i obawy.

Nie miałam zielonego pojęcia, co też planuje, ale żywiłam nadzieję, że nie będzie to nic wyćwiczonego i z rozmachem. Moim skromnym zdaniem proszenie kogoś, by spędził z tobą resztę życia, powinno być doświadczeniem możliwie intymnym. Nazajutrz rankiem, gdy Jamie przypadkiem zasugerował, byśmy może wyszli do zaśnieżonego ogródka na tyłach domu, musiałam powstrzymać się przed uśmiechem. Tak było idealnie.

Przez dobre dziesięć minut namyślałam się, co by tu włożyć. Uznałam, że dzięki temu będzie miał okazję jeszcze raz wszystko przećwiczyć. Poza tym chodziło przecież o doniosłą okazję. Nie zamierzałam dopuścić, by zaskoczyła mnie w gaciach od dresu i trzy rozmiary za dużej pelerynie. Dobrałam więc uroczy zestaw składający się z niebieskich jeansów, niebieskiego swetra z kaszmiru oraz kremowej puchowej kurtki z kapturem, którą kupiłam tydzień wcześniej u Marksa i Spencera, po czym zeszłam z powrotem na dół i wyprowadziłam mojego podenerwowanego chłopaka na rześki zimowy poranek.

Sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem.

Aby oddać sprawiedliwość Jamiemu, trzeba przyznać, że zdołał *całkiem* *nieźle* utrzymać nerwy na wodzy podczas zdarzenia, które z pewnością w przyszłości będziemy określać mianem „drugiego incydentu z Łapką”.

Jamie nikogo fizycznie nie zaatakował, co było przyjemną niespodzianką, jestem także przekonana, że święta małej Astrid nie zostały *doszczętnie* zepsute przez wariata, który wydzierał się na nią zza muru ogródka. Z całą pewnością też dziewczynka była *zachwycona*, gdy tenże sam wariat odnalazł Łapka (spędziwszy dobrych dwadzieścia minut na szukaniu tego szubrawca w śniegu) i odstawił go jej pod drzwi z tymi oto słowy: „Masz swojego cholernego kota. Na przyszłość go zamykaj. W przeciwnym razie zeżrę sukinsyna”.

Zanim Jamie ogrzał się na tyle, by wysunąć się spod ogromnej kołdry i zejść z kanapy, nastąpiło południe. Wyglądał żałośnie. Zaplanowane przez niego romantyczne oświadczenia skończyły się klapą i widać było, że go to dotknęło. Tymczasem ja robiłam, co w mojej mocy, by nie pęknąć ze śmiechu. O pierwszej po południu uznałam, że już najwyższy czas, by ukrócić jego męki.

- Dobrze się czujesz, kochanie? – pytam go i siadam obok.
- Tak – kłamie z miną bardziej ponurą niż Szkot w upalny dzień.
- Czy chciałeś mnie o coś spytać, zanim przeszkodził ci Łapek?
- Już nieważne.

Ojej. Tę sytuację będę musiała uratować sama.

– Jamie? – odzywam się, łapiąc go za podbródek i obracając twarzą ku sobie. – Tak, Jamie. Wyjdę za ciebie. Nic szczęśliwszego nie mogłoby mi się przytrafić.

Parę tygodni temu to mnie szczęka opadła z wrażenia. Teraz przyszła kolej na Jamiego.

- Naprawdę? – dopytuje z niedowierzaniem w głosie.
- Oczywiście, że tak, ty głuptasie. Trzeba tylko było poprosić.
- Ale Łapek mi nie pozwolił – odparowuje, krzyżując ramiona na piersi i wykrzywiając twarz niczym wyciśniętą cytrynę.

Wiem, że zwijanie się ze śmiechu nie jest najbardziej typową reakcją na udane oświadczenia, ale w końcu moja znajomość z Jamie Newmanem od samego początku nie należała do typowych, prawda?

No więc sama widzisz, Mamo. Zareczyłam się! Kiedy to piszę, mam pierścionek na palcu i muszę się powstrzymywać, by nie spoglądać na niego co trzydzieści sekund, aby się upewnić, że naprawdę tam jest. Nie zamierzamy długo czekać. Po Nowym Roku Jamie zarezerwuje termin ślubu.

Po wszystkim, przez co przeszliśmy, uważamy, że najlepiej będzie uporać się z formalnościami, nim Wszechświat zauważy, jak jesteśmy szczęśliwi, i poczyni odpowiednie kroki, by wszystko zepsuć, jak to raczył ująć Jamie.

Ja sama zdecydowanie bardziej optymistycznie zapatruję się na naszą przyszłość. Moim zdaniem to całkiem słuszne, bo akurat niweluje jego pesymizm. Mam przeczucie, że tego typu dynamika stanowić będzie podporę naszego związku.

Tęsknię za Tobą bardziej niż kiedykolwiek, Mamo.

Twoja rozradowana córka Laura

BLOG JAMIEGO

PIĄTEK, TRZYDZIESTY GRUDNIA

Boże jedyny, zapomniałem o mojej matce.

Tak bardzo przejmowałem się tym, czy Laura zgodzi się za mnie wyjść, że nawet nie zastanowiłem się nad ewentualnymi konsekwencjami, jeśli istotnie odpowie „tak”. A jeśli chodzi o konsekwencje, najpoważniejszą jest dogodzić Jane Newman. Moja matka to kobieta, która – gdybym urodził się jako dziewczynka – wydałaby mnie za pierwszego lepszego arabskiego księcia w zamian za tuzin wielbłądów i możliwie dużo złota tak szybko, że nie zdołałbym nawet wykrztusić „sprzedany w niewolę”.

Tak mój brat, jak i siostra mają za sobą nieudane małżeństwa, toteż stanowią dla mej matki ostatnią szansę, żeby mogła zachować twarz przed zgrają złośliwych wieźm, z którymi się spotyka na siłowni. Dlatego przez ostatnich kilka lat wykazywała niezdrowe zainteresowanie moim życiem uczuciowym, z narastającym zniesmaczeniem obserwując, jak nie potrafię stworzyć przyzwoitego związku z kobietą, która nie cierpiałaby na poważne zaburzenia umysłowe. Możecie sobie wyobrazić jej *zachwył*, gdy pół roku temu randka z dzianą Wendy z wyższych sfer zakończyła się katastrofą.

– Masz to po ojcu – mówiła mi. – Na naszej drugiej randce podpalił rękaw własnego płaszcza i całą noc spędziliśmy w szpitalu na izbie przyjęć.

Teraz zaś jej oznajmię, że zenię się z Laurą. Z kobietą, o której praktycznie nic nie wie. Jak do tej pory widziały się tylko raz – ot, krótka pogawędka przed moim domem pewnego niedzielnego ranka w ubiegłym miesiącu, gdy Laura wychodziła po nocy spędzonej u mnie, mama natomiast przyjechała, bo postanowiła nawiedzić swe najmłodsze dziecię i zganić je za to, że zbyt rzadko ją odwiedza. Pozwoliłem, by wymieniły zwyczajowe uprzejmości, po czym tak szybko, jak się tylko dało, przegoniłem Laurę.

– Wstydzisz się mnie? – spytała, gdy zobaczyliśmy się nazajutrz.

– Gdzieżby – odparłem. – To mamy się wstydzę. Nigdy nie wiadomo, co też mogłaby ci powiedzieć.

Byłem z nią zupełnie szczery. Kiedy miałem osiemnaście lat, przedstawiłem mamie Megan, dziewczynę, w której zakochałem się na

uczelnii. W ciągu trzech minut zakazała Megan mnie porzucać, albowiem „ostatnim razem tak bardzo płakał, że ciągle musieliśmy mu dawać do picia napoje izotoniczne, bo inaczej zmarłby z powodu utraty elektrolitów”. Zdaniem mamy był to żarcik. Maminy żarcik okazał się jednak brzemienny w skutki, niedługo potem bowiem Megan ze mną zerwała.

Znałem już Laurę od pół roku, lecz przez cały ten czas robiłem wszystko, co mogłem, aby trzymać ją z dala od mojej matki. Aż tu nadeszły te cholerne święta. Ta jedna jedyna okazja w roku, kiedy można mieć pewność, że bliscy wpadną na siebie – czy ci się to podoba, czy nie. Laura spędziła drugi dzień Bożego Narodzenia ze swoimi przyjaciółmi Timem i Danem, ale kiedy mama i tata poprosili, bym następnego dnia przyprowadził ją, aby się mogli poznać, nie byłem w stanie wymyślić skutecznej wymówki.

– Wszystko będzie dobrze, Jamie – uspokaja mnie Laura, gdy skręcam fordem na podjazd pod domem rodziców. – Przecież nie może być aż tak zła, jak ją przedstawiasz.

– Czyżby? A czy opowiadałem ci, jak chciałem pójść na przyjęcie halloweenowe w stroju ninja, a mama przebrała mnie za ziemniaka? I to nawet nie za Pana Ziemniaka... Za zwykłego, wielkiego, brunatnego, pierdolonego ziemniaka. Potem przez całe miesiące wyzywali mnie od pyr.

Laura akurat opanowuje ataki śmiechu, kiedy dochodzimy do frontowych drzwi ogromnego, posiadającego cztery sypialnie domu, który moi rodzice kupili zapewne za mój udział w spadku. Pukam i ułamek sekundy później mama nam otwiera. Najwyraźniej stała tuż za drzwiami i przyglądała się, jak podjeżdżamy.

– Cześć, Jamie! – rzuca z entuzjazmem, do jakiego nie przywykłem, po czym mnie obejmuje. Mama nie jest typem obściskiwaczki. Nigdy nie była. Kiedy w dzieciństwie i zdarzało mi się otrzeć kolano lub skaleczyć się w palec, udzielała mi odpowiedniej pomocy, a następnie poklepywała po głowie. Gdybym miał ogon, to by była chwila, w której bym nim machał. Uznaję, że ten przypływ czułości wiąże się z obecnością Laury.

– Cześć, mammo. Dobrze się czujesz? – odpowiadam, delikatnie wyswobadzając się z nienaturalnych objęć.

– Oczywiście, że dobrze. Po prostu się cieszę, że znowu widzę mego syna.

– Mammo, byłem u was wczoraj.

– Przecież wiem! I to tyle, ile cię widzieliśmy przez ostatnie miesiące!

Twój ojciec wciąż powtarza, że jego zdaniem ty nas unikasz, ale ja mu mówię, że po prostu jesteś zajęty. No a Chris i Sarah nie są wcale lepsi. Nie widzimy ich całe miesiące. Nie mam pojęcia dlaczego. Ale w tym momencie nie ma to znaczenia. Wszyscy przyjechaliście odwiedzić nas w święta i to się liczy. No bo jeśli nie da się zgromadzić rodziny pod jednym dachem w Boże Narodzenie, to w takim razie kiedy?

Uroczyście stwierdzam, że to najdłuższa wypowiedź, jaką moja mama wygłosiła, nie wspominając o stanie konta którejś z przyjaciółek, bądź też nie uskarżając się, że nie dałem jej jeszcze wnucząt. Zamiast przywitać się z moją wybranką, mama postanowiła wdać się w rozmowę ze mną, Laury nie zaszczycając choćby spojrzeniem. Chciałbym wierzyć, że to jedynie przypadkowe przeoczenie, lecz tak samo chciałbym wierzyć, że politycy są uczciwi, a meteorolodzy nie mylą się w swych prognozach.

Zerkam na Laurę, która najwidoczniej myśli to samo co ja, bo groźnie mruży oczy. Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli sam przyspieszę rozwój wydarzeń.

– Mamo, pamiętasz Laurę, prawda?

Po raz pierwszy spogląda na Laurę.

– Chyba tak – odpowiada z wahaniem.

Cholera.

Oczywiście, że pamięta Laurę, bo ledwie *wczoraj* opowiadałem o niej, gdy poinformowałem ją o zaręczynach. Albo więc z rozmysłem udaje nierozgarniętą, albo też wcześniej dopadło ją starcze otępienie.

– Miło mi znowu panią widzieć, pani Newman – odzywa się lodowatym tonem Laura. – Liczę, że będziemy miały szansę porozmawiać dłużej niż ostatnio pod domem Jamiego. – Mówiąc to, posyła mi przeszywające spojrzenie. Wspaniale. Teraz to ja jestem tym złym.

– Mnie też jest miło, Rózo.

– Mam na imię Laura.

– Naprawdę? A ja myślałam, że Róża. I to, i to takie... krzaczaste.

– Nie, jestem po prostu Laura.

– Och. Swoją drogą, Róża to takie śliczne imię...

Dobry Boże, ale się wpakowałem.

– Może wejdziemy do środka? – wcinam się. – Lodowato tu! – I to w niejednym tego słowa znaczeniu.

– Pewnie, mój synu numer jeden!

Co, u licha? Dlaczego mama zwraca się do mnie jak postać z jakiejś chińskiej sagi rodzinnej?

– Ależ oczywiście, mój ty oblubieńcze – dodaje Laura. – Chodźmy z tego ziąbu, co?

Mój ty oblubieńcze? Teraz z kolei Laura brzmi jak statystka z kiepskiej sztuki Szekspira. Co tu się dzieje? Aż w końcu doznaję olśnienia... Już wiem, o co w tym chodzi. Jestem przedmiotem rywalizacji. Obydwie kobiety starają się – niekoniecznie subtelnie – zaznaczyć swoje prawo własności do Jamiego Newmana. Równie dobrze moglibyśmy przejść na najbliższe pole, one stanęłyby po jego przeciwległych stronach, mnie zaś ustawiono by pośrodku. Wtedy każda z nich mogłaby zawołać mnie po imieniu i zależnie od tego, do której bym podbiegł, ta mogłaby mnie zatrzymać. Taka walka o moją duszę powinna miło łechtać moje ego, w rzeczywistości jednak cała sytuacja sprawia, że ciarki przechodzą mi po plecach.

– Tata w domu? – pytam w nadziei, że stary drań odciąży mnie choć trochę.

– Nie. Gra w golfa. *Znowu.* – Głos mamy przybiera wyraźnie gorzki ton. Już wyobrażam sobie rozmiary awantury, jaka musiała rozegrać się tego ranka. – Nieważne, wejdźcie do środka – dodaje i obraca się na pięcie.

Laura rusza w jej ślady. Ja przez chwilę stoję w progu i nerwowo przygryzam wargi, aż w końcu biorę *bardzo* głęboki wdech i podążam za nimi. Ciąg dalszy batalii o duszę Jamiego Newmana ma miejsce w kuchni ponad filizankami z drogim gatunkiem kawy arabskiej. Mama wdaje się w serię anegdot z mojego dzieciństwa – koncentrując się na tych, gdy polegałem na jej wsparciu i miłości. Jakimś trafem nie wspomina o poklepywaniu po głowie i braku uścisków.

Laura odpowiada wyolbrzymioną relacją z randki, którą lubię teraz określać jako „Roma w domu”. W swojej opowieści kreuje mnie na jakiegoś romantycznego bohatera, spełniającego każdą jej zachciankę i każde życzenie. Gdybym istotnie był dla niej tak wspaniały, jak to sugeruje, z pewnością częściej trafiałby mi się lodzik.

Ja siedzę cichutko, pijam kawę i obserwuję, jak one skaczą sobie do gardeł. Wielką pociechę i przyjemność czerpię z faktu, że kawa ta nie zawiera mięty. Czekam – nie bez obaw – aż padnie słowo na „ś”. Wiem, że ten moment nadciąga, ale jakaś niewielka część mnie wciąż chwytą się

nadziei, że sprawa zostanie przemilczana w ogniu rywalizacji o Jamiego Newmana.

Bynajmniej. Widać, kurwa, pragnę zbyt wiele.

– No a jakie masz plany co do waszego ślubu? – mama pyta Laurę znad trzeciego już kubka parującej kawy. – Bo jeśli chcecie, to sama miałabym kilka sugestii.

Oj, mamusiu, coś mi się zdaje, że wysłuchamy ich bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie. Tyłkiem wpijam się w siedzenie krzesła. Wiem, co zaraz powie Laura – i jakie będą tego konsekwencje. W uświęconym tradycją geście Laura bierze mnie za rękę.

– Jane, my się pobieramy w poniedziałek.

Na całe szczęście mama nie pije w tym momencie kawy, bo obydwójce zostalibyśmy nią obryzani.

– Co?

– W poniedziałek, mamó. To będzie skromna ceremonia w urzędzie stanu cywilnego. Zapisaliśmy się dziś rano. – Robię, co mogę, by nie brzmiało to jak skrucha. – Ty, tata, Chris i Sarah jesteście, rzecz jasna, zaproszeni.

Laura i ja szczegółowo omówiliśmy nasze planowane zaślubiny minionej nocy. Żadne z nas nie gustuje w pompie i zadęciu, zdecydowaliśmy więc, że uroczystość powinna być prosta, krótka i urocza. Chodzi przecież o to, by się pobrać jak najszybciej, bo się kochamy – nie zaś marnotrawić mnóstwo czasu i tysiące funtów na przygotowanie weseliska, które może i spodobałoby się wszystkim pozostałym uczestnikom, lecz dla nas byłoby doświadczeniem skrajnie męczącym. Z naszego punktu widzenia plan był idealny, ale wiedziałem aż za dobrze, że nie wszyscy zgodzą się z tą oceną.

– Ależ nie możecie tego zrobić! – wykrzykuje mama. – Śluby należy odpowiednio obmyślać i planować je z dużym wyprzedzeniem!

Nie miałem wątpliwości, że w tym konkretnym przypadku to *ona* chciałaby zająć się planowaniem.

Dostrzegam narastające w oczach mamy rozczarowanie i zaczynam czuć się trochę niezręcznie. Wnet jednak przypominam sobie kostium ziemniaka i natychmiast pozbywam się wyrzutów sumienia.

– Jamie podejrzewał, że tak to przyjmiesz, Jane. Ja w sumie też. Ale mamy po temu powody, które chętnie ci wyłożę, o ile tylko mi to umożliwisz.

Chwila moment. To coś nowego. Laura nie wspomniała mi, że zamierza coś takiego powiedzieć. Sądziłem, że to ja będę musiał bronić naszych zamiarów.

– Mów dalej – spokojnym głosem pozwala mama.

Wówczas Laura rozpoczyna racjonalny i pełen niuansów wywód, który, szczerze mówiąc, zapiera mi dech w piersiach. Elokwentnie podkreśla, jak to się nawzajem kochamy, jasno i wyraźnie tłumaczy powody, dla których pragniemy uniknąć wielkiej uroczystości, i tak barwnie opisuje nasz pomysł na ślub, że jeszcze zanim dojeżdża do końca, mamine oczy nieco wilgotnieją. Po raz kolejny mam okazję sobie przypomnieć, jakim jestem szczęściarzem, że żenię się z tą kobietą. Nie tylko ma bowiem fantastyczne cycki i tyłek, za który dałbym się zabić, ale jest też niesamowicie inteligentna i bardziej kulturalna, niż ja będę kiedykolwiek.

Kiedy Laura kończy przemówienie, mama nadal wygląda na rozczarowaną, lecz gdy zabiera głos, słyszę w nim niechętny, budzący się szacunek.

– Wygląda na to, Lauro, że dobrze przemyśleliście swą decyzję, i widzę, że obydwoje tego chcecie.

– Tak jest.

Mama prostuje się na krześle.

– Doskonale. A więc poniedziałek. Tyle że będę musiała włożyć którąś z kreacji, które mam już w szafie.

– Jestem pewna, Jane, że będziesz w niej wyglądać oszałamiająco – słodzi Laura.

Mama po raz pierwszy posyła jej ciepły uśmiech.

– Dziękuję. Acz z pewnością nie tak oszałamiająco jak ty w swojej.

Nie do uwierzenia. Następnie mama spogląda na mnie.

– Żebyśmy wszyscy wyglądali jak należy, trzeba jeszcze będzie wcisnąć tego mojego synka w jakiś przyzwoity garnitur.

– Ha! – parska Laura. – To byłby cud. Nakłonienie Jamiego, żeby ubrał się elegancko, jest niemożliwe.

– Wiem, wiem, kochana! Od lat usiłuję coś zrobić, żeby wyglądał jak człowiek. Może tobie bardziej się poszczęści.

– Wątpię.

Obydwie spoglądają na mnie z identycznie uniesionymi brwiami. Chyba już wolałem, kiedy brały się za łby.

Rozmowa ciągnie się jeszcze przez godzinę. Jestem zmuszony znosić kąśliwe komentarze zarówno matki, jak i przyszłej żony, aż wreszcie przez kuchenne drzwi wparowuje ojciec obwieszony kijami golfowymi. Przyjmuję to z ulgą, bo prowadzona przez kobiety pogawędka przerodziła się w coś, co można jedynie określić sesją potępiania Jamiego Newmana. Jestem zadowolony, że wreszcie się integrują – ale czy koniecznie muszą w tym celu omawiać liczbę dziur w moich bokserkach?

Zarazem jednak łączy je teraz wspólny cel, zaś mama, dzięki wspaniałemu wystąpieniu Laury, chyba pogodziła się już z naszą wizją ślubu.

W domu rodziców spędzamy jeszcze mniej więcej godzinę, podczas której Laura nie przestaje się im przypodobywać. Kiedy wracamy do mnie, nie muszę się już zamartwiać, czy w dalszej perspektywie będą mogły się porozumieć. Teraz jestem w stanie tylko myśleć o tym, jak elokwentna potrafi być moja narzeczona, gdy zajdzie taka potrzeba.

Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś tak sprawnie poradził sobie z moją matką. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak przekonująco nią manipulował. To zdumiewające.

Boże. I to jest kobieta, z którą mam się *żenić*? Gdzie się podział mój instynkt samozachowawczy?

PAMIĘTNIK LAURY

2 I, PONIEDZIAŁEK

Droga Mamo!

To będzie bardzo krótki wpis, ponieważ nie mam zbyt wiele czasu, za to mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Piszę te słowa rankiem w dniu mojego ślubu. Jest wcześnie – dopiero co minęła siódma, lecz ja nie śpię już niemal od godziny. Usiłuję pogodzić się z faktem, że za kilka godzin stanę się żoną pana Jamiego Newmana, ale za każdym razem, gdy wydaje mi się, że już to pojmuję, mózg mi się zawiesza i zaczynam chichotać jak idiotka. Wciąż jeszcze odczuwam kaca po weekendzie, co też niekoniecznie pozytywnie wpływa na wysiłek intelektualny. Tim i Dan wyprawili u siebie w domu imprezę sylwestrową, która przejdzie do historii. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę dobrze się na niej bawiłam, wraz z wybiciem północy bowiem mogłam pocałować mężczyznę, którego kocham. Większości ludzi przydarza się to tak rzadko, że aż musiałam to zapisać dla przyszłych pokoleń.

Wyżej wspomniany mężczyzna upił się okrutnie, więc mniej więcej godzinę później zastałam go, gdy starał się wykonać taniec na rurze przy użyciu suszarki do bielizny. Ale postaramy się przymknąć na to oko i zapamiętać jedynie romantyczne momenty wieczoru, prawda? W obecnej chwili Jamie leży obok mnie i chrapie jak niedźwiedź. Niebawem obudzę go i zmuszę, by zrobił mi kubek pysznej herbaty, ale teraz jeszcze pobądźmy chwilkę same, Mamo.

Na myśl, że mam wyjść za tego leżącego obok mnie idiotę, rozsadza mnie entuzjazm – i to mimo że właśnie puścił tak głośnego bąka, że mógłby obudzić psa sąsiadów. A sam ślub będzie wyglądał dokładnie tak, jak my tego chcemy, bez względu na ewentualne zastrzeżenia matki Jamiego. To będzie skromna uroczystość. Żadnych dzwonów, wiwatów czy puszek ciągniętych za samochodami.

Powiedziałam Jane, że to dlatego, że ani Jamie, ani ja nie chcemy wielkiego weseliska, ale w istocie chodzi o coś więcej. Tak naprawdę to ze względu na Ciebie, Mamo. Ze strony Jamiego przyjdzie rodzina, każde z nas zaprasza też znajomych – lecz ja przez cały dzień będę odczuwać wielką pustkę i żal, że Ciebie, Mamo, nie będzie.

To jest prawdziwy powód, dla którego wolałam uniknąć ogromnej ceremonii. Za bardzo by mnie bolało, że nie mogę patrzeć, jak siedzisz w tłumie gości i wypłakujesz oczy, kiedy wypowiadam słowa przysięgi. Moglibyśmy wydać sto tysięcy funtów i urządzić najwystawniejsze wesele poza rodem Kardashianów, a i tak wiem, że nie potrafiłabym się nim zbyt nacieszyć, bo nie byłoby ze mną mojej mamy.

Na wypadek gdybym wciąż niewystarczająco uzasadniała, dlaczego wychodzę za Jamiego, oto kolejny argument: powiedziałam mu o wszystkim powyższym, obawiając się zarazem, że uzna, że jestem samolubna i że bardziej niż jego osoba zajmować mnie będzie Twoja nieobecność. On tylko się uśmiechnął, pocałował mnie w czoło i powiedział:

– Zrobimy to tak, jak tylko będziesz chciała, kotku.

Uznam to za oznakę, że rozumie moje uczucia, nie zaś, że ma całe wesele głęboko w poważaniu, o ile tylko nie będzie musiał mieć na sobie garnituru dłużej niż trzy godziny.

Gdybyś tu była, Mamo, tak wiele rzeczy bym Ci dzisiaj powiedziała. Lecz skoro Ciebie nie ma, to je spiszę:

Wszystko, co dobre do tej pory mnie spotkało, zawdzięczam Tobie. Wszystko, co złe – ma związek ze spożyciem nadmiernych ilości białego wina. Dałaś mi najlepszy start we własne życie, jaki mogłaby zagwarantować samotnie żyjąca kobieta. Dziękuję Ci za wszystko, co zrobiłaś, bym mogła znaleźć się w obecnej szczęśliwej sytuacji. Może to zabrzmie dziwnie, ale czuję się jak talerz frisbee. Kiedy byłam małą dziewczynką, wyrzuciłaś mnie w powietrze, przez jakiś czas unosiłam się, nie wiedząc, dokąd zmierzam, po czym schwytał mnie Jamie – i liczę, że będzie mnie trzymał do końca życia. Mam tylko nadzieję, że nie potknie się i obydwójce nie zaryjemy nosem w ziemię. Czasami niezdarny z niego drań.

No dobrze, metafora wyszła mi dość koszmarna, ale lepszej o siódmej trzydziestej nie jestem w stanie wymyślić – tym bardziej u boku śpiącego narzeczonego, który jest, zdaje się, zdeterminowany, by otruć mnie gazowymi wyziewami, wydobywającymi mu się z tyłka.

Niech więc wystarczy, bym wyznała, że niezwykle trudno pogodzić mi się w Twoją nieobecnością na moim ślubie, Mamusiu. Wiem jednak, że będziesz na mnie patrzeć gdzieś z góry. Postaraj się nie zrazić zbyt do mamy Jamiego, postaraj się nie zwymiotować, kiedy zobaczysz, jak tańczymy na przyjęciu, odwróć wzrok od wszelkich działań po dwudziestej trzeciej... a jeśli w którymś momencie ślubu czy wesela zauważysz przelatującego ducha

Cary'ego Granta, masz moją zgodę, by się oddalić i do niego zagadać. Spróbuj tylko nie chrumkać, kiedy się śmiejesz. Inaczej zrazisz go do siebie już na wstępie i stracisz wszelkie szanse na drugą randkę. Zaufaj mi, jestem już w tych kwestiach ekspertką.

No dobra, czas wstawać. I rozejrzeć się za maską przeciwgazową.

Kocham Cię i tęsknię, baw się dobrze na naszym ślubie.

Twoja niebawem znewmanizowana córka Laura

BLOG JAMIEGO I LAURY

CZWARTEK, DWUNASTY STYCZNIA

No dobrze, to zaczynam.

Nie ulega wątpliwości, że panna McIntyre (przepraszam, miałem na myśli *panią Newman*) za chwilę przerwie mi jakimś durnym komentarzem...

Pilnuj się, Newman.

...takim właśnie jak ten, ale w tym momencie parkiet należy do mnie.

Jesteśmy zatem na Karaibach. Zapewne w ogóle was nie zdziwi, że jest tu słonecznie i gorąco. Zupełnie wytrąca mnie to z mojej brytyjskiej równowagi. Jest styczeń. Powiniennem właśnie opatulony w odzież termalną dygotać z zimna, a nie paradować w krótkich spodenkach i klapkach.

Miejscowym zapewne byłoby to na rękę. Ziemistobiały odcień twoich nóg ich oślepia.

Cicho bądź, kobieto. Moim zdaniem wyglądam zabójczo seksownie. Wnosząc po stanie mojej karnacji, można by pomyśleć, że jestem raczej ofiarą zabójstwa, mam jednak nadzieję, że dwa tygodnie pławienia się w promieniach Niebiańskiej Kuli Ognistej zaradzi temu problemowi. Tak czy owak... za nasz zaimprovizowany miesiąc miodowy podziękowania należą się stronie lastminute.com. Kto by pomyślał, że o tej porze roku można utrafić dwa tygodnie w raju za mniej niż tysiąc funtów?

Trzeba przyznać, że sąsiadujący z naszym hotelem plac budowy prezentuje się nader malowniczo, ale jestem freelancerem, a moja świeżo poślubiona towarzyszka życia prowadzi borykający się ze skutkami recesji sklepik z czekoladą, powinno więc nam przyświecać hasło „jakość za rozsądną cenę”.

Zważywszy, jak ostatnimi czasy rząd sięga do naszych kieszeni, to cud, że w ogóle stać nas było na jakiś wyjazd.

Tylko proszę bez polityki. Kiedy zaczynasz tokować na temat działań rządu, na skroni wyskakuje ci żyłka. I nie jest to ani trochę atrakcyjne.

Wybacz, postaram się powściągnąć me naturalne instynkty. Siedzimy właśnie nad basenem i piszemy na zmianę. To dosyć osobliwy proces, lecz tworzenie osobnych wpisów wydawało się pozbawione sensu, zważywszy

na fakt, że spędzamy teraz ze sobą znakomitą większość czasu. W swoim wielkim słomkowym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych Laura wygląda doprawdy uroczo. Za każdym razem, gdy się nachyla, by zobaczyć, co piszę, dociera do mnie delikatna woń jej perfum. Ten zapach nigdy mi się nie znudzi.

Jest pan niezwykle uprzejmy, proszę pana. Ty też najgorzej nie wyglądasz – jeśli nie liczyć poparzeń słonecznych. Ten kapelusz na mojej głowie po coś jest, głuptasie. Z chęcią podam ci nazwę moich perfum, a także listę wspaniałych sklepów, w których możesz mi je kupić.

Jej... dziękuję, skarbie.

Streszczaj się, Newman. Robi się koszmarnie gorąco i chcę już wskoczyć do basenu.

Dobrze już, dobrze.

Oto podsumowanie wszystkiego, co wydarzyło się od chwili spotkania Laury z moją matką, które to wydarzenie wciąż staram się wyprzeć z pamięci za pomocą całego dostępnego na Karaibach rumu.

Nie było aż tak źle, Newman. Po prostu trzeba nam czasu, by się lepiej wzajemnie poznać.

W miarę możliwości poczekajcie, aż oddalę się na bezpieczny dystans, jakichś powiedzmy piętnastu kilometrów.

Bardzo śmieszne.

Jak na razie będzie to mój ostatni wpis na tym blogu. Nie wyczuwam już potrzeby, by wybebeszać się w internecie. Wiąże się to nierozzerwalnie z faktem, że jestem szczęśliwy. Tak szczęśliwy, że aż mdłości biorą. W nieszczęściu szuka się towarzystwa, a blogowanie okazuje się naprawdę dobrym sposobem na poradzenie sobie z chandrą. Przez ostatni rok moje życie przypominało kolejkę górską, miałem więc wiele powodów, by coś tu zamieszczać. Teraz jednak jestem w o niebo lepszym nastroju (co już pewnie zdążyliście zauważyć), przyszła więc pora, by przystopować, nim ktoś zupełnie słusznie zamorduje mnie za wypisywanie długasnych i sentymentalnych peanów na cześć mojego małżeństwa.

Wspaniale. Teraz to mnie będą winić za zamknięcie tego bloga, idioto! Słuchajcie, to jego pomysł, żeby z tym skończyć. Naprawdę!

Ale tak szczerze mówiąc, to zgadzam się z tym, co pisze Jamie. Mój pamiętnik również czeka zapewne trochę odpoczynku. Nie wiem,

gdzie we Wszechświecie hula teraz moja kochana mama, ale zdecydowanie za dużo czasu zabierałam jej swoimi kłopotami, podczas gdy mogłaby siedzieć gdzieś i gawędzić sobie z Carym Grantem.

– Dlaczego akurat z Carym Grantem?

Mama uwielbiała jego filmy. Gdziekolwiek zanosło ją życie pozagrobowe, istnieje duże prawdopodobieństwo, że już go tam dopadła i robi, co może, by nie chrumkać, gdy się śmieje. Wyobrażam sobie ich dwoje na randce w jakimś malowniczym niebiańskim pejzażu.

Miejmy tylko nadzieję, że masz rację i że nie zaprosiła go na projekcję wschodnioeuropejskiego filmu z policzkowaniem członkami.

Ale jesteś zabawny.

Jestem, prawda? Tak czy owak, kończąc dygresje: ślub był przyjemnie nieskomplikowany. Pogoda w dzień po Nowym Roku zachowała się przyzwoicie, dzięki czemu mogliśmy połączyć się węzłem małżeńskim pod rześkim, błękitnym styczniowym niebem. Ceremonia w urzędzie stanu cywilnego była miłosiernie krótka, co mnie bardzo ucieszyło, gdyż jestem pewien, że kołnierzyk mojej koszuli był o co najmniej jeden numer za ciasny.

Na uroczystości zebrał się tylko niewielki tłumek. Jedynie moi rodzice, brat i siostra, najlepsi przyjaciele Laury oraz parę innych osób, które dowiedziały się o naszych zamiarach. Nie zaprosiłem kumpli ze szkoły – całą imprezę spędziliby na kłótni o to, który z nich na własnym weselu miał największy tort. Zarazem jednak pojawili się Dave i Katherine; sprawiali wrażenie zachwyconych uczestniczeniem w weselu, do którego organizacji nie przyłożyli ręki.

Personel urzędu stanu cywilnego był dosyć zdumiony, kiedy zażyczyliśmy sobie, by salę udekorowano fikusami. Zaproponowałem także, by na samym weselu podano fajitas. Laura z jakiejś przyczyny nie uznała tego za wystarczająco zabawny pomysł.

Lepiej uważaj, koleś. Któregoś dnia jeszcze się odegram. Jeśli odpowiednio przyprawię podstarzałą wołowinę, to nawet się nie spostrzeżesz.

Ups.

Od tego miejsca ja już przejmę, dzięki. Jesteś facetem, więc nie

opisujesz tego jak należy. W twoim wydaniu to brzmi jak policyjny raport.

Tim poprowadził mnie do ołtarza. Koniec końców to on, biedny, płakał najbardziej ze wszystkich. Tim i Dan mieli na sobie najcudowniejsze surduty, jakie kiedykolwiek widziałam. Charlie i Tilly również wyglądały uroczo. Tak uroczo, że kumpel Jamiego, Ryan, przez cały dzień ślinił się na ich widok, czym wzbudzał odrazę u swej przerażającej dziewczyny Isobel. Jane Newman sprawiała wrażenie szczęśliwej... tak mi się przynajmniej wydaje. Równie dobrze jej mina mogła świadczyć o tym, że cierpi na zatwardzenie, ale zastosuję w jej przypadku zasadę domniemania niewinności. Zadowolenie na twarzach pozostałych członków rodziny Jamiego wyglądało bardziej autentycznie.

I nie dziwota. Za każdym razem, gdy mama skupia uwagę na mnie, mogą na parę godzin się rozluźnić. Zupełnie jak myszy, kiedy mieszkający z nimi w oborze puchacz znika, żeby sobie polatać.

Otóż to. Ja miałam na sobie bardzo fajną białą jedwabną suknię bez ramiączek. Jamie zdołał pozostać w garniturze na tyle długo, by można było zrobić zdjęcia. Lecz kiedy tylko fotograf poinformował nas, że już po wszystkim, pan młody pozbył się marynarki i krawatu w takim tempie, jak gdyby zaczęły się na nim palić.

Taki już mam charakter. Jak chcesz, to mnie pozwij.

Aż tak mi to nie przeszkadza. Przynajmniej nie muszę się przejmować, że mnie porzucisz, by ożenić się z inną. Sama konieczność ubrania się raz jeszcze w garnitur ślubny wystarczy, by cię przed tym powstrzymać.

Podpisuję się pod tym obiema rękami.

Cała ceremonia trwała zaledwie dwadzieścia minut – a o piątej stawiliśmy się w ogromnym domu rodziców Jamiego. Był to kompromis, na który obydwójce przystaliśmy z myślą o Jane. Nie pozwoliliśmy się jej zbliżyć do organizacji samej uroczystości, powiedzieliśmy natomiast, że może zająć się późniejszym bankietem.

Jeśli Hitler przez tydzień równie skutecznie zarządzałby Trzecią Rzeszą, wszyscy teraz mówilibyśmy po niemiecku.

Nie sposób się z tym nie zgodzić. Mów, co chcesz, o swojej matce, ale kobieta umie działać pod presją czasu. Trzeba przyznać, że

wykonała fantastyczną pracę. Nie mam zielonego pojęcia, jak w okresie świątecznym udało jej się zorganizować pieczonego prosiaka i całe mnóstwo dekoracji.

Czarna magia. Czarna magia i tortury.

Podsumowując, nie był to najbardziej spektakularny czy też oryginalny ślub w dziejach, ale mieliśmy okazję spędzić ten dzień w otoczeniu (niemalże) wszystkich tych, których kochamy, a tylko to się liczyło.

Zarazem oznacza to, że zostało nam więcej pieniędzy do wydania na podróż poślubną – stąd też moje poparzenia i jej ogromny słomkowy kapelusz.

Tak jest. Trzywarstwowa suknia ślubna i sześciopoziomowy tort wydają się co do zasady fajnymi pomysłami, ale jeśli mam wybór, zawsze będę woleć bikini i drinka z palemką.

Zgadzam się w całej rozciągłości, moja śliczna... A już szczególnie jeśli chodzi o bikini.

Laptop, rzecz jasna, pojechał wraz z nami – pomimo zgłaszanych przeze mnie obiekcji – stąd też ów zawily wpis na blogu Jamiego. Zapewniam was, że zmierzamy do pewnej pointy – i o ile tylko Newman choć na minutę przestanie się wcinać, to może do niej dojdę.

Wybacz, światło ty moje jasno świecące w mym chmurnym, żalonym życiu.

Przyjmuję przeprosiny. Teraz nie wiem już, co powiedzieć. Pokusa wskoczenia do basenu nie pozwala mi się skupić. Jamie, ty jesteś pisarzem, no to spróbuj.

Wydaje mi się, że moja wspaniała, acz roztargniona małżonka usiłuje powiedzieć, że aby znaleźć się w tym szczęśliwym miejscu, oboje wiele przeszliśmy. Przeczytałem jej pamiętnik, ona zaś zapoznała się z moim blogiem. I jedno, i drugie zdają się zestawieniami błędów, upokorzeń i porażek, po przeżyciu których zastanawiające jest, jak to możliwe, że w ogóle dotarliśmy tu, gdzie jesteśmy: zakochani, poślubieni, popijający koktajle pod słońcem Karaibów.

W istocie istnieje tylko jedno wytłumaczenie, równie kiczowate jak prawdziwe. Miłość może nie zwycięża wszystkiego, jak lubią twierdzić piosenki, ale może sprawić, że ustoisz na nogach, kiedy lodowaty wiatr wieje z całych sił i stara się przewrócić cię na tyłek. Miłość może połączyć

dwoje ludzi nawet wtedy, gdy hemoroidy, systemy przeciwpożarowe, zatrucia pokarmowe, pornosy, ultralekkie samoloty, maniacy seksualni tudzież irytujący byli narzeczeni robią wszystko, by ich rozdzielić.

Kiedy się zakochujecie, nie ma takiej trudności, która powstrzymałaby was przed byciem razem, bez względu na to, jak bardzo zdawałoby się to skomplikowane. Niezależnie od natury problemu, musicie po prostu uwierzyć, że uczucie, które żywicie względem siebie nawzajem, zdoła ów problem przezwyciężyć. Nawet jeśli ukochana zaskoczy cię podczas załatwiania się do kubła na śmieci.

I właśnie dlatego wyszłam za tego durnia. To jest nie ze względu na ten kubeł, że pozwolę sobie prędko sprostować. Tego wspomnienia nie zdołałabym wyprzeć z pamięci całym alkoholem świata.

Ale jeśli chodzi o resztę? To owszem, tak to mniej więcej z mojej strony wygląda.

Żaden związek nie jest idealny, ale jeśli naprawdę kochacie się nawzajem... *to wcale taki być nie musi.*

Historia Laury i Jamiego jeszcze się nie kończy. Oto fragment kolejnej powieści z cyklu *Miłość... i nieprzespane noce*.

PAMIĘTNIK LAURY

1 IV, PONIEDZIAŁEK

Droga Mamo!

Cóż, wreszcie do tego doszło. Spełniła się moja życiowa ambicja. To, co pragnęłam zrealizować już od dawna.

Zajęło mi to wiele lat, ale w końcu mogę oznajmić, że ja, Laura Newman, zdołałam zwymiotować w obecności grupy osób na decydującej rozmowie o pracę.

Wiem, że w skali świata jest to skromne osiągnięcie. Inni dążyli do zdobycia Mount Everestu lub znalezienia lekarstwa na raka. Ale ja? Mnie tylko zależało, by w możliwie spektakularny sposób upokorzyć się przed grupą ważnych i wpływowych ludzi.

Oj, tak. Kiedy mój czas na tym pięknym świecie dobiegnie końca, pozostanie mi wiele, *bardzo* wiele ciepłych wspomnień – a wśród nich dzień, w którym udałam się do głównej siedziby Hotel Chocolat w Londynie i puściłam tęczowego pawia na trzech dyrektorów zarządzających firmy.

Wyczucie czasu, oczywiście, miałam idealne.

Zamiast dopaść mnie w jakimś bardziej adekwatnym momencie – jak choćby przed telewizorem podczas kolejnej edycji programu *Mam talent!* czy kiedy wysłuchiwałam kolejnej biurowej anegdotki Jamiego – nieprzeparata potrzeba zwymiotowania naszła mnie akurat w chwili, gdy starałam się zaimponować potencjalnym pracodawcom moją niezrównaną znajomością tajników produkcji i sprzedaży wyrobów czekoladowych.

Aż do pawia wszystko układało się całkiem nieźle. Rozmowa nadarzyła się w najodpowiedniejszym momencie z punktu widzenia moich nerwów, zdrowia psychicznego Jamiego oraz stanu naszego wspólnego konta.

Stres związany z koniecznością zamknięcia sklepiku z powodu recesji wykańczał nas oboje, tak więc szansa w postaci rozmowy rekrutacyjnej na

dobrze opłacane stanowisko w jednym z największych przedsiębiorstw branży czekoladowej w kraju spadła nam jak z nieba. Nie muszę chyba mówić, że nie tak to sobie planowałam w chwili otwierania sklepu – zanim gospodarka poszła na dno, a prowadzenie własnej, niezależnej firmy znienacka stało się aktywnością równie rozsądną, jak żonglowanie granatami ręcznymi bez zawleczeni. Szczerze mówiąc, najprawdopodobniej i tak ciągnęłam to dłużej, niż w rzeczywistości należało. Gdybym kierowała się czystą logiką, sprzedałabym interes ze dwa lata temu i wykaraskała się z sytuacji bez najmniejszych kłopotów. Fakty natomiast są takie, że włożyłam w ten sklepik tyle wysiłku, że po prostu zabicie okien deskami i zwrócenie kluczy właścicielowi lokalu byłoby dla mnie sprzeniewierzeniem się własnym marzeniom.

Marzeniami nie da się jednak opłacać rachunków, tak więc trzy miesiące temu nadeszło nieuniknione i ambitne plany Laury Newman, by zdobyć władzę nad światem poprzez sprzedaż czekolady, zniknęły jak sen złoty.

Jeśli mam być szczerą, to koniec końców poczułam ulgę, uwolniwszy się od męczącego mnie stresu, aczkolwiek jeśli przyjrzeć się sprawie z bliska, zastąpienie stresu związanego z posiadaniem sklepu stresem związanym z poszukiwaniami nowej pracy nie jest aż tak wspaniałą zmianą. Możesz sobie wyobrazić moje zadowolenie i podniecenie, gdy natknęłam się na ofertę zatrudnienia na wyższym stanowisku w Hotel Chocolat. Chodziło o pracę, którą moje kwalifikacje, talenty i doświadczenie pozwalałyby mi wykonywać z palcem w nosie.

Tak więc wyruszam do Londynu – chybocząc się na najczarniejszych, najbardziej błyszczących i wzbudzających respekt wysokich obcasach, jakie mam, ubrana w najbardziej biznesową, ołówkową czarną spódnicę oraz zakiet, z włosami związanymi w najciaśniejszy, najbardziej profesjonalny kucyk, jaki tylko da się znieść, nie doprowadzając oczu do permanentnego łzawienia. Jestem lepiej przygotowana do tej cholernej rozmowy niż alianci do lądowania w Normandii. Mój biedny przeciążony umysł pełen jest wszelkich możliwych szczegółów dotyczących praktyk biznesowych i strategii działania firmy.

Pod pachą ściskam portfolio, które zawiera rozmaite nowe wzory i smaki czekoladek oraz receptury z mojego sklepiku, sporządzone aż do chwili, gdy nadeszło załamanie rynku i wszystko się posypało. Jestem zdeterminowana dostać tę robotę. Jestem silną, nowoczesną i kreatywną kobietą, która nie godzi się z odmową!

Niestety, gdy o ósmej piętnaście wsiadam w przemoczonym mżawką Southampton do pociągu jadącego na dworzec Waterloo, trochę mnie mdli. Winę za to zwalam na sobotnią noc i ekscesy podczas imprezy urodzinowej Charlie. Jeszcze nigdy powrót do formy po balandze nie zajął mi całych dwóch dni, ale uznaję, że skoro jestem już po trzydziestce, pod tym względem będzie już zapewne tylko gorzej.

Podróż pociągiem upływa mi na powtarzaniu materiałów i usilnych próbach niezwracania uwagi na dwóch gości na końcu wagonu. Obydwaj są już ewidentnie pijani, a do tego jeden z nich to najwyraźniej ciężki przygłup. Ze swej komórki puszcza na cały regulator wkurzającą piosenkę Pink pod tytułem *Perfect* i nie przepuszcza okazji, by odśpiewać każdy refren, szczególnie wysiłek wkładając w możliwie głośne wywrzeszczenie linijki *You are perfect, FUCKING perfect to me-ee! – Jesteś idealny, dla mnie, KURWA, jesteś idealny!* Muszą istnieć jakieś kursy, na które tacy ludzie uczęszczają, by się dowiedzieć, jak najlepiej uprzykrzać życie innym obywatelom. Wyobrażam sobie, że pierwsza lekcja przewiduje „zatrzymywanie się na środku ruchliwej ulicy, by przylać dzieciakom”, końcowy zaś wykład poświęcony jest najskuteczniejszym metodom doprowadzania najbliższych sąsiadów do szału za sprawą imprez ciągnących się do trzeciej nad ranem tudzież dzięki posiadaniu agresywnych i śmierdzących pitbuli. Dwójka, z którą siedzę w wagonie, widocznie wybijała się podczas zajęć z antyspołecznych zachowań w środkach transportu publicznego. Na całe szczęście przykrości ustają, gdy muskularnej budowy konduktor, wyraźnie nie w nastroju na tego typu swawole, mija mój fotel i sprawnie wywala obydwu gnojków na przystanku w Woking, nim zdążą poczynić jakieś szkody w wagonie.

Już w Londynie za przejazd tką taksówką do siedziby Hotel Chocolat płacę równowartość ręki, nogi i fragmentu jelita, ale przynajmniej docieram na miejsce łatwo i przed czasem, gotowa oczarować i olśnić moich przyszłych pracodawców tak bardzo, że aż przydałyby im się okulary przeciwsłoneczne.

Następuje pół godziny oczekiwania przy recepcji. Obecnie to chyba obowiązkowy element każdego procesu rekrutacyjnego. Najwidoczniej istnieje jakiś podręcznik dla zatrudniających, który sugeruje, że dobrym sposobem na zmiękczenie kandydatów jest usadzenie ich na trzydzieści minut w niezręcznej ciszy oko w oko z recepcjonistką.

Ta akurat ma jakieś dwadzieścia dwa lata i mocniejszy makijaż niż Joker

z *Mrocznego Rycerza*. Liczę, że gdzieś z boku rozlegnie się hałas, chciałabym bowiem się przekonać, czy przy gwałtownym ruchu głową cała ta tapeta nie odklei się jej od twarzy.

Dzwoni telefon na biurku i wypacykowana księżniczka zbrodni podnosi słuchawkę.

– Może pani wejść, pani Newman – informuje mnie spod czterech warstw podkładu.

– Dzięki – odpowiadam, po czym wstaję zmartwiona stanem mojej spódnicy, na której z niewiadomych przyczyn pojawiło się kilka znacznych fałd, choć przecież ostatnie pół godziny spędziłam, siedząc w bezruchu. Kiedy podnoszę odłożoną obok teczkę, serce wali mi w piersiach jak młot naszprycowanego kofeiną kowala. Niepewnym krokiem mijam Heatha Ledgera w spódnicy i docieram do kosztownych mahoniowych drzwi.

Otwiera je połyskliwy młodzieniec w eleganckim szarym garniturze, posyłając mi przy tym uśmiech z gatunku tych, które dotychczas widziałam jedynie na ustach sprzedawców używanych samochodów.

– Dzień dobry, pani Newman – mówi. – Proszę spocząć. – Wskazuje na krzesło ustawione przed kosztownym, mahoniowym biurkiem. Gdzieś w tym mieście z pewnością rezyduje handlarz mahoniem, który dorobił się na nich inkrustowanej złotem toalety.

– Dzień boży – odpowiadam.

Dzień boży? Co, do cholery, znaczy niby *dzień boży*? Chciałam oczywiście powiedzieć „dzień dobry”, ale nerwy wzięły górę. Teraz sobie pomyśli, że jestem jakąś porypaną, bogobojną fanatyczką religijną!

– Dzień dobry – wykrztuszam. Uśmiecha się do mnie raz jeszcze z lekko widocznym zmieszaniem i obchodzi biurko, aby usiąść obok swoich dwóch współpracowników. Jeden z nich to szczupły, sprawiający sympatyczne wrażenie czarnoskóry mężczyzna w błękitnym garniturze, drugi zaś to Christopher Biggins.

Mrugam parę razy. Jak to w ogóle możliwe? Czyżby Biggins – tęgiej budowy ciała komik i gwiazdor wielu sprośnych widowisk telewizyjnych z lat osiemdziesiątych – zmienił zawód i stał się menadżerem przedsiębiorstwa produkującego czekoladę?

Mrugam raz jeszcze. Dzięki Bogu to nie Christopher Biggins. Gość po prostu jest do niego łudząco podobny. Czuję ulgę. Nie potrafię się odnaleźć w obecności osób znanych – choćby to były postacie drugorzędne. Pewnego

razu w sklepie HMV wpadłam na Briana z *Big Brothera* i niemal posikałam się w majtki. Myśl, że musiałabym zachowywać się jak profesjonalistka pod niewzruszonym spojrzeniem aktora damskiej pantomimy tudzież postaci Lukewarma z sitcomu *Odsiadka*, przeraża mnie całkowicie.

Ale chwila, moment. Czy Christopher Biggins w ogóle jeszcze żyje? Jestem pewna, że gdzieś już czytałam, że... *Jezu. Długo już tak stoję i zastanawiam się nad Christopherem Bigginsem?*

– Proszę usiąść – mówi do mnie nie-Christopher Biggins. Wyraz jego twarzy sugeruje, że moment, który spędziłam, stojąc jak wryta i usiłując sobie przypomnieć, czy Christopher Biggins żyje, czy też nie, ciągnął się niezręcznie długo.

Przestań już myśleć o Christopherze Bigginsie, ty szurnięta babo!

Siadam, wdzięczna, że biurko maskuje przepastne fałdy mojej spódnicy. Wcześniejsze mdłości powróciły ze zdwojoną siłą, lecz przypisuję je kombinacji nerwów i kaca z soboty i robię, co mogę, by je zignorować.

– Nazywam się Charles Lipman – odzywa się sympatyczny czarnoskóry menadżer. – Oto moi koledzy: David Presley – wskazuje na szczwanego sprzedawcę aut – oraz Roger McDougal – przedstawia nie-Bigginsa.

– Bardzo mi miło panów poznać – odpowiadam, kłamiąc w żywe oczy.

– Nam również, pani Newman – kontynuuje Lipman. – Z lektury pani curriculum vitae wnoszę, że ma pani kwalifikacje, których oczekujemy od kandydata na stanowisko kreatywnego menadżera Regionu Południe. – Wyciąga egzemplarz mojego CV. – Proszę nam opowiedzieć o swoim dotychczasowym doświadczeniu zawodowym.

I oto właściwa rozmowa się rozpoczyna. Wypieram z głowy myśli o tandetnych gwiazdorch małego ekranu (żywych lub martwych, nie doszłam jeszcze do ostatecznego wniosku), pomarszczonych spódnicach i złoczyńcach z *Mrocznego Rycerza* i przystępuję do oczarowywania trzech gentlemanów moim idealnym przygotowaniem do objęcia tej wspaniałej posady.

Wszystko idzie jak z płatka. Przez mniej więcej dwadzieścia minut. Kiedy opowiadam o ich przedsiębiorstwie, kiwają z uznaniem głowami. Na propozycje zwiększenia produktywności oraz osiągniętych zysków reagują przychylnymi uśmiechami. Nawet śmieją się z moich misternie wplatanych żarcików na temat prowadzenia własnej działalności w dobie recesji gospodarczej. Jamie wyuczył mnie ich zeszłej nocy podczas ostatniej

błyskawicznej powtórki materiału. Nie byłam przekonana, czy powinnam po nie sięgać, on jednak stwierdził, że to świetny sposób, aby dowieść, jaką to mam błyskotliwą osobowość.

Mniej przyjemne było opisywanie okoliczności upadku mojego sklepiku. Nikt nie lubi relacjonować czegoś, co kończy się niepowodzeniem. Najważniejsze to dać im do zrozumienia, że sklep musiałam zamknąć wyłącznie z powodu sytuacji w gospodarce – nie zaś ze względu na przejawiane talenty do interesów na poziomie opóźnionego w rozwoju wielbłąda. Rozmówcy zdają się bez zastrzeżeń przyjmować mój wyszlifowany punkt widzenia, toteż prędko przechodzę do innych kwestii, zadowolona, że wyjaśnienie tej sprawy mam już z głowy.

Przedstawiam właśnie strategię marketingową, której wdrożenie planowałam przy okazji najbliższej Wielkanocy, gdy mdłości, które powstrzymywałam od samego ranka, przełamują moją pieczołowicie wzniesioną zaporę mentalną i przelewają się przeze mnie niczym niezdrowa fala przyływu.

– Dobrze się pani czuje, pani Newman? – pyta mnie nie-Biggins, dostrzegłszy, że znienacka pobladałam jak prześcieradło.

– Tak – skrzypię. Biorę parę głębokich wdechów i wznawiam. – Jak więc mówiłam, kampania powinna skupić się na rodzicach, toteż opracowałam kilka sloganów, które w moim mniemaniu mogłyby...

Usta wypełniają mi wymioty. W jednej chwili pusta jama ustna wypełnia się treścią żołądkową. Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie zdarzyło.

W dotychczasowych przypadkach zazwyczaj otrzymywałam więcej sygnałów ostrzegawczych, takich jak bulgotanie w brzuchu, koszmarny posmak miedzi na języku, kurczące się mięśnie przełyku... Lecz tym razem przypomina to jakąś magiczną sztuczkę – i to nawet nie dobrą sztuczkę z gatunku tych, jakie Paul Daniels zwykł przedstawiać w asyście uroczej Debbie McGee czy też które David Blaine wycina na środku ulicy Bogu ducha winnym przechodniom.

Wymioty tak po prostu w ułamku sekundy meldują się w moich ustach. Zaciskam szczelnie wargi, starając się nie wypuścić ich w świat. Policzki mi się nadymają i przypominam teraz Alvina z tego cholernego filmu z wiewiórkami.

– Ojej. Czy jest pani niedobrze? – pyta Charles Lipman.

Zapytana wiewiórka milczy. Jeśli wiewiórka spróbuje cokolwiek

powiedzieć, z jej ust wydobędzie się jedynie strumień ciepłych wymiocin. Niektórzy mogą uznać, że byłby to w zasadzie postęp w porównaniu z wysokimi, piskliwymi pierdołami, jakie zazwyczaj wygłasza postać Alvina, lecz w mojej obecnej sytuacji zdecydowanie chętniej wysłuchałabym całej płyty tych bredni, byle tylko nie musieć siedzieć tu z gębą pełną własnej treści żołądkowej.

Wtem, ku mojemu przerażeniu, niczym tłusty pasażer ładujący się do wagonu metra podczas godzin szczytu, do mej już przepełnionej buzi napływa kolejna fala torsji. Czym prędzej nakrywam usta dłonią, lecz to, co nieuchronne, już się zaczęło. Moje policzki więcej już nie pomieszczą. Bariera zostaje przełamana. Mury Jerycha ostatecznie i nieodwołalnie padają.

Radośnie oswobodziwszy się z więzienia jamy ustnej, spomiędzy moich palców wytryska do przodu fontanna wymiocin. Zupełnie jakbym usiłowała zatkać dłonią szlauch – tyle tylko, że w tym przypadku bardziej cuchnie i będzie więcej zachodu z czyszczeniem.

Wszyscy trzej rozmówcy cofają się ze zgrozą. Charles Lipman i David Presley w jednej chwili podrywają się z krzesel, lecz biedny, tęgi nie-Biggins nie dorównuje im zwinnością i zamiast uskoczyć z miejsca, by uniknąć ataku moimi wymiotami, po prostu wywija w tył slapstickowego koziołka, którego jego słynny sobowtór nie powstydziliby się w dowolnym popołudniowym przedstawieniu *Jasia i łodygi fasoli*.

Ja również zrywam się z miejsca, jedną ręką wciąż zakrywając usta. Drugą staram się pokazać, że muszę dostać się do najbliższej toalety. Wymachuję wściekle palcem, jednocześnie odskakując w tył, by zredukować pole rażenia. Wygląda to, jakbym opracowała nowy taniec, jakąś wersję charlestona urozmaiconą o wygrażanie palcem i nadymanie policzków... oraz o zawartość żołądka.

Na całe szczęście Charles Lipman domyśla się znaczenia moich płasów.

– Łazienka jest za tymi drzwiami! – skrzeczy, wskazując gorączkowo na kolejne drzwi z drogiego mahoniu po mojej prawej stronie.

Rzucam się w tym kierunku i wpadam do pomieszczenia, trzaskając drzwiami. Wewnątrz zastaję jedną z tych dyrektorskich łazienek, gdzie bez wątplenia nikt jeszcze nie wymiotował. Najzwyczajniej w świecie nie w takim celu ją zaprojektowano. Łazienka ta poznała w swoim czasie wiele owłosionych, bogatych męskich zadów, lecz mogę się założyć, że jestem pierwszą kobietą w dziejach, która wpada tu, by wypluć swe podroby.

Ochoczo chrzczę więc instalację w kabinie, w rogu pomieszczenia.

Większość treści żołądkowej zdążyła już przedostać się w górę przewodu pokarmowego, dzięki czemu nie szarpią mną koszarne torsje na sucho. To zawsze najgorsza część procesu wymiotowania. Człowiek wydaje wówczas dźwięki jak ciężarowiec starający się wyrwać dwieście kilo, wygląda zaś niczym pies wykrztuszający utkwiony w przetyku gnat.

Już po paru minutach jestem w stanie odsunąć się od muszli klozetowej i przystąpić do oporzędzania samej siebie. Pewne ślady po wymiotach pozostały mi na żakiecie, lecz generalnie rzecz biorąc, mogłoby być gorzej. Z twarzy co prawda przypominam otumanioną heroiną prostytutkę, ale moja odzież, zważywszy na to, co się stało, przedstawia się całkiem znośnie.

Rzecz jasna, nigdy już nie mogę z tej łazienki wyjść. Od teraz to mój dom. Będą mi tu musieli dostarczać jedzenie, napoje i całą resztę zaopatrzenia. Na szczęście telefon mam w kieszeni, tak więc wciąż mogę się kontaktować z bliskimi. Bez wątpienia będą za mną tęsknić, ale być może personel Hotel Chocolat zdoła ustalić godziny wizyt. Przyjdzie mi sypiać w kabinie toaletowej, będę też potrzebowała paru książek, by mieć się czym zająć przez następnych kilkadziesiąt lat, ale w ogólnym rozrachunku pozostanie tu zdecydowanie bardziej mi się uśmiecha aniżeli otwarcie drzwi i konfrontacja z trzema mężczyznami, przed którymi dopiero co się zrzygałam.

– Pani Newman?

To ten cholerny nie-Biggins. Chce, żebym wyszła. Drań pragnie się radować moim wstydem, chce rozkoszować się moim upokorzeniem. Nienawidzę cię, nie-Christopherze Bigginsie, ciebie i wszystkiego, co sobą reprezentujesz.

– Czy wszystko w porządku, pani Newman? – dołącza się do niego Presley.

Oczywiście, że nie wszystko w porządku, ty monumentalny kretynie. Dopiero co bezapelacyjnie postradałam szanse na uzyskanie posady w waszej firmie.

– Tak! Nic mi nie jest! – nieco zbyt głośno wykrzykuję przez drzwi. – Już wychodzę.

Otwieram drzwi i witają mnie trzy strapione oblicza. Trzeba przyznać, że na najbardziej zaniepokojonego wygląda nie-Biggins.

– Proszę mi wybaczyć, panowie. Nie potrafię wytłumaczyć, skąd się to wzięło. Wnoszę, że jestem chora.

Oczy Charlesa Lipmana się zwężają.

– Nie jest pani... *w ciąży*, prawda? – pyta ostrożnie.

Ja? W ciąży? Też mi głupie żarty!

– Oj, to zupełnie nieprawdopodobne, panie Lipman. Mój mąż i ja zawsze bardzo dbamy o zabezpieczenie.

A więc proszę. Oto omawiam moje nawyki seksualne z trójką mężczyzn, których poznałam niespełna pół godziny temu. Twarz zalewa mi jasnoczerwony rumieniec wstydu.

– Och. – Lipman wygląda na zszokowanego. Presley sprawia wrażenie jelenia w snopie świateł samochodu. McDougal w dalszym ciągu w niewyjaśniony sposób wygląda jak Christopher Biggins.

– Cóż, pani Newman – mówi dalej Lipman – może przerwiemy w tym miejscu naszą rozmowę, zważywszy na to, co właśnie się zdarzyło? Nie chcielibyśmy zmuszać pani do kontynuowania jej w swym obecnym stanie.

Masz na myśli poczucie wzbierających mdłości? Czy może zasychające wymioty, które tworzą teraz paskudną skorupę na klapie mojej marynarki?

– Zapewne ma pan rację, panie Lipman. – Przybieram możliwie skruszony wyraz twarzy. – Dziękuję za poświęcony mi czas. Przepraszam za niedyspozycję.

– Nic się nie stało, pani Newman. Moja żona też cierpiała na poranne mdłości przy pierwszym dziecku – nadmienia nie-Biggins.

Ja nie jestem w ciąży. Pieprz się, wdówko z pantomimy!

Podchodzę do biurka i podnoszę moje portfolio.

– Jeśli pani chce, może nam je pani zostawić, pani Newman. Z chęcią się z nim zapoznam – oznajmia Charles Lipman. Spoza chmur nikczemnej zgryzoty przebija się iskierka nadziei.

– Dziękuję, panie Lipman, tak też zrobię. – Zdumiewa mnie drżenie w moim głosie. Znienacka z grozą zdaję sobie sprawę, że jestem na granicy płaczu. Wystarczyło, że Lipman po prostu zgłosił gotowość do przejrzenia mojego portfolio, a ja zaraz się rozryczę jak pięcioletnia dziewczynka.

Co się, do diabła, ze mną dzieje?

Z wilgotnymi oczami i drżącymi wargami podchodzę, by ucisnąć dłoń Charliego. Ten spogląda na wyciągniętą przeze mnie rękę, bez wątpienia wypatrując na niej resztek moich soków gastrycznych. Uśmiecham się niczym trzymający zapalniczkę podpalacz i cofam dłoń, przetykając stojącą mi

w gardle twardą gulę.

– A zatem do widzenia, panowie – rzucam w pośpiechu. – Życzę panom nader udanego dnia.

Wszyscy trzej równie uprzejmie odpowiadają na moje pożegnanie.

Przez chwilę nie-Biggins wygląda, jak gdyby miał mnie uściskać. Chyba bym tego nie zniosła. Jeśli spróbuje, wybuchnę płaczem. Jakżeby inaczej? Ma tę przyjazną szczerą twarz legendy pantomimy. Szczęśliwie nie decyduje się na zawstydzający uścisk, toteż nie mówiąc więcej ani słowa, wymykam się z pomieszczenia. Kiedy mijam przypominającą Jokera recepcjonistkę, słyszę, jak przez telefon pilnie wzywa do gabinetu pana Lipmana ekipę sprzątającą. Nie mogłabym czuć się w tej chwili niezręcznie, nawet gdyby mi powiedziano, że dopadła mnie denga...

Oczywiście to niemożliwe, bym istotnie była w ciąży. Nigdy w życiu! To po prostu skutki kaca po sobocie – i zapewne tajskiego żarcia na telefon z wczorajszego wieczoru. Tak, to musi być to! Ot, rezultat zbyt wielu drinków z wódką i nieświeżego pad thai z kurczakiem.

Fakt, że w drodze powrotnej na dworzec kolejowy zaglądam do drogerii, to zupełny zbieg okoliczności. Wchodzę jedynie po to, by kupić jakieś pastylki na uspokojenie żołądka. Nie do końca wiem, skąd na kontuarze przy kasie ląduje test ciążowy, ale z jakiejś przyczyny jednak go kupuję i chowam do kieszeni marynarki. Może później z niego skorzystam – a może nie! – z samej tylko ciekawości. Wyłącznie dlatego, że nigdy jeszcze nie robiłam takiego testu i czysto akademicko ciekawi mnie, na czym też one polegają.

Koniec końców to niemożliwe, bym była w ciąży. Ja? W żadnym wypadku!

Matko święta, ja jestem w ciąży. Zapłodniona. Brzuchata. Na starcie ścieżki do macierzyństwa. Noszę w sobie pierwszych parę komórek istoty ludzkiej, która za jakiś czas spróbuje się przecisnąć przez moją waginę... co, rzecz jasna, jest niewykonalne. To *niemożliwe*. Że niby człowiek miałby wyslizgnąć się z mojej zdrowej, zadbanej szparki? No nie bądźcie śmieszni!

Mamo, naprawdę chciałabym mieć Cię teraz przy sobie. Jestem *prerażona*.

Kocham Cię i tęsknię,

Twoja niebawem ogromna córka Laura

BLOG JAMIEGO

WTOREK, DRUGI KWIETNIA

– *Nie martw się, wyciągnę przed końcem i spuszczę ci się na plecy.*

Z tego, co wiem, to wraz z wypowiedzeniem powyższych słów moje dotychczasowe życie dobiegło końca. Przyznaję, że jak na kres istnienia ludzkiego, nie była to deklaracja wybitnie apokaliptyczna, nader uczona bądź też warta cytowania. Niemniej jednak to właśnie oświadczenie oznaczało wyrok śmierci dla beztroskiej i pełnej igraszek egzystencji Jamiego Newmana. Dużo nad tym myślałem i jestem pewien, że mam rację.

A zdarzyło się to miesiąc temu.

Nie... cofnijmy się nieco dalej w czasie, aż do minionej jesieni, kiedy to Laura musiała przestać brać pigułkę, bo miała od niej bóle głowy. Nie był to jakiś kłopot, z biura miałem niedaleko do kliniki planowania rodziny, z chęcią zatem podskoczyłem po darmowy zapas gumek, który miał wystarczyć do chwili, aż Laura dobierze inną pigułkę, po której nie będzie musiała spędzać reszty dnia, chowając się w zaciemnionych pomieszczeniach. Albo też do momentu, gdy zdecydujemy się na alternatywną formę zabezpieczenia.

Miało to trwać zaledwie parę tygodni, lecz jeśli Laurze i mnie można coś zarzucić, to zdolność do absurdalnej wręcz prokrastynacji. Świadectwem niechaj będzie ośmioletnia kanapa, którą mieliśmy wymienić. Bez względu na to, ile razy w telewizji pokazują reklamę tego cholernego centrum meblarskiego, nadal nie jesteśmy w stanie wziąć dupy w troki, zapoznać się z najnowszą kolekcją sof i skorzystać z niekończącej się wyprzedaży.

Ale przewińmy do sytuacji sprzed kilku tygodni – do niewiarygodnie nudnego marcowego wieczoru. Winę za całe zdarzenie zwałam na Simona Cowella. Gdyby świry uczestniczące w tej edycji *Mam Talent!* prezentowały wyższy poziom, być może na dłużej skupiłyby naszą uwagę i nie zaproponowałbym Laurze szybkiego numerku przed początkiem *Top Gear*.

Mam świadomość, że brzmi to mniej więcej równie romantycznie jak opowieść o hemoroidach, ale w rzeczywistości nie jest aż tak źle. Laura i ja prowadzimy bardzo zdrowe życie seksualne, obfitujące w długie, zmysłowe i romantyczne sesje miłosne. W życiu jednak liczy się różnorodność, toteż od czasu do czasu lubimy wykorzystać wolną chwilę na szybki numerek.

Obydwoje pracujemy do późna, stąd też owe przelotne numerki stały się niestety powszechniejsze niż niespieszne seanse w blasku świec – ot i poważny minus życia w Wielkiej Brytanii dwudziestego pierwszego wieku.

Przez ostatnie miesiące naprawdę dopracowaliśmy ten system. Możemy uprawiać seks rano przed wyjściem do pracy, wieczorem, gdy czekamy, aż rozmrozi się kurczak, w łazience tuż przed wyprawą na zakupy do Tesco – a pewnego pamiętnego razu, kiedy obydwójce byliśmy nad wyraz napaleni, w windzie dla niepełnosprawnych w samym Tesco. Nie martwcie się, po wszystkim było nam strasznie wstyd.

Wystarczy powiedzieć, że gdyby istniały mistrzostwa w bzykaniu na czas, mielibyśmy spore szanse na miejsce medalowe.

I w takich oto okolicznościach Jamie Newman ustawił swoją kochaną, pełną wdzięku i niezwykle piękną żonę na kolanach na wspomnianej już ośmioletniej kanapie, przygotowując się do porządnego, szybkiego i ostrego rżnięcia.

Lecz wtem – *nieszczęście!*

– Jasna cholera. Nie mam żadnych gumek – stwierdzam, żywo trzepiąc się po wacku, by utrzymać erekcję do czasu rozstrzygnięcia zaistniałego dylematu.

– Naprawdę? – odpowiada moja wspaniała żonka z tyłkiem w powietrzu i dłońmi zaciśniętymi na oparciu kanapy. – Ja też nic nie mam!

– Nie ruszaj się – polecam. – Sprawdzę jeszcze w szafce przy łóżku.

Odbiegam więc z penisem wesoło majtającym się przede mną niczym różdżka radiestety, pozostawiając Laurę z głową opartą na dłoniach, idealną półkulą jej wyborczego tyłeczka wciąż zaś zadartą w górę, co sprawia, że plecy tak kusząco wyginają jej się w łuk.

Niestety, w szafce nocnej nie znajduję żadnych prezerwatyw. Przechodzę do łazienki i przeglądam zawartość tamtejszej szafki, cały czas młócąc wacka, aby w razie gdybym jednak natknął się na jakieś opakowanie gumowych ratowników, być zwartym i gotowym. Tak oto rozpoczyna się pięciominutowa rewizja wszelkich szafek i szuflad, jakie tylko przychodzą mi na myśl – a wszystko to z pomocą jednej ręki. Wyglądam jak jakiś dewiant seksualny z fetyszem domowych mebli służących do przechowywania przedmiotów.

– No, chodź już, Jamie! – woła Laura. W jej głosie wyraźnie słychać zniecierpliwienie.

– Przepraszam! Może... może popieść się chwilkę sama. Będę tak szybko, jak się da! – Tak jest, nie ulega wątpliwości, że owej szczególnej nocy nastrój jest romantyczny jak cholera.

A więc oto jesteśmy – ja z obłędem w oczach jedną ręką szarpie za szuflady, drugą zaś za mojego członka, podczas gdy Laurze pozostała samoobsługa z tłem w postaci wygłupów Anta i Deca w *Mam talent!*, gawędzących sobie z delikwentem, który właśnie odśpiewał *Camptown Races* jurorce Amandzie Holden w pełnym akwalungu. (Żeby było jasne, to uczestnik programu miał na sobie ten akwalung).

– To bez sensu – mówię, kiedy wracam do salonu. – W całym domu nie ma już ani jednej.

– Cholera – rzuca Laura. – To będziemy musieli się wstrzymać.

Ma rację, powinniśmy się powściągnąć. Byłoby to działanie rozsądne. Mam jednak pewien kłopot: moja żona jest *bardzo* atrakcyjną kobietą, w tym natomiast momencie klęczy na kanapie z szeroko rozstawionymi nogami i wypiętym tyłkiem. Nadeszła pora, by Jamie Newman wypowiedział słowa, które przypieczętują jego los:

– Nie martw się, wyciągnę przed końcem i spuszczę ci się na plecy.

Pewna strona Laury – zamieszkująca jej duszę romantyczna, subtelna i nieśmiała dama – z pewnością czuje się oburzona moją propozycją. Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że w danym momencie jej ośrodkiem decyzyjnym zawiaduje inne wcielenie – owa zwierzęca, sprośna, rozerotyzowana kocica, którą można znaleźć w każdej kobiecie, o ile tylko wystarczająco dobrze poszukać i połechtać, gdzie potrzeba.

– Niech będzie, ale postaraj się tego nie schrzanić – dyszy ochryłym z podniecenia głosem.

Na swoją obronę powiem, że istotnie tego *nie schrzaniłem*. Wykazuję się, jak mi się podówczas zdaje, *nadczołowieczym* poziomem opanowania i potrafię wstrzymać się z dojściem do celu aż do chwili, gdy Laura podwija z rozkoszy palce u stóp, ja sam natomiast usuwam się z równania.

Celność, z jaką na koniec całego zajścia wystrzeliwuję moją półpłynną męskość, nie jest jakaś wybitna, więc przynajmniej teraz mamy już nader solidny powód, by wreszcie ruszyć tyłek i udać się do sklepu po nową kanapę.

Sę w tym, że ta akurat metoda improwizowanej antykoncepcji nie jest wystarczająco skuteczna. Fakt, że wyciągnąłeś przed czasem, *wcale* nie

oznacza, że nic ci nie grozi, choćbyś nawet tak sądził. Wiedzą to nawet nastolatki o umysłach nieskażonych krztyną zdrowego rozsądku, my jednak postanowiliśmy wygodnie ten fakt zignorować aż do wczoraj – do pierwszego kwietnia.

A pierwszy kwietnia był dla mnie wyjątkowo podły, jeszcze zanim o szóstej wieczorem wróciłem do domu. Cały dzień spędziłem na kłótniach z zastępcą redaktora w kwestii przestrzeni reklamowej na ostatniej stronie gazety. Powiedziałem „na kłótniach”, lecz w rzeczywistości polegało to głównie na wymianie pasywno-agresywnych e-maili, czego zwieńczeniem była ostra pięciominutowa „pogawędka” pod drzwiami działu poligraficznego.

Dni pełne innej rozrywki wyobrażałem sobie na początku mojej kariery twórczej. Sądziłem, że moja praca będzie polegała na nurzaniu się w wirze kreatywności i trzaskaniu genialnych i wnikliwych artykułów na wszelkie ważne tematy, które wymagałyby fachowej opinii Jamiego Newmana. Moim przeznaczeniem było tworzenie najlepszych komunikatów prasowych, tekstów informacyjnych oraz materiałów reklamowych, jakie kiedykolwiek zostały przelane na papier.

Niestety, Wszechświat jak dotąd postanowił, że nie dogodzi moim potrzebom, toteż na razie dla zabicia czasu tkwię w lokalnej gazecie i spieram się o niezwykle prozaiczną kwestię zagospodarowania kolumny mierzącej siedem i pół centymetra. Spór ten ostatecznie przegrałem, tak więc w chwili powrotu do domu nastrój miałem mroczniejszy aniżeli dusza dorosłego miłośnika Justina Biebera.

– Dobry wieczór, skarbie – rzucam posępnie żonie, kiedy dostrzegam, że stoi w kuchni.

– Dobry wieczór – odpowiada bardzo cicho, kiedy daję jej zwyczajowego buziaka na powitanie.

Gdybym nie był w tak podłym nastroju, już w tym momencie dostrzegłbym pewne oznaki. Tymczasem jednak ściągnąłem po prostu krawat, przeszedłem do salonu i opadłem na poplamione spermą (i przewrócone na drugą stronę) siedzisko kanapy, zamierzając przez jakieś pół godzinki pooglądać na Sky News wiadomości o ludziach, którym układa się gorzej ode mnie. Jest to cecha ludzkiej natury, której nigdy szczególnie nie lubiłem, lecz kiedy masz za sobą koszmarny dzień w robocie, często istotnie robi ci się lepiej, gdy wysłuchasz historii kogoś, czyj dzień był aż tak beznadziejny, że postanowił opowiedzieć o tym reporterowi telewizji

informacyjnej. W dalszym ciągu jestem absolutnie nieświadomy stanu emocjonalnego mojej zdenerwowanej i rozdrażnionej żony, która przychodzi i siada obok mnie.

– Jak dzień? W porządku? – pytam z nadzieją, że odpowie twierdząco, po czym odwzajemni pytanie, co umożliwi mi wyrzucenie z siebie epickiej diatryby o tym, jak skończonym idiotą jest zastępca redaktora Colin Forbes.

– Hmm. Nie... raczej niezbyt. – Skubie przy tym jeden z narożników siedziska.

– Naprawdę? To kiepawo – odpowiadam, chcąc wykorzystać ten moment w rozmowie, aby skierować ją na moje własne zmartwienia. – Wiem, co czujesz. Sam miałem dzień do dupy. Kojarzysz tego palanta Forbesa? Tego z zezującym okiem? No to zachowywał się dziś jak ostatni chujek. Musiałem zająć dodatkowe pół strony na potrzeby wielkanocnej kampanii reklamowej, *ale niee...* On mi mówi, że to miejsce na doniesienia o rugby. Akurat na cholerne rugby. Kogo w ogóle obchodzi rugby? Co za durny sport. Mówię ci, kotku, niekiedy ta robota naprawdę działa mi na nerwy. I bardzo chciałbym móc ją rzucić w diabły, ale w tej chwili nie stać mnie na całe to zawracanie dupy z szukaniem czegoś nowego. Jak pomyślę, że musiałbym się pieprzyć z tymi durnymi rozmowami o pracę, to krew mnie... – *jasssny gwint.*

Mrozi mi krew w żyłach. Zupełnie zapomniałem, że Laura była na rozmowie w sprawie pracy. To właśnie dziś pojechała do Londynu na spotkanie z gośćmi z Hotel Chocolat. (Swoją drogą, słowo „czekolada” – *chocolate* – po angielsku pisze się z „e” na końcu. Do licha ciężkiego, jesteśmy w końcu w Wielkiej Brytanii. Jeśli któregoś dnia zacznę stosować francuską pisownię, niech odwiozą mnie do czubków z diagnozą ogólnego obłądu). Jak, do cholery, mogłem zapomnieć o tak ważnym wydarzeniu? Przecież zanim rano wyruszyłem do kieratu, sam życzyłem jej powodzenia. Minęło dziewięć godzin, a zupełnie wyleciało mi to z głowy. Uznam, że to przez Colina Forbesa i przez zjedzoną na lunch zeschniętą kanapkę z kurczakiem.

Gdy staram się ogarnąć świadomością totalny kataklizm, jaki właśnie na siebie ściągnąłem, z ust wydobywa mi się cichy skowyt. Zdaję sobie sprawę, że następne parę minut mojego życia będzie *straszliwe*. A także, że najbliższą noc prześlę najpewniej na obryzganą spermą sofie.

Biorę się do przeproszania... i milknę. Najzwyczajniej w świecie nie znam słów, którymi umiałbym wyrazić swój szczery i niepohamowany żal. Nie

sposób ukoić fali gniewu, która z całą pewnością zaraz na mnie spadnie niczym posepny zwiastun apokalipsy Jamiego Newmana. Gdybym sądził, że odrąbując sobie rękę, zdołam załagodzić sytuację, to bym to teraz uczynił. Co tam, nawet bym ją sobie odgryzł.

Spoglądam na Laurę. Jest nawet gorzej, niż myślałem.

Spodziewałem się złowrogiego spojrzenia – obrazu powściąganej kobiecej furii, której uderzenie zaraz przyjmę na swą durną, zapominalską męską gębę. Ale nie, tym razem jest o wiele, wiele gorzej. Laura jest tylko blada, podenerwowana i bardzo, ale to bardzo zagubiona.

W mordę jeża! Z wściekłą bestią jeszcze jakoś umiem sobie radzić. Lecz Laura wygląda po prostu na głęboko dotkniętą moim przeoczeniem. Czuję się z tym nieskończenie wiele razy gorzej. Nie rozzłościłem jej, ale zwyczajnie zasmuciłem. Najchętniej bym się teraz zabił, dławiąc na śmierć poduchą kanapy.

– Tak bardzo mi przykro, kochanie – mówię i biorę ją za rękę. – Powiedz, jak ci się udała rozmowa? – Spoglądam na jej przygnębioną twarz. – Dobrze ci poszło?

Inteligentne pytanie, nie ma co. To tak, jak gdyby w 1939 roku spytać Żyda, czy w następnych wyborach zamierza zagłosować na Hitlera. Laura spogląda na mnie swoimi wspaniałymi niebieskimi oczami, jej usta drżą. Spinam pośladki i zaczynam układać w myślach listę zakupów zawierającą lody Häagen Dazs, kwiaty, a być może również i nowusieńkie auto. Ścisną mnie za rękę. Biorę głęboki oddech i przygotowuję się na to, co mi powie.

– Jestem w ciąży.

– Cóż, mniejsza z tym – zaczynam. – Z pewnością nadarzy się coś innego, a to...

Hmmm. Coś tu nie gra. Mój umysł jest pewien, że Laura właśnie oznajmiła, że rozmowa poszła nie tak, tymczasem moje uszy upierają się, że w istocie powiedziała coś zupełnie innego. Najlepiej będzie, jeśli odsłucham raz jeszcze parę ostatnich sekund i ocenię...

Nie, bez wątpienia nie wspomniała nic o rozmowie w sprawie pracy.

Ale co to za dziwaczne zdanie właśnie wypowiedziała? Brzmiało zupełnie jak „jestem w ciąży”... ale to oczywiście *niemożliwe*. Czegoś takiego Laura w *żadnym wypadku* nie może wypowiedzieć, a przynajmniej nie przez najbliższych sześć-siedem lat, póki wciąż pracujemy nad rozwojem naszych karier i mamy do zaliczenia wiele odległych kurortów wakacyjnych.

Prawdopodobnie to dobry moment, by poprosić, aby powtórzyła ostatnią wypowiedź, co pozwoli nam odrzucić niemądre przypuszczenie, jakoby wspomniała coś o ciąży.

– Słucham? Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że jestem w ciąży.

O mój...

Moje uszy zdają się dziś koszmarnie szwankować. To nadal brzmi tak, jak gdyby mówiła, że jest w ciąży. Najlepiej spytam jeszcze raz, żeby ostatecznie dobrać do sedna sprawy.

– Co?

– Powiedziałam, kurwa, że jestem w ciąży, Jamie. Ogłuchłeś czy co?

Staram się odpowiedzieć.

– Blurben hurmen?

Wygląda na to, że w ośrodku mowy w moim mózgu doszło do krótkiego śpięcia. Nie jestem już w stanie formułować prawidłowo słów i do końca swoich dni będę się porozumiewał w sposób zrozumiały jedynie dla Pana Galaretki oraz mieszkańców Szwecji.

– Co? – pyta Laura.

Tym razem udaje mi się tylko wydać świst przypominający odgłos powietrza uchodzącego z przebitej opony. Moje myśli pędzą z prędkością światła, zarazem z niewyjaśnionych przyczyn umysł zastygł w bezruchu. Jak to w ogóle możliwe? Dlaczego dzisiejszy dzień rozpoczął się dla mnie od trudów wydalania wczorajszej tajszczyzny (naprawdę powinienem przystopować z niezdrowym żarciem na wynos), następnie w porze lunchu przyniósł mi koszmar pod postacią kanapki z kurczaka, po południu osiągnął apogeum wraz z kłótnią z Colinem Forbesem, zakończył się zaś oświadczeniem mojej żony, że jest w ciąży? Jakże to wszystko mogło się dzisiaj stać? Dziś, pierwszego dnia kwie...

Ach! Teraz rozumiem! Wszystko staje się zupełnie jasne. Dziś jest pierwszy kwietnia! Laura, z której niezły łobuziaczek, robi mi primaaprilisowy dowcip. Że też trafiła mi się tak inteligentna i dowcipna żonka!

Uwielbiam dobre primaaprilisowe numery. Swego czasu sam padłem ofiarą paru niezłych żartów. Na przykład jeszcze podczas studiów Carlo, mój kolega z zajęć, zmienił termin oddania mojej pisemnej pracy twórczej na drugiego kwietnia. Wprost pękał ze śmiechu, gdy przez sześć godzin

zasuwałem przy klawiaturze jak szympana na amfetaminie, starając się wysmażyć tekst na trzy tysiące słów przed upływem zmyślnego przez niego terminu. W istocie była to moja wina. Wiedział, że nie zwracam należytej uwagi na wyznaczane terminy, i koncertowo wykorzystał moje rozkojarzenie.

Był też słynny Czwartek z Superklejem. Miałem jedenaście lat, mój brat Chris miał trzynaście i uznał za wspaniały pomysł wysmarowanie klejem UHU wnętrza moich sztucznych uszu Spocka z serialu *Star Trek*. Jejku, jak on się zaśmiewał, kiedy całe popołudnie spędziłem z mamą na izbie przyjęć, czekając, aż aceton powoli rozpuści klej, przy okazji lekko przypiekając czubki moich uszu. Już się tak nie śmiał, kiedy wróciliśmy do domu i dostał mu się szlaban na dwa miesiące. Z wielką rozkoszą obnosiłem się z nowymi uszami Spocka, przy każdej możliwej okazji przejeżdżając rowerem tuż pod oknem jego pokoju.

Ten akurat żarcik, na który zdecydowała się tym razem Laura, jest bardziej prozaiczny i nie wymagał takiego namysłu, ale muszę przyznać, że jej przekonująca gra aktorska zasługuje na najwyższe noty.

– O, ho, ho! To było niezłe, Laura! – wołam radośnie.

Tak się cieszę, że udało mi się przejrzeć jej dowcip. Na moment zdołała zamącić mi w głowie, ale teraz już pojąłem, o co chodzi.

– Co?!

Zabawne, powinna się teraz uśmiechać, zadowolona z faktu, że jej drobny podstęp wyszedł na jaw. Podrywam się na nogi, rozładowując nieco nagromadzone napięcie nerwowe.

– Powiedziałem, że to było niezłe! Naprawdę udało ci się mnie nabrać, kotku. Że niby ty... w ciąży! *Genialne!*

Z jakiejś przyczyny Laura wciąż się nie uśmiecha. Moje stopy, o wiele lepiej orientując się w sytuacji aniżeli umysł, prędko prowadzą mnie do kuchni, abym przygotował herbatę. Laura idzie za mną. Przez chwilę obserwuje, jak tłukę się z kubkami i czajnikiem, aż wreszcie się odzywa.

– Jamie, to nie jest prima aprilis. Mówię serio. Jestem w ciąży!

Widzicie, taki jest właśnie kłopot z moją żoną: nigdy nie wie, kiedy żart dobiega końca. W numerach tego typu liczy się przede wszystkim wyczucie czasu, ja zaś połapałem się w jej psocie, więc naprawdę nie ma po co tego ciągnąć.

– No już, kotku, możesz przestać. Wiem, że sobie żartujesz.

Laura z marsmem na twarzy podchodzi do mnie, tupiąc, i wyrywa mi z dłoni ścierkę, którą następnie mnie uderza. Dwukrotnie.

– Ja wcale nie żartuję, ty kretynie! – Wali mnie ponownie, by podkreślić znaczenie swych słów. – JES – *szast!* – TEM – *szast!* – W CIAŻY! – *Szast! Szast! Szast!*

– Przestań mnie napieprzać tą cholerną ścierką! – jęczę.

Opuszcza ramię. Z drżeniem palców odstawiam trzymany kubek z powrotem na blat. Zapada cisza... straszliwa, straszliwa cisza.

Spoglądam na wycieńczoną twarz mojej żony.

– Ale jak to? – pytam.

Wyczerpanie ustępuje miejsca poirytowaniu.

– Być może ma to jakiś związek z faktem, że wychędożyłeś mnie jak wyposzczony nosorożec. Na ogół tak to się właśnie zaczyna.

– Ale... ale przecież *uwazamy*.

Dopiero parę godzin później przypomnę sobie wieczór masturbacyjnego szału na tropie prezerwatyw.

– Widać niedostatecznie.

Robię parę głębokich wdechów. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, ale *coś* powiedzieć trzeba. Nie mogę przez resztę tego małżeństwa porozumiewać się mlaśnięciami i pomrukami.

Niezdolny wydobyć z siebie nic więcej na temat ciąży, uśmiecham się niepewnie i pytam:

– No to jak ci poszło na rozmowie?

Posyła mi spojrzenie pełne absolutnej, nieskażonej rozpacz, a oczy zachodzą jej łzami.

– Zwymiotowałam na Christophera Bigginsa!

– A to on jeszcze nie umarł?

Laura wybucha gwałtownym, nierównym szlochem. Niezdarnie ją obejmuję. Nie mam wyboru, gdyż jeszcze chwila i nogi odmówią mi posłuszeństwa.

Godzinę później za sprawą wlanych w siebie dwóch browarów jestem odrobinę spokojniejszy. Laura poszła nalać sobie kieliszek wina, lecz zrezygnowała, gdy przypomniała sobie, dlaczego miała ochotę się napić. Siedzi więc teraz i ścisza kubek ze słodzoną herbatą – bo tak się właśnie

postępuje po doznanym wstrząsie: pije się słodką herbatę. Nie do końca pojmuję, jak niby porcja cukru z teiną miałyby ukoić nerwy, ale co ja tam wiem? Wszak nawet nie potrafię przelecieć mojej pani, nie ładując jej przy tym do brzucha dzidziusia.

– Co teraz zrobimy, Jamie? – pyta Laura, wpatrując się w telewizor, w którym Joey Jones, reporter Sky News, stoi przed numerem dziesiątym na Downing Street i opowiada o nowych ulgach podatkowych dla pracujących rodzin. Wzruszający zbieg okoliczności.

– Nie wiem, kotku. Naprawdę nie wiem.

To znaczy istnieje *pewna* propozycja, którą mógłbym przedłożyć... ale jest to propozycja *straszna*. Propozycja, której masz nadzieję nigdy w życiu nie brać pod uwagę. Czasami jednak potrzeba bierze górę nad wszelkimi innymi względami – a to jest właśnie jeden z takich momentów.

– Czy chcesz... czy chcesz je urodzić? – pytam. – No bo wiesz, że nie musisz. – Słowa w moich ustach smakują jak popiół. Nawet nie wierzę, że je wypowiedziałem.

– Masz na myśli a... abo...

– Tak – mówię, wchodząc jej w słowo. – To jedna z możliwości. – Okropna, *przeokropna* możliwość.

– Sama nie wiem. A ty jak uważasz?

Logiczna, rozsądna część mnie mówi: *Tak! Jezu, tak! Nie mamy ani tyle pieniędzy, ani czasu, ani pieniędzy, by pozwolić sobie teraz na dziecko*. Lecz kiedy spoglądam na Laurę i w jej piękne, błyszczące od łez niebieskie oczy, nie wyobrażam sobie, bym mógł ją poddać tego rodzaju... *zabiegowi*.

Oto kobieta, którą kocham. Jest w ciąży właśnie dlatego, że ją kocham. Że się z nią kochałem. To dziecko jest owocem tej miłości. No dobra, nie był to może najbardziej romantyczny seans miłosny w dziejach ludzkości, ale nie był też to jakiś przygodny seks bez znaczenia.

– Nie – stwierdzam z naciskiem. – Tak zrobić nie chcę. – Biorę ją za rękę. – Kocham cię, skarbie, bez względu na wszystko, a skoro masz mieć ze mną dziecko, to *będziesz* je ze mną miała. – Rozluźniam się trochę. – Chyba że sama tego nie chcesz.

Śmieje się. Dźwięk to kruchy i ulotny, niemniej jednak śmieje się.

– Szczerze mówiąc, to nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogłabym go nie mieć. Cały czas się tylko zastanawiam, jak bardzo urośnie mi tyłek.

– Nie zapominaj o cyckach – dodaje, uśmiechając się po raz pierwszy chyba od stuleci. – Będą *ogromne*. – Poruszam brwiami i symuluję obsceniczne gesty obłapiania, sprawiając, że moja wymęczona żona zdobywa się na chichot.

Ociera oczy i pociąga nosem.

– Będzie nam cholernie ciężko, skarbie – mówi. – No wiesz, jestem bez pracy. Pieniądze ze sprzedaży sklepiku kiedyś się skończą.

Obejmuję ją.

– Poradzimy sobie. Mogę poszukać jakichś dodatkowych zleceń. A może i ty jakieś znajdziesz.

Posyła mi miażdżące spojrzenie.

– Niby co? Freelancerski wyrób czekolady?

– No jasne! Czemu nie? Jest coś takiego, prawda?

Oczywiście, durniu, że nic takiego nie istnieje. Chwytam się brzytwy, ale w tym momencie jestem gotów powiedzieć cokolwiek, bylebyśmy tylko nie popadli w czarną rozpacz.

– Może – odpowiada i ponownie chichocze. – Mogłabym chodzić ludziom po domach i robić im od chuja czekoladek.

– No i proszę! Ja mógłbym zająć się marketingiem. – Wyciągam dłoń. – Laura Newman: Zrobi wam od chuja czekoladek.

Na te słowa skręca się ze śmiechu, co z kolei wzbudza wesołość i we mnie. Jeśli godzinę po przejściu największego wstrząsu w życiu rechoczemy jak opętani, to sytuacja nie jest chyba *aż tak* tragiczna.

Prawda?

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz